

WOLNY PTAK

MARTA KRASIŃSKA

1935.

WOLNY PTAK

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



144084

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa — Leszno 112.
1929

K-201/82

BIBL. GŁÓWNA

*Duchom Rodaków moich z ziem, złożo-
nych przez Jagiełłę u stóp Jadwigi, by, sple-
cione wiarą i miłością, oba plemiona w bojach
zwycięskich i w zapasach myśli twórczych
przez wieki śpiewały chwałę Rzeczypospolitej —*

*Wyzutym z gniazd rodzinnych tułaczom,
tęskniącym na drogach dalekich, wstucha-
nym w proroctwa wieszczów, niezłomnie wie-
rzącym —*

*Mieszkańcom wsi, dworów i dworów li-
tewskich, trwającym cierpliwie w mozole bez
chwały, aby bronić wiary, ziemi, tradycji
i polskiej mowy —*

*Wszystkim, którzy oczekiwali i nie do-
czekali się spełnienia —*

tę powieść oczekiwania poświęcam.

Marta z Pustowskich Krasińska.

1911 — 1914. Świsłocz.

CZĘŚĆ PIERWSZA

L I D J A

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Le paysage est un état d'âme”.
Amiel.

Na ziemi i na niebie było święto. Nad rozpróżnieniami przestrzeniami parku w Żywych Wodach niepodzielnie panowało słońce. Chyliło się już nieco ku zachodowi, dochodziła bowiem piąta po południu. Przed pałacem, na pięknie utrzymanych klombach, mieczyki, omdlałe od żaru, kołysały się ciężko na wiotkich łodygach. Stokrotki, wtulone w trawę, zadzierały ku światłu kolorowe łebki. Ponad rzeszą kwietną krążyły roje motyli. Chmary owadów brzęczały w powietrzu. Pomimo że już była połowa sierpnia, ptaki, omanione czarem przedłużającego się lata, na nowo wszczynały miłosne rozmowy.

Pałac, stojący nad urwistym brzegiem stawu, na wzgórzu, z jednej strony wtulonem w stare lasy, z drugiej panującym nad uprawnemi polami, nad łąkami i nad wijącą się opodal rzeką, która oddzielała Królestwo od Litwy — zbudowany był w stylu włoskiego renesansu. Tarasy jego spływały do ogromnego parku,

zamieszkałego przez liczne zastępy bogów. Stawu strzegły niebotyczne jodły, lekko nad wodą pochylone, jakby w pokłonie przed majestatem obojętnej na wszystko głębi. Rosły tam prastare lipy, których zieleń, dotknięta już rdzą jesieni, odbijała pysznie od iście aksamitnej ciemności jodeł. W głębi stawu, niby po drugim niebie, leniwie sunęły obłoki — podobne ptakom olbrzymim. Chwilami, gdy wiatr cichnął, stawały w wodzie nieruchome.

Oparta o pień jednej z lip, pani Hanna Tęczyńska, dziedziczka owej uroczej siedziby, wsłuchiwała się w spóźnioną pieśń kończącego się lata. Była to kobieta trzydziestopięcioletnia o kształtach posągowych, włosach barwy brązowo-złotawej i oczach modro-zielonych, których wyraz często bywał nieczytelny. Patrząc w jej twarz, napozór tak pogodną, niktby się nie domyślił, że duszę tej pięknej wdowy, młodej, bogatej, nurtuje w tej chwili smutek i tęsknota. Dlaczego była smutna, tego prawdopodobnie nie potrafiłaby sama powiedzieć. Może poprostu dlatego, że lato się już kończyło i że nadciągała jesień.

Dźwięk gongu, zwiastującego podwieczorek, wyrwał ją z zadumy. Skierowała się zwolna ku tarasowi, gdzie ją oczekiwała grupa przyjaciół.

— Patrzcie panowie — zawołał muzyk Ginter — czy to nie Greczynka z orszaku Panatenei?

— Raczej „święta romańska“ — sprostował Konstanty Niemirowski. — Pani Hanna niestety nie ma nic z poganki.

Stanisław Monkud, malarz, nie wmieszał się do rozmowy. Dla niego pani Tęczyńska była naprawdę świętością. Uważał ją za prześliczny rasowy typ litewskiej szlachcianki, ale wogóle nie lubił o niej mówić.

Wszyscy trzej byli zażyłymi jej przyjaciółmi. Najdawniej znał ją Niemirowski. Przyjaźnił się on jeszcze z jej rodzicami, państwem Giejsztorami. Był to pocziwy olbrzym pod sześćdziesiątkę, istny wielkolud z bajki. Umiał się bawić, jak dziecko. Miał w sobie coś z Petronjusza i coś z fredrowskiego szlachcica. Najsurowsi nawet krytycy nie wytykali mu braku powagi i nikt mu nie brał za złe, że poszukiwał przygód i zbierał wdzięk chwil, tak, jak się zbiera śmietankę z mleka. Nie był zdolny do smutku, do cierpień, chociaż serce miał gorące i wrażliwe na cudze troski. Zdarzało się, iż w serdecznym porywie brał część ciężaru bliźnich na swoje potężne barki, lecz wzięwszy, najczęściej gubił po drodze, nie wiedząc, gdzie i kiedy. Apostolizował niefrasobliwą filozofię, która dałaby się streścić w hasło „carpe diem“. Posiadał licznych adeptów, ale ani rusz nie mógł nawrócić pani Tęczyńskiej. Pani Hanna lubiła go szczerze i nadała mu przydomek „słonecznego“. Pod tem przewiskiem Niemirowski był znany powszechnie nie tylko w polskich salonach, lecz nawet zagranicą. Miał on bardzo za złe pani Tęczyńskiej, że zdawała się wyrzekać miłości. W sprzeczkach, jakie z nią toczył w tej materji, przychodził mu czasem w sukurs Ginter. Muzyk coprawda najwymowniej wypowiadał się przy fortepianie. Monkud nigdy nie brał w utarczkach tych

udziału, żartowanie bowiem na temat uczuć wydawało mu się niemal świętokradztwem.

Z trójcy wielbicieli on jeden w Żywych Wodach nie był gościem przelotnym. Mieszkał w sąsiedztwie, tuż za parkiem, w jednym z t. zw. „zamków królowej Bony“. Była to stara, zrujnowana baszta, ogromnego niegdyś kaszteliku, należącego, jak nosiła legenda, w zamierzchłej przeszłości do rodziny Monk-gudów. Stanisław wróciwszy przed dziesięciu laty z włóczęgi po świecie, jak hrabia z „Pana Tadeusza“ „upodobał mury, tłumacząc, że gotyckiej są architektury“. Nabył ruinę, wyrestaurował wewnątrz i urządził sobie w niej pracownię malarską.

Podano herbatę. Napój ten w domu pani Hanny posiadał sławę ustaloną. Prócz osób wymienionych zasiadły do stołu dwie wychowawice pani Tęczyńskiej, siedemnastoletnia Lidja i dziewięcioletnia Anielka, pod opieką nauczycielki. Równocześnie z podwieczorkiem przyniesiono pocztę. Wszyscy obecni jęli z ożywieniem rozdzierać koperty. Jedna tylko Lidja listu nie dostała. Na twarzyczce jej odmalował się zawód.

— Dobra wieść — odezwała się pierwsza pani Hanna: — Julja Korecka wychodzi za Korjatowicza.

Wiadomość ta wywołała powszechną sensację. Najbardziej zdziwił się Niemirowski.

— No, no, no! któżby się tego spodziewał po tej niepokieszonej, zdawałoby się, wdowie. Byłem pewien, że ta zamąż nie wyjdzie nigdy. Przecież po pierwszym mężu nosiła żałobę przynajmniej przez półtora roku!

Pani Tęczyńska wyraziła zdumienie, że właśnie „słoneczny“ potępia jej przyjaciółkę.

— Śliczna moja pani. Bynajmniej jej nie potępiam. Zły jestem tylko, że wywiodła w pole mnie, starego wróbla. W poglądach na związki małżeńskie, zawierane przez wdowy, dzielę zdanie św. Pawła: „dobrze im jest, jeśliby tak trwali, jako i ja, a jeśli się nie wstrzymają, niech w małżeństwo wstąpią, bo lepiej w małżeństwo wstąpić, aniżeli gorzeć“.

Ginter zacytował aforyzm Konfucjusza:

— „Wdowa, która powtórnie zamąż wychodzi, nie była godna własnego wdowieństwa“.

Następnie rozpoczął żartobliwą apologję wdów, poświęcających się pracy społecznej, utrzymując, że aureola „społeczniczki“ jest w Roku Pańskim 1912 najmłodniejszym dodatkiem do uczesania.

Stanisław sprowadził rozmowę na tory poważne. Był przeciwnikiem małżeństw powtórnych w imię tradycji.

Pani Tęczyńska broniła z zapałem przyjaciółki, lecz gdy Niemirowski zaczął wyszydzać poglądy Monk-guda i przekonywać ją, że powinna pójść za przykładem Julji, umilkła nagle i zamyśliła się.

Przypomniała sobie swoją babkę, księżnę Ostro-żynę, t. zw. powszechnie „wielką księżniczką“, wspa-niały typ staropolskiej matrony, dziś już niespotykany. Stała jej w oczach scena, której była świadkiem jako mała dziewczynka w kaplicy pałacowej na po-grzebie dziadka. Gdy umilkły ostatnie dźwięki żałobnej inwokacji „In paradiso angeli te deducant“ — knia-

gini, która przez cały czas nabożeństwa zdawała się być pogrążona w kamiennej drętwocie, ocknęła się nagle i rozkazała wszystkim, żeby się oddalili. Rozkazu tego nie usłuchała jedynie mała Haneczka, schowana za krzewami otaczającymi marylę. Gdy drzwi kaplicy zamknęły się, księżna stanęła przed otwartą trumną małżonka i długo, długo wpatrywała się w jego twarz. Oblicze siedemdziesięcioletniej staruszki przeistoczyło się do niepoznania. Odzyskało wdzięk młodej oblubienicy, przybrało wyraz wstydlivej nieśmiałości pierwszych wyznań miłosnych. Stopniowo wyraz ten przemieniał się w zachwyt, promieniował ogniem, nadawał czarnym, ogromnym oczom blask niemal nadprzyrodzony. Długo, bardzo długo trwało to zapatrzenie, aż wreszcie księżna z krzykiem w oczach raczej, niż w głosie, pochyliła się nad drogiemi zwłokami i, obejmując rękoma trumnę, złożyła na ustach męża pocałunek.

— Ta kobieta na pewno, gdyby owdowiała młodo, nie wyszłaby zamaż powtórnie — pomyślała Hanna.

Tymczasem Ginter z Niemirowskim rozprawiali dalej. Mówili teraz o miłości wogóle. Ginter, który był żonaty, twierdził tonem zgorzkniałym, że małżeństwo podcina skrzydła twórczości, głosował tedy za miłością bardziej uskrzydloną. Brnąc coraz głębiej w conspiratio amoris, wciągali w nie zwolna całe towarzystwo. Nauczycielka uznała za stosowne wyprowadzić Anielkę. Lidja pozostała. Siedząc na uboczu, słuchała starszych z zapartym tchem. Od czasu do czasu do twarzy jej napływały fale krwi. Miłość była

w powietrzu, opanowywała umysły, podszeptowała słowa. Wprawdzie dowcip zabarwiał je delikatną szminką, odbierając im szczerłość, wprawdzie istotne porywy duszy nie śmiały przekroczyć ust, tego zwodzonego mostu myśli, niemniej jednak porywy te były w duszach wszystkich i po każdej z twarzy tych dojrziałych mężczyzn przemykał od czasu do czasu ledwie dostrzegalny cień melancholji. Słońce czerwieniało. Ton rozmowy stopniowo się zniżał. Wreszcie zapanało milczenie.

Pani Hanna lekko zaniepokojona, by nie zauważono, iż ją także musnął smutek, dała znak Lidji i zeszła z nią razem do ogrodu. Panowie po chwili podjęli na nowo gawędę, której przedmiotem tym razem były znajome panie.

Niemirowski z lekkim cynizmem, który drażnił nieco Stanisława, szydził w sposób zresztą nader życzliwy z filantropijnych zapędów panny Mii Burskiej, jednej z przyjaciółek pani Tęczyńskiej. Twierdził, że mimo całej powagi, jaką wkładała w opiekę nad dziećmi z ochronki, nie umiała nigdy oprzeć się pokusie w postaci zbytecznego kapelusza, lub pudełka cukierków. Mówiąc nawiasem, to właśnie najbardziej mu się w niej podobało.

— Pani Hanna — rzekł — chociaż ubiera się równie prześlicznie jak Mia, zdolna jest niestety na swoje nieszczęście do ofiar i wyrzeczeń. Jej ascetyzm, doprawdy, przeraża mnie. Przyznam się wam, że chwilami ogarnia mnie wątpliwość, czy ta kobieta wogóle jest zdolna do miłości.

— Męża przecież kochała — powiedział Ginter. — Słyszałem, że wszystkich budowała rozumną i czułą opieką, jaką go otaczała w jego chorobie.

— Nie dałbym za to trzech groszy — odparł Niemirowski — czy to nie było tylko współczucie. Myślę, że jeśli w kimkolwiek się kiedykolwiek kochała, to chyba w Romanie Stolzburgu, za czasów panieńskich. Dzisiaj, mam wrażenie, jedyną jej miłością jest Cecylja.

Panna Cecylja Olszańska, o której Niemirowski wspominał, była dla pani Hanny czemś więcej, niż przyjaciółką. Była najbliższą sercu jej istotą, kochaną tkliwiej, niż siostra rodzona. Mieszkała na Litwie w majątku Olchy, gdzie założyła schronisko dla nie-widomych. Sama była dotknięta tem strasznem nie-szczęściem, które umiała znosić z cudowną pogodą, a które spadło na nią w okolicznościach niezwykle tragicznych. Jako młodziutka panna wybrała się na przejażdżkę konną ze swym narzeczonym, prześliznym efebem, nazwiskiem Carlo hr. Nadivari. Spłoszony koń strącił ją z siodła do urwistego parowu. Wypadek pociągnął za sobą utratę wzroku i stał się przyczyną zerwania zaręczyn.

— A propos Cecylji — odezwał się Ginter — podobno Nadivari wciąż ją jeszcze kocha.

— Słyszałem o tem — odrzekł Niemirowski. — Niebardzo jednak wierzę w te idealne amory. Jak pan myśli — zagadnął Stanisława — czy można być wiernym kobiecie przez kilkanaście lat?

Stanisław nic nie odrzekł. Wyraz jego twarzy świadczył, że nie uważa tego za niemożliwe.

Kolację zjedzono również na tarasie.

Śłońce już zaszło oddawna, lecz upał jeszcze nie zelzał. W powietrzu było nawet coraz parniej; jakby zbierało się na burzę. Pomimo to, niebo było zupełnie pogodne i jawiły się na niem coraz liczniej gwiazdy. Lidję rozmowa starszych nudziła. Wołała, kiedy mówili o miłości. Nie czekając na znak pani Hanny, wstała od stołu i zbiegła do ogrodu. Wdzięczna jej postać zdawała się w mroku sfruwać z tarasu. Ginter, który przeprowadzał ją wzrokiem, przyrównał ją w myśli do lekkonogiej Atalanty. Zatrzymała się u stóp tarasu i wchłaniała chciwie rozdrzanemi nozdrzami aromatyczne powietrze. Zapach kwiatów odurzał ją. Miała wrażenie, że noc, cudna noc sierpniowa coś szepce, coś radzi. Poczula szaloną potrzebę ruchu. Zaczęła biec prosto przed siebie, coraz prędzej i prędzej. Zaczepiła nogą o jakiś korzeń. Runęła na trawę jak długa. Gdy się podniosła, ujrzała przed sobą biały posąg brzydala fauna. Rogaty bożek fujarką, trzymaną w dłoni, zdawał się wskazywać jej drogę. Zaczęła biec na nowo i gnała co tchu w piersiach naprzelaj zroszonych trawników. Tętna jej biły w skroniach, serce waliło, była prawie zupełnie nieprzytomna. Zdawało jej się, że ktoś ją goni, że słyszy za sobą ciężkie męskie stopy. Obiegiwszy park dookoła, zatrzymała się znowu przed tym samym posągiem. Kozłolud wydał się jej złośliwszy i brzydszy, niż przedtem. Oczy mrużył lubieżnie, usta wydał szyderczo, patrzył na dziewczynę wprost obelżywie. Ogarnął ją nagle okropny wstyd. Rzuciła rzeźbie spojrzenie nienawistne.

Wolny plak.



Podniosła dłoń i z całej siły wymierzyła faunowi siarczysty policzek.

Rozcierając obolałe palce, wróciła do swego pokoju. Był to typowy panieński pokój, o białych obiciach, malowanych w deseń winnej latorośli i bluszczu. Siadłszy przy biurczku, na którym stał posążek Antinousa, zaczęła pisać list.

Drogi, jedyny Marysiu mój!

Znowu nie miałam od Ciebie listu. Wszyscy mieli pocztę, tylko ja jedna czekałam na próżno. Wyobraź sobie, że przyszła wiadomość o zaręczynach Julji. Pojęcia nie masz, co z tego powodu wygadywano. Jedna tylko ciocia broniła jej gorąco. Byłam jej za to niewymownie wdzięczna. Nie mogłam jej jednak tego wyrazić, bo „Biała Ciocia“ mrozi mnie nieustannie swoim apostołstwem obowiązku i dążeniem do doskonałości. Ja nie chcę słyszeć o żadnych wyrzeczeniach, ja chcę kochać! Ja chcę żyć! Nie na długo starczy mi cierpliwości, którą mi zalecasz, niedobry, brzydki Marysiu. Wiesz, chwilami nie cierpię Cię za to, że jesteś taki serjo, taki rozsądny. Wymyślże jakiś środek, zwalczający zapory. Postaraj się przekonać swoją Matkę—tyrana. Wiedz, że jedynym przykazaniem, godnem wolnego człowieka, jest słowo „chcę“. Powtarzaj sobie to słowo nieustannie, tak, jak ja je sobie powtarzam. Nie daj mi męczyć się dłużej, jak

wiewiórcę w klatce, i wyzwól stąd czem prędzej swoją

Lidję.

Skończywszy list, dziewczyna przymknęła oczy i przez długi czas trwała w zadumie. Następnie odsunęła szufladę biurka i wydobyła z niej zeszloroczny numer „Illustrazione Italiana“. Jedna z fotografii — zdjęcie z jakiegoś balu kostjumowego — przedstawiała cudną, młodą kobietę, o wschodnim typie urody, starszą od Lidji, ale podobną do niej, jak dwie krople wody, ubraną w przepyszny strój bizantyjskiej Bazylissy. Była to matka Lidji, hrabina Stolzburgowa, głośna w całej Europie ze swej piękności i ekscentrycznych obyczajów. Na imię miała Zofja. Wschodnie rysy twarzy odziedziczyła po babce Rosjance, pochodzącej z bardzo starożytnego rodu, który rzekomo wywodził się od dawnych władców Carogrodu. Od najwcześniejszego dzieciństwa doprowadzała do rozpaczki dziadków swych, staruszków poważnych i dobrotliwych, starających się nadaremnie zaszczerpić w jej duszyczce ideały kultury katolickiej. Nienawidziła żadnego przymusu, żadnego obowiązku. Już jako mała dziewczynka, posępna i małowólna, powtarzała nieustannie „chcę poznać smak miłości“. Zakosztowała jej smaku po raz pierwszy w czternastym roku życia. Do domu jej dziadków przyjechał na wakacje student, który najpierw nosił na sercu kwiaty, przez nią zrywane, a potem wyłudził od niej nawet parę pieśczęt. Wreszcie wyjechał na dalsze studia, obiecując, że bę-

dzie codzień pisywał. Przysłał cztery listy, a później zamilkł. — To nie była prawdziwa miłość — rzekła dziewczyna i jęła na nowo marzyć i czekać. Nastąpiło kilka innych podobnych rozczarowań, wreszcie wydano ją za mąż. Mąż jej był człowiekiem o głębokim umyśle i dużej wartości moralnej. Pochodził ze znakomitej rodziny inflanckiej. Miał w rodzie kawalerów mieczowych, którzy, prócz oręża, nosili krzyż. Po nich odziedziczył żelazną wolę, zamiłowanie do trudu i walki. Równocześnie jednak miał w sobie dużą dozę germańskiego idealizmu i sentymentalizmu. Żonę ukochał całym sercem i łudził się, że potrafi ją miłością dźwignąć do swego poziomu. Spotkał go srogi zawód. Zosia niedługo wytrzymała pod jego urokiem. Doskonałości naogół się nie kocha. Ciężiej jest wybaczyć cnoty, trudne do naśladowania, niż wady, które nęca. Rzuciła go bez skrępowania. Mówiła o sobie, że jest „wolnym ptakiem“, nie mogła znieść więzów. Rzuciła go w chwili, gdy spostrzegła z wściekłością, że nosi w sobie zarodek nowego życia. W parę lat później oddała maleńką swoją córeczkę w opiekę pani Tęczyńskiej. Lidja wychowała się w Żywych Wodach. Matka jej bujała tymczasem zagranicą. „Wolny ptak“, unosząc się w śmiałych lotach ponad przesady, bujał po Europie, poszukując ciągle „prawdziwej miłości“. Nie szanował cudzych gniazd, burzył je niemiłosiernie, a raz zaspokoiwszy ciekawość, odlatywał dalej, chciwy wciąż nowych wrażeń. W Paryżu, w atmosferze modnego naówczas egzotyizmu, otoczyło ją zwarte koło wielbieli, lecz, mimo świetnych i błyskotliwych przymio-

tów, mimo daru pozornej asymilacji ze środowiskiem i mimo kokieteryj, pachnącej harem — nie osiągnęła tam trwałych triumfów. — „C'est une de ces délicieuses barbares que l'on admire, mais qu'on n'épouse jamais“ — mawiali o niej Francuzi.

Mijały lata. Mąż cierpiał, wkońcu umarł. Swobodne loty Zofji zaczął hamować czas. Wprawdzie cudna jej, namiętna twarz, otoczona nimbem płomiennorudych włosów, nie utraciła jeszcze uroku młodości, lecz urok ten trzeba było już sztucznie podsycać. Postanowiła zatem wyzyskać swój typ i swoje rzekome greckie pochodzenie, by dodać sobie nowego blasku. Już jako dziecko, przeżywała kłamstwa z własnej wyobraźni wysnute, wierząc święcie, że są rzeczywistością. I teraz życie swoje przeistoczyła w jedno wielkie kłamstwo, stylizując je z niepospolitym artyzmem i z zadziwiającą siłą woli. Imię Zofja zmieniła na Zoe. Obrała sobie za patronkę sławną z piękności, okrucieństwa i zabobonnej pobożności, bazyliśkę Zoe Porfirogenetę. Uznawszy się za prawą dziedziczkę jej piękności i dowiódłszy łatwowiernym swego pokrewieństwa z rodem cesarskim, wkrótce utożsamiała się z wyśnionym wzorem. Rozczytywała się w kronikach imperjum bizantyńskiego i w żywotach władczyń Konstantynopola. Ubierała się w suknie, kopjowane ze starych fresków, ikon i witraży. Wzorem bazyliissy, zastąpiła modlitewnik poradnikiem kosmetycznym i wierzyła w magiczne własności skomplikowanych zapachów, słowem, przeżywała bajkę purpurowo-złotą i szukała dla niej dekoracyj malowniczych. Osiedliła

się w Wenecji, najbardziej „bizantyńskim“ mieście zachodu. Żyła z malarzem Vivanellim, w którego pracowni zgromadziła istne muzeum prawdziwych i fałszywych bizantyńskich antyków. Z krajem zerwała wszystkie stosunki. Do nikogo z rodziny nawet nie pisywała. O tem, że ma córkę, zdawała się zupełnie nie pamiętać.

Lidja przyglądała się podobiznie matki z zachwytem i nienawiścią. Choć każdy szczegół fotografii знаła doskonale, patrzyła na nią zawsze tak, jakby ją widziała po raz pierwszy. Ręce jej lekko drżały, gardło ścisnął żal. Przez moment walczyła z ochotą przyciśnięcia portretu do ust, ale w tejże chwili nastąpiła reakcja. Cisnęła go na dno szuflady i zatrzasnęła ją gwałtownie. Podeszła do okna. Hen, za parkiem błyszczało żółte światło. Było to okno Monkudowej pracowni, w zameczku królowej Bony, którego czarna, romantyczna sylwetka, rysowała się ostro na tle nieba.

— Marzyciel! — szepnęła do siebie, myśląc o malarzu, i uśmiechnęła się ironicznie. — Mały chłopczyk, co, stojąc pod choinką, wpatruje się z zachwytem w aniołka, umieszczonego na samym wierzchołku. Ja tam wolę złocene orzeszki, po które wystarczy sięgnąć ręką.

W tej chwili zaszeleściły liście pod rzęsistą ulewą. Chmury zasnuły niebo. Deszcz zgasił gwiazdy.

ROZDZIAŁ DRUGI

W dzień powszedni dziewice trudnią
[się igłą lub krośną:

Jej z rąk igła wypada, nici płatają się
[w krośnach,

Sama nie widzi, co robi, wszyscy mi
[to powiadają.

Wczora postrzegłem, że rózy kwiatek
[wyszyła zielono,

A listeczki czerwonym umalowała
[jedwabiem.

Mickiewicz — „Konrad Wallenrod“.

Nazajutrz rano, wkrótce po śniadaniu, Stanisław udał się do pracowni hafciarskiej, będącej ukochanem dziełem pani Hanny. Ambicją jej było — wskrzesić dawne tradycje domów polskich. Monkud pomagał jej w tem dziele gorliwie, podjąwszy się dostarczania wzorów do roboty. Pracownia mieściła się w obszernym budynku o dwu, górnem światłem oświetlonych, salach. W jednej z nich kilkadziesiąt dziewcząt wiejskich, pochylonych nad krosnami, odtwarzało wytworne angielskie hafty, rzucając na niebieskawo-białe płótno delikatne girlandy i kapryśne meandry. Inne

dziewczęta na przejrzystych batystach, przedziwnie lekkich, niby mgliste ranne opary, haftowały kwiatki i wstążki, spływające z koszów, w stylu Ludwika XVI. Kilka najzręczniejszych robotnic kopjowało wypukłe weneckie koronki, przypominające poplątaną roślinność alg morskich, jakie widnieją na szczytach kolumn w Torcello. W drugiej sali, do której właśnie wszedł malarz, było istotne królestwo barw. U stropu wisiały herbowe proporce, na ścianach lśniące ornaty i makiety. Były to wzory zbierane przez panią Hannę w Polsce i zagranicą ze skrzętnością pszczoły, znośzącej miód do ula. Sali patronował portret dobrej królowej Jadwigi, która, nachylona nad krosnami, gasiła pracą żar miłości, zażegnany przez Wilhelma. Na przeciwko portretu znajdowała się głęboka wnęka, a w niej niewykończony fresk, nad którym Monkgud pracował wspólnie z panią Hanną. Fresk ten miał być w przyszłości wzorem do gobelinu, miał wyobrażać krajobraz rodzinnego gniazda Giejsztorów, z cerkwią unicką i pagórkami piaszczystymi, jako tłem kompozycji. Woddali brzegi Niemna znaczyły się lśniącą wstęgą. Pejzaż wiosenny. Widniały wielkie skiby ziemi urodzajnej. Wąskie zagony chłopskie nęciły wzrok świeżą runią. Z pól sączyła się do bródz woda po deszczach, a gdzie nigdzie na miedzach „siedziały ciche grusze” — całe w bieli. Na jasno-szarem niebie stada ptaków wędrownych spieszyły zpowrotem do ojczyzny.

Stanisław zastał panią Hannę w malarskim fartuchu, z paletą w ręku. Zasiewała właśnie pendzlem

kwiatki nad malowaną strugą. W ostatnich czasach malowała rzadko, co jej Stanisław wymówił przy powitaniu.

— Mam tyle teraz różnych spraw, że kochany mistrz musi mnie rozgrzeszyć. O niektórych z nich chciałabym z panem pomówić. Ale to potem. Czy nie jesteście zmęczone? — zwróciła się do pracownic — możebyście tak coś nam zaśpiewały?

Spuszczone główki dziewcząt podniosły się z nad krosien i, z początku nieśmiało a później coraz głośniejsze, chór świeżych głosów zawiódł tęskną piosenkę: „Wilija naszych strumieni rodzica”.

Stanisław przyglądał się twarzyczkom pracownic oczyma artysty. Szukał pomiędzy temi przeważnie wdzięcznymi a zawsze charakterystycznymi, litewskimi typami modelkę dla swoich kompozycji. Pani Hanna spoglądała na ciemne i płowe główki z czułością niemal macierzyńską. Znała dusze i dzieje każdej z tych dziewcząt, dzieje przeważnie szare, jak litewskie zgrzebne płótno. Umiała wynajdywać pomiędzy tą gromadką istot powszednich zdolności i charaktery wybitniejsze, którym starała się zapewnić jak najbujniejszy rozwój.

Skoro hafciarki przestały śpiewać, pani Hanna wróciła do swej roboty. Niebawem jednak odłożyła pendzel.

— Robota mi nie idzie — rzekła do malarza. — Chodźmy.

Wyszedszy na dwór, skierowali się w stronę pałacu. Malarz po drodze zastanawiał się, o czym pani Tęczyńska pragnie z nim pomówić. Nie śmiał pytać,

ale trochę się niepokoił. Od paru dni zauważył, że wyraz twarzy Hanny jest bardziej zagadkowy, niż zwykle.

Pokój pani Hanny był równocześnie kancelarią i sanktuarjum. Stąd wychodziły różne rozporządzenia. Tu się sądziło wartość trudów powziętych, tu się rozważało wszelkie plany majątkowe, projekty i zamierzenia. Komnata była surowa, ale bynajmniej niepozbawiona czaru. Bieleły się w niej, płonęły i pachniały kwiaty, a ulubione książki, poezje, obok foljantów poświęconych wiedzy, zapełniały półki i stoły. Były tam książki-przyjaciele obok książek-nauczycieli. Wysoko postawiona na szczycie Nike z Samotraki królowała nad wszystkim. Stopami zaledwie tykając ziemi, zdawała się zrywać do lotu. O zmierzchu, gdy pokój i boskie ciało zwycięskiej tonęły w mroku, ostatni rąbek słońca oświecał jej białe skrzydła. Wówczas zdawało się, że do cichej litewskiej wsi płynął zwycięski powiew z Salamin, a głos odwieczny zdawał się szeptać: „Zwyciężaj, co dzień zwyciężaj!” Nasuwało się na myśl pojęcie „Tonos”, pojęcie rodem ze Sparty, twarda dewiza kochanków trudu, której uczyła swoim przykładem wszystkich, co ją otaczali, słodka pani Żywych Wód.

Wchodząc do tego pokoju, Stanisław poczuł przypływ cichego szczęścia. W rzadkich tylko chwilach wystarczało mu, że był obok Hanny tak jak inni. Zawsze w głębi duszy marzył o tem, żeby z nią być sam na sam i z niewymowną tkliwością patrzeć w jej oczy.

Pani Hanna zaczęła rozmowę o swoich wychowankach, Anielce i Lidji, którym Stanisław udzielał lekcji rysunku. Na Lidję patrzył z tem samem obiektywnem zainteresowaniem, jakie budził w nim każdy piękny model. Kształty jej młodociane nabierały okrzęłości harmonji klasycznej. Oczy jej, o wyrazie nakazującym, twardym, błyszczały zimnem światłem kamieni syberyjskich. Były zielone, jak młoda trawa. Mimo urody swej wyjątkowej, Lidja nie miała sympatji Stanisława. Była uczennicą zdolną i niesforną. Podczas lekcji umiała doprowadzać go do rozdrażnienia swoją obojętnością dla sztuki i aforyzmami anarchicznymi. Stanisław nazywał ją piękną poganką, ona zaś nawzajem dla „nudnego pedanta” nie była łaskawa. Zato Anielka lubiła go ogromnie i cieszyła się bardzo z każdej lekcji. Jej błada, zwykle matowa twarzyczka okrywała się na jego widok delikatnym nalotem różowym, jak prześwietlony alabaster. Był to również jeden z wdzięków pani Hanny.

Oczy miała szare, ogromne, wilgotne, tkliwe, o wyrazie już bardzo kobiecym. Te oczy, jak oczy Lidji, coś wróżyły, lecz zupełnie inne przepowiednie były w nich zaklęte.

Pani Hanna mówiła o tej dziewczynce z troską serdeczną w głosie.

— Czy pan nie uważa, że Anielka roztrząsa nieustannie w główce pytania ponad swój wiek. Jakiś świat zagadnień i smutków niepokoi to dziecko, zawsze, bez przerwy, tak przy nauce, jak i przy zabawie. Dawniej natura budziła w niej zachwyt i ufność.

Dzisiaj życie uchyla maskę wobec tego dziecka. Wczoraj podpatrzyłam, że przyglądała się motylowi. Spytałam ją, co widzi w nim ciekawego. Odpowiedziała mi: „On żyje tylko jeden dzień” — i rozplakała się gorzko.

— Owszem, zauważyłem — odrzekł Stanisław — że dziecko jest bardzo wrażliwe. Nie zdaje mi się jednak, aby to było coś poważnego.

— Niestety lękam się, że jest poważne. Proszę przed nią ukrywać każdą chorobę we dworze. Anielka, gdy zachoruje ktokolwiek ze służby, chce go koniecznie zaraz pielęgnować i w żaden sposób nie pozwala sobie tego wybić z główki. Przeżywa wprost dramaty z powodów nawet błahych. Mam wrażenie, że dziecko to nieustannie dręczy z mora śmierci.

Stanisław pomyślał, czy w tym dramacie dziecinny pani Hanna nie znalazła odbicia własnych swych wspomnień i uczuć dawnych lat. Wydało mu się, że widzi ją samą, jako małą dziewczynkę, błagającą się po ukochanych lasach w Słuszkowszczyźnie, zdolną wylewać łzy nad więdnącym kwiatem. Wiedział (mówiła mu o tem kiedyś), że godziny całe spędzała, goniąc oczyma chmury, sunące po niebie. Dlaczego — myślała — tworzą się wciąż nowe. Dlaczego tak śpieszą, tak pędzą do celu nieznanego. I nikt ich zatrzymać nie może; dlaczego nie wracają nigdy? Wiedział od niej samej, że już wtenczas prawo przemijania wszystkiego w przeciwstawieniu do tajemnicy wieczności, obiecywanej przez religję, nie pozwalało jej zasypiać spokojnie. Trudno jej też było

zgodzić się na twarde prawo cierpienia, na niezrozumiałą jego użyteczność, zwłaszcza w stosunku do zwierząt, jej ulubieńców, które nie korzystają z zasług, płynących na ludzi z mężnie znoszonych bólów.

— Czy nie uważa pani, że Anielce brak towarzystwa zdrowych i wesołych dzieci? Sądzę, że właściwszem lekarstwem na jej melancholję byłoby wynalezienie jakiejś dziewczynki, z którąby się mogła bawić. Anielka, mojem zdaniem, stanowczo za dużo przestaje ze starszymi.

— Ma pan słuszość. Trzeba będzie o tem pomyśleć. Może istotnie towarzystwo dzieci okaże się dla Anielki lekarstwem skutecznem. Z Lidją niestety sprawa jest trudniejsza. Z tą mogłaby sobie dać radę tylko mężczyzna.

Monkgud bezradnie wzruszył ramionami, okazując tym gestem wyraźnie, że w tej sprawie nic poradzić nie potrafi.

— Może pani pomówi z panem Romanem. O ile zauważyłem, ze wszystkich mężczyzn stryj najbardziej jej imponuje.

Roman Stolzburg, rodzony brat jej ojca, istotnie bardzo imponował Lidji, zarówno świetnemi przymiotami fizycznymi, jako też siłą woli i wielką pozycją. Samolubna ta dziewczyna żywiła nawet dla stryja nieco czułości.

Stanisławowi wydało się, że na wzmiankę o Romanie w oczach pani Hanny zamigotała promienna isierka.

— Roman dzisiaj przyjeżdża. Muszę znaleźć czas, żeby z nim o tem koniecznie pomówić.

Rzekłszy to, pani Hanna zaproponowała Stanisławowi, żeby poszedł z nią do ogrodu po kwiaty, którymi chciała ozdobić stół na wieczorne przyjęcie. Malarz, jak zawsze, zgodził się skwapliwie. Wzięli z sobą Anielkę, sprawiając tem dziewczynce wielką radość. Maleńka miała wrodzone zdolności kolorystyczne i z wielkim smakiem umiała układać bukiety. W nastroju wesołym ogołacali we trójkę kłomby i grzędy kwietne. I było im razem bardzo z sobą dobrze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jedz, pij i wiedz, że tylko twoje dziś do ciebie należy, a jutro do przeznaczenia, i czcij dobrotliwą boginię Kipris. Ludzcy jesteśmy i winniśmy myśleć po ludzku.

Eurypides.

„Bądź tą przegraną, której cel daleki, a która wkońcu wygrywa na wieki”.

Kraśiński.

Wczesnem popołudniem pani Tęczyńska, w prześlicznej sukni, z ascetyzmem nie mającej nic wspólnego, oczekiwała na tarasie gości. Hanna nie mogła i nie chciała uchylać się od obowiązków towarzyskich. Związana z kołami arystokracji węzłami krwi i nawyknień, jasno widziała braki tego środowiska, nie występowała jednak przeciw niemu z bezwzględną krytyką. Hanna wiedziała, ile budować można na luźnych więzach przyjaźni światowej, ile zdrad codziennych od najlepszych tak zwanych przyjaciół spodziewać się trzeba. Powtarzała niekiedy znany aksjomat: „gdyby

wszyscy wiedzieli, co wszyscy mówią o wszystkich, nikt nie chciałby widzieć nikogo". I może właśnie dlatego Hanna była wdzięczna za najmniejszy dowód życzliwości i chętnie przymykała oczy na gorsze strony charakterów, wierząc mimo wszystko w niezniszczalne, choćby nawet ukryte pierwiastki dobra. Starodawna gościnność, będąca cechą dziedziczną, pozwalała jej patrzeć wyrozumiale na każdą osobę, przestępującą jej próg. „Nie jestem za nią odpowiedzialną — mówiła z uśmiechem — dziedzictwo duchowe to jak ordynacja, nie można go zmienić". Dzięki swym raczej atawistycznym zdolnościom organizacyjnym mogła pani Hanna dawać gościom złudzenie, że pod jej dachem wszystko robi się samo, bez szczególniejszych wysiłków z jej strony. Umiała czynić dobro z ogromną prostotą, zrzekając się wszelkiej podzięki, pamiętna zdania Chamfor'a: „Wdzięczność jest albo relikwią, albo kością umarłego". Rzecz prosta, że z każdym rokiem rosła zawartość kostnicy pani Hanny. Niemirowski kręcił na to głową. Nie każdy mógłby się poszczycić takim zbiorem. Czy nie lepiej jednak byłoby poprostu gromadzić listy miłosne?

W tej chwili stał on obok pani Tęczyńskiej już rozbawiony anticipando, w oczekiwaniu scen z komedji ludzkiej, które się miały tu rozgrywać za chwilę. Wzrokiem pełnym uwielbienia, w którym był i płomień, i czułość ojcowska, spojrzał na panią Hannę i rzekł:

— Włosy pani chyba jeszcze urosły. Jaki ten węzeł ciężki! Czy nie za ciężki na tak małą główkę? Lśnią jak drzewo starych włoskich „viola d'amore".

A propos amore. Dokądże pani hrabina wystawiać będzie męską cierpliwość na próbę.

— Dokąd będziecie usiłowali uszczęśliwiać mnie wbrew mojej woli — powiedziała Hanna z jasnym spojrzeniem.

Na taras weszli Monkud i muzyk. Równocześnie hen na widnokręgu pokazał się pierwszy samochód. Potężna czerwona maszyna, pędząca od strony Litwy. Hannie przyszło do głowy, że to może Roman. Gdy jednak maszyna, zamiast skrócić w aleję wiodącą do pałacu, pomknęła dalej, w oczach pani Tęczyńskiej Monkud zauważył jakby lekki cień zawodu.

— Cudna to rzecz samochód — rzekł Ginter. — Daje nam złudzenie, że ukoi żądzę duszy naszej, urobionej przecież z niepokoju i pędu. Daje nam złudzenie, że się choćby daleko odnajdzie to, czego się nie znalazło blisko. „Dahin, dahin, wo du nicht bist, ist das Glück".

— Ależ, poeto, przyjrzyj się brzydocie tej maszyny — rzekł Niemirowski, zawołany koniarz. — Ja tam podzielałam poglądy Ruskina. Przeklinam fabryki i automaty.

— Niech pan zaczeka — wtrącił Monkud. — Samochód jest dopiero w powijkach. Maluczko, maluczko, a i samochody wyładnieją.

„Bo użyteczne nigdy nie jest samo,

A piękno wchodzi, nie pytając, bramą"

— jak powiada Norwid.

— I to mówi malarz! — zawołał Niemirowski. — Pan bronisz samochodu, który ci nie pozwala utrwalić

żadnej wizji, nie mówiąc już o tem, że odbiera urok twoim modelkom, zmuszając je do przebierania się w obrzydliwe skafandry.

Twierdząc, że samochód odziera kobietę z wszelkiej kokieteryj i skłania ją raczej do sportowego koleżeństwa z mężczyznami, niż do miłości, Niemirowski wspominał z żalem o tych dobrych czasach, gdy w dzień Grand Prix w Paryżu widziało się jeszcze, miast mnóstwa chrypiących aut, wytworne *huit resorts* o wspaniałych zaprzęgach. Z wdziękiem oparte na poduszkach, panie w jasnych sukniach zachwycaly widzów. Podobne były boginiom; dziś w futrach i okularach przypominają potwory.

Rozmowa podobna była do partii ping ponga. Błyskotliwe paradoksy i aforyzmy krzyżowały się w powietrzu jak piłki. Najzręczniejsz odbijała je pani Hanna. Broniła ona samochodu wespół z Monkgydem. Gdy Niemirowski zagadnął ją, w imię czego broni swego stanowiska, zamyśliła się i, spojrzawszy w dal, rzekła:

— Bo samochód zbliża stęsknionych.

Na widnokręgu ukazały się ledwie dostrzegalne barwne plamki, zda się — kwiaty wyrosłe wśród ściernisk i łąk żółknących: wesoły mak, żółty kaczeniec, niebieski bławatek i wielki biały rumianek. Dziwne twory rosły szybko w chmurze pyłu. Samochody pędziły wzdłuż przepelnionych wodą rowów, odbijając się w jej zwierciadle. Przy stawie zadrgała rzesza nadbrzeżnych szuwarów i pochyliła się kornie jak w pokłonie. A na polach obnażonych wielkie przestrze-

nie brunatne o cieniach fioletowych zdawały się drzemać, biernie poddając się pierwszemu orkom. Gestem pracowitym, wiecznie tym samym od tysięcy lat, oracze wiernie spełniali swoje przeznaczenie, za ledwie podnosząc głowy na widok mknących dziwotworów. Słońce zniżało się z wolna. Wydłużone promienie stały świetlane nici na rolę, złościły pracę rolników, darząc ich błogosławieństwem.

Żelazne konie zbliżały się w coraz szybszem i zawrotniejszem tempie. Dumni zdobywcy przestrzeni mknęli porwani szałem i urokiem niebezpieczeństwa. Lecz stopniowo wola człowieka uspokajała rozhułkane zwierzęta. Przyśpieszone oddechy motorów weszły w rytm umiarkowany. Wjeżdżając w aleje parku, samochody zarysowały kręgi dokładne i pełne wdzięku. Wkrótce stanęły przed podjazdem.

Podwieczorek podano w ogrodzie, w prześlicznem ustroniu, zacienionem drzewami, tworzącemi kopułę, którejby się nie powstydzil sam Brunelleschi. Panował tu zawsze chłód, nawet podczas najgorętszych dni letnich; pokrzepiając się przysmakami, goście mogli napawać oczy widokiem stawu, na którym obojętnie snuły się białe łabędzie. A gdy głód podróznich został zaspokojony, zaroilo się na wodzie od łódek, na których jaśniały młode twarzyczki i białe suknie. Wesoły gwar obudził senną toń. Goście wywierali wrażenie dzieci, wypuszczonych na swobodę po trudach szkolnych, jakgdyby przed wyjazdem do Żywych Wód wyczerpała ich uciążliwa praca.

Na rozradowanych twarzach znać było bez troskę i w śmiechach nieco głośniejszych, dozwolonych na wsi, w zdaniach, które się krzyżowały szybko, w zapytaniach niezaszczyconych odpowiedzią — brzmiała radość i swawola. Rej wodziła panna Józefa Colonna. Pod miedzianym czubkiem miała różowe lica, noszek zadarty, wietrzący stale zapaszek miłości, oczy przy mrużone, które rzuciły wesołe błyski. Światu okazywała się zawsze pogodną, a najbanalniejszych rozmów z żywym słuchała zajęciem. Lubiana przez rozmaite koła towarzyskie dla wielu przymiotów, szczerością wrodzoną zjednywała sobie serca. O sobie mówiła wszystko, co można, i nawet więcej, niż można, towarzystwo uważając za wielką rodzinę, dla której nie miała tajemnic. Niezmordowanie od lat dwudziestu zwykła bawić świat własnym kosztem; odznaczała się wyjątkową usługowością, dzięki czemu udało jej się wspierać cierpiące na przewlekłe wycieńczenie instytucje użyteczności publicznej. Niedawno wybrano ją na posła do „Petersburka“, gdzie nawet u stóp tronu nie pozbyła się naturalności i swobody. Wróciła ze stosiem złota dla swych biednych i z kopalnią opowieści ku zasilaniu rozmów salonowych.

Dziś, zasiadłszy na niskim krześle, naprzeciw Niemirowskiego, wybuchła potokiem słów.

— Zanadto sławią ostatnią książkę o księciu Pepim. Pepi miał ciekawsze strony, które autor niedostatecznie odśłania. Wogóle historycy dziejom miłośnym niedość poświęcają miejsca, a wszak to strona życia niewątpliwie najciekawsza.

Dalej ubolewała szczerze nad niesprawiedliwością losu, który jej kazał żyć w dwudziestym wieku. Uważała się za przedstawicielkę wieku ośmnastego. Czula w sobie duszę Julie de Lespinasse, której zresztą niczem nie przypominała.

— Brr... ci uczeni — ciągnęła dalej. — Cóż za nudziarze! Nie rozumiem zupełnie, jak Hanna może się nimi otaczać. Kiedyś raczyła dopuścić mnie do towarzystwa tych strasznych powag. Wynudziłam się za wszystkie czasy. Niech pan sobie wyobrazi, że żaden z tych panów nie powiedział mi ani uncji komplementu. Ach, ta kochana Hannal Jak ona traci czas! Nikogo nie kocha i nikomu nie ułatwia miłości, choćby przez małżeństwo, powinnyby przecież popierać ten sakrament, skoro wyznaje cnotliwe prababczańskie poglądy. Przyzna mi pan, że to nieco dziwne. Na szczęście, niekażda nasza prababka z epoki stanisławowskiej je podzielała.

W tej chwili oczy panny Colonna poprzez przy mrużone powieki przesłały czułe spojrzenie panu Zahorskiemu, zamożnemu pięknoszowi pod pięćdziesiątkę, epuzerowi nie do pogardzenia, który przechodził samotnie.

— Dzień dobry panu! — zawołała, podnosząc się z krzesła i idąc na jego spotkanie. — Dokąd pan tak zmierza, mijając obojętnie starych przyjaciół. Ach, domyślam się! Pani Eliza! Nie dziwię się! Wygląda dzisiaj uroczco. Tworzy cudną plamę na tle tych starych drzew. Istny kwiat!

— Raczej owoc — odrzekł zagadnięty tonem nieco kwaśnym. — Ovoc, mam wrażenie, który już niejeden prócz męża kosztował. Ale na szczęście mąż się nie liczy.

— Brzydki cynik! — odrzekła na to panna Józefa i, wzięwszy bez ceremonji pod rękę kawalera, pociągnęła go w stronę ogrodu.

Romantyczny ten spacer trwał zresztą krótko, ponieważ nadszedł czas przebrania się do kolacji.

Te przygotowania zajęły dużo czasu, niełatwo bowiem dla kobiety jest rozwiązać zadanie piększczenia się. Szanując własny typ, stara się doprowadzić go do zenitu, a równocześnie stara się go przystosować za zwyczaj do paru naraz typów męskich.

W dużej sali jadalnej stół zastawiony był białymi astringentami, wśród których amarantowe róże tworzyły minjaturowe klomby. Stare kryształowe oraz niepokalanie białe porcelanowe naczynia leżały w płatkach kwiatowych. Na ściennych gobelinach widniały lasy z krain nieznanych. Tu pośród drzew z bajki czaiły się tygrysy o wyrazie okrutnym, czyhające na zdobycz, na gałęziach spoczywały dziwne ptaki ze skrzydłami rozpostartymi do lotu, wszystko już nieco zblakłe, zgaszone przez czas, świadczyło o kilkunastowiecznej kulturze domu.

Hanna ubrana w gazy o skali barw od liljoworóżowych aż do ciemnego fioletu, podobna była do obłoku. Lidja przyodziła suknię barwy młodej trawy, barwy własnych oczu.

Przy stole w Żywych Wodach etykieta nie była zbyt sztywna. Każdy wybierał sobie sąsiadów. Los zdarzył, że obok księcia Wiktora Zastawskiego zasiadł mecenas Paliński, poseł do Dumy. Rozprawiali wesoło i swobodnie, pomimo że byli przeciwnikami politycznymi. Podczas ostatnich wyborów Paliński, przedstawiciel Narodowej Demokracji, zwyciężył księcia, który należał do Stronnictwa Polityki Realnej. Księżę z filozoficznym spokojem przyjął to zrzucenie Opatrzności. Był to niepowszedni typ dżentelmana. Z pośród arystokracji wyróżniał się dużymi zdolnościami. Specjalista w sprawach rolnych, umiał przysporzyć sobie majątku, co mu było trudne do darowania w epoce rewolucyjnej. Do polityki miał pewien pociąg, pewną skłonność do rządzenia, jednak zdolności jego nie znalazły ujścia w epoce, gdy społeczeństwo nie brało w rządach udziału. Księżę z pewną niedbałą obojętnością oczekiwał dla siebie roli czynnej, lecz nie chciał jednak walczyć, okupywać zbyt drogo łatwej a szybko gasnącej, jak słomiany ogień, popularności. Biła odeń duma dziedziczna, dlatego nie zdobył sympatji ogółu. Mecenas, który również parował pychą, pychą self-made-mana, gorzej tylko ukrytą, głośno bez zastrzeżeń sławił nowe zdobycze demokracji.

Pionek w ręku leaderów poważnych, w mniemaniu zaś własnem budowniczy przyszłego ustroju polskiego, uważał za „panią matką“ spodziewany samorząd za wąski przedsięwzięcie do przybytku wielkości narodu. Nową konstrukcję polityczną narodu mecenas widział nietyle oczyma ducha, ile oczyma wodzów

swojego obozu politycznego. Był bardzo wygadany i stale miał na ustach frazesy, w których, niczem leit-motif, powtarzały się „wyzwolenie“ i „prawa ludu“. Pozatem jednak karjerowicz ten nie był pozbawiony pewnych zalet.

Księżę, głosem miękkim, znużonym, mówił cicho, nieco niedbale, jakby obojętnie na to, czy go słuchają.

— Wolność, równość — rzekome ideały! Puste frazesy, które rozbrzmiewały już w portykach Aten. Wiek XVIII wyciągnął je ze starego lamusa, a głupia epoka dzisiejsza w nie wierzy!

— A jednak demokracja — zaperzył się mecenas — ma swoje zasługi niespożyte. Czy nie jest jej zdobyczą uświadomienie ludu?

— Uświadomienie? — książę wzruszył ramionami. — Ależ lud wcale nie jest dotychczas świadomy. Stado wyborców, zjadaczy bobu, jak ich nazywa Platon, idzie za frazesem i obietnicą — głosuje nie za tym, do kogo ma zaufanie, lecz za tym, kto je zjedna obiecanką cacanką.

— A więc książę jest zwolennikiem autokracji?

— Ja tam wolałbym, żeby los rozstrzygał o tem, kto ma rządzić. Z dwojga złego system losowania wydaje mi się stanowczo mniej głupi, niż głosowanie. A nuż przypadkiem objąłby rządy ktoś powołany?

W tej chwili pani Mirecka, sąsiadka księcia, wielka flirciarka — którą Monkud nazywał „gotykiem płomienistym“, zagadnęła swego sąsiada, uwalniając go od rozmowy z mecenasem. Była to kobieta imponująca,

o kształtach wspaniale rozwiniętych, strzelistością postawy i przepychem stroju przypominająca katedry. Płomienista zresztą była jedynie zwierzchu. Ktoby się zbliżył do tych misternie stylizowanych płomieni, spostrzegłby, że zamiast żaru bił od nich chłód. Pani Mirecka należała do osób najlepiej ubranych w Polsce. Stroiła się też chętnie nie tylko w paryskie suknie, ale i w uczoność. Należała do gatunku kobiet, o których powiada Bossuet, że „elles lisent comme elles se coiffent“. Wtrąciła się do rozmowy z pewnością siebie tem większą, że była trochę popsuta przez hołdy towarzyskie. Udając wielkie zakłopotanie, wyrazem twarzy i całą postawą dając rozmówcy do zrozumienia, że jest entuzjastyczną jego sojuszniczką i korną uczennicą, wyznała księciu, że pilnie śledzi jego działalność i że boleje, iż tak mało ludzi dzieli jego poglądy. Mówiła ślicznie z prostotą, która była dla niej sztuką najwyższą. Jeszcze zaś piękniej umiała słuchać jego odpowiedzi.

Księżę bynajmniej nie miał pretensji do wielkości. Nie myślał nawet, że może być nieodzownym trybem w maszynie społecznej. Pani Mirecka robiła na nim wrażenie książki o ładnej okładce i banalnej treści. Wiedział zgóry, że w ostatnich rozdziałach jest mowa o małżeństwie. Nie miał najmniejszej ochoty ich doczytywać i chwałbę przyjął chłodno. Piękna pani musiała szukać szczęścia u drugiego sąsiada.

Na drugim końcu stołu młodzież rozmawiała z ożywieniem o Bergsonie. Panienki i maturzyści zachwycali się modną teorią o intuicji, twierdząc, że wyka-

zuje ona zbędność trudu myślenia. Mądrość swą młodzież czerpała oczywiście nietyle z osobistej znajomości dzieł Bergsona, ile z grasującej podówczas w Warszawie epidemii odczytów.

— Teoria ewolucji twórczej, zasada wiecznego ruchu i przemian nie jest właściwie nowa — z pewnością siebie oświadczyła brunetka z wesołym buziakiem. — Znano ją już w zamierzchłej starożytności.

Siedząca obok niej jasnooka blondynka wyraziła wątpliwość, czy pogląd ten jest słuszny. Brunetka upierała się, że ma rację.

— Ależ tak! na pewno. Teorię wiecznych zmian postawił pewien grecki filozof. Zaraz. Jakże on się nazywał? Nazwisko jego mam zapisane w zeszycie. Zaraz, zaraz, przypomnę sobie.

Namyśliła się, poczem z triumfem w głosie krzyknęła na cały stół:

— Już wiem! — Pantarej!

Gwar rozmów wzrastał. Wino rozgrzało humory i wyostrzyło języki. Nagle zapadła cisza, jak nożem uciął. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku drzwiom jadalni, na której progu pojawiła się wyniosła postać męska. Był to Roman Stolcburg. Czterdziestoletni brunet o skroniach osypanych lekkim nalotem siwizny, od których odbijała matowa wprowadzie i blada, ale młodzieńcza cera. Szczupły, gibki w ruchach, krzepki i energiczny, był uosobieniem męskości. Wysokie czoło o dwu wydatnych sklepieniach, znamionujące wybitną inteligencję, nos prosty, grecki, o nozdrzach chłonnych i bardzo ruchliwych, usta o wyrazie gorzko

wzgardliwym, zwłaszcza zaś oczy ciemno-niebieskie z błyskami stalowemi, nadawały mu wyraz władczy. Przywitawszy panią domu, złożył sztywny ukłon reszcie towarzystwa i, nie zaszczyciwszy nikogo przywitaniem osobnem, zajął miejsce obok Lidji. Do końca kolacji rozmawiał wyłącznie z nią, ku wielkiej rozpaczy przede wszystkim mecenasa, który niewymownie byłby szczęśliwy, gdyby mógł z leaderem zamienić choć parę słów. Roman Stolcburg od szeregu lat poświęcił się całkowicie sprawom politycznym. Gruntowna wiedza (studjował w Oksfordzie), fenomenalny dar politycznej wyobraźni, pozwalający nietylko zdawać sobie sprawę z sytuacji obecnej, lecz i przewidywać ogólne, a koniecznie muszące zajść wydarzenia, wreszcie talent organizowania ludzi i narzucania swojej woli postawiły go na czele polityków, pracujących w Dumie nad polepszeniem bytu narodowego. Idei jego naogół nie rozumiano, zbyt ciężkie wymagania, jakie stawiał sobie i innym, wielu od niego odstręczały. Patrzono na niego z podziwem, a równocześnie z pretensją, że nie jest taki, jak inni. Nikt się nie domyślał, że twardy ten człowiek woził ze sobą w walizce tomik poezyj.

Goście wstali od stołu. Księżę podszedł do Hanny. Powinnowała mu podboju serca płomienistej damy.

— Obawiam się — rzekła — że to powodzenie doreszty cię zbłąduje.

— Nie dbam o takie zdobycze. Wszystkichbym się wyrzekł, bylebyś ty, Hanno, była dla mnie łaskawsza.

I bardzo delikatnie, napoły żartem, napoły poważnie skierował rozmowę na osobiste wyznania. Hanna spuściła głowę. Oczy jej posmutniały. Czyżby wzruszył ją ten hołd męskiego serca? Głosem łagodnym powiedziała:

— Nie czuję w sobie zupełnie zdolności małżeńskich. — Nieśmiałe jej spojrzenie, gdy mówiła te słowa, dopraszało się przebaczenia.

Księżę zakończył rozmowę, uniknąwszy wszelkich akcentów urazy. Ukrył starannie zawód, który go spotkał zresztą nie po raz pierwszy.

— Najgorsze są tak zwane dobre kobiety, które nigdy nie mówią słówka „kocham“.

— Lecz zato najwierniejsze w przyjaźni — odrzekła Hanna ze słodyczą.

Rozstawszy się z księciem, podeszła do Romana, który stał na uboczu, pijąc czarną kawę.

— Nareszcie się ciebie doczekałam. Rozumiem, że jesteś zajęty, lecz muszę z tobą pomówić o sprawach bardzo ważnych.

— Nie wiem kiedy. Dziś masa gości, jutro zaś wcześniej muszę wyjechać.

Powiedział to z miną, w której Hanna wyraźnie wyczytała krytykę i niezadowolenie. Zanim zdążyła się wytłumaczyć, Roman oddalił się, żeby odstawić pustą filiżankę.

Młode pokolenie wesoło opuściło salę jadalną. Większość pobiegła ku łódkom. Reszta rozproszyła się po alejach parku, wspólniczkach rozmów gorętszych i wyznanych marzeń. Z bliższych stron ogrodu docho-

dził do osób siedzących na tarasie wesoły szczebiot i perlisty śmiech. W alejach dalszych, ciemnych i tajemniczych rozlegał się, być może, inny szelest przesłodki — szelest pocałunku. Słuchał go z obłęsnym uśmiechem posąg białego fauna. Wiedział dobrze stary bożek, que c'est une vieille habitude, qui ne tombera jamais en dessuétude.

Na tarasie siedzieli „patrjarchowie“ vulgo „nudziarze“, jak ich zwali młodzi. Sędziwy pan Burski, przyjaciel rodziców Hanny w erze popowstaniowej, wybitny działacz społeczny, znakomity ekonomista, długoletni prezes Towarzystwa Kredytowego — rozmawiał z Niemirowskim, Monkudem i księciem. Niebawem do tej grupy dołączył się Roman, a za nim weszła na taras Hanna. Mówiono o projektowanej przez młodych wycieczce do Białowięży. Niemirowski — „najmłodszy z młodych“ — miał wielką ochotę przyłączyć się, jak mówił, do swoich rówieśników.

— Znałem litewskie bory. Byłem w nich zamłodu. Wiosną rosły tam kwiaty z bajki. Nadkwiaty. Nadziola. Większe od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Pachniały też inaczej, mocniej, upojniej, niż wszystkie inne. Zwierzęta też były łaskawsze, niż zwykle zwierzęta leśne. Nie uciekały na mój widok, zaprzątnięte ważnemi sprawami. Węże szeleściły „śliską piersią dotykając ziola“, ptaszki przefruwały w słońcu, ćwierkając radośnie zapadały w gąszcz tajemniczy. Zdawało mi się, że każdy kwiat chylił się do kwiatu bratniego, każdy twór szukał swego dopełnienia w in-

nym pokrewnym tworze. Las szumem prastarych drzew zdawał się śpiewać hymn weselny. Szczęśliwy, kto w taki wiosenny dzień idzie ręką w rękę z umiłowaną po ślubnych kwietnych kobiercach, owiany wonią, bijącą z ziół, jak trybularzy. W takim momencie wszystkie miłosne sprawy, które litewskie bory w sobie kiedykolwiek kryły, ożywają w pamięci człowieka, błędzącego po nich. Las bąbał mi o zamczkach myśliwskich Zygmunta Augusta — króla miłośnika, który zapominał w nich o wszystkim, o królestwie, o wielkości swego powołania, nawet o godności ludzkiej w ramionach kochanic. Bąbał o czystych miłościach Kościuszki dla Sosnowskiej i Mickiewicza dla Putkamerowej. Bąbał o wszystkich tęsknotach miłosnych Litwy.

— Lasy litewskie były nie tylko tłem miłosnych idylli — odparł książę. — W nich krzepiło się i hartowało męstwo narodu. W zapasach z dzikim zwierzem uczyli się Litwini walki z wrogiem. Łowy Jagiełły i Batorego nie były tylko pustą zabawą. Z nich się rodziły sny o potędze. Były szkołą wojny dla twardych leśnych ludzi. Były też spiżarnią dla naszych wypraw wojennych. W nich prowiantowały się nasze armje, dążące zarówno pod Grunwald, jak i na Moskwę. Z nich szły dary królewskie — łosie chrapy i niedźwiedzie łapy na dwory Europy.

Stanisław, który przez cały czas rozmowy patrzył w stronę rzeki, za którą hen na skraju widnokręgu czerniał las, las litewski, zaczął głosem cichym, jakby sam do siebie, deklamować strofę Słowackiego:

— Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy porosły długimi,
Miał swoją puszcę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę nad niemi.

Umilkł, a Hanna dopowiedziała strofę drugą:

— A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi tak, jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał tak, jak morza słucha.

Zapadło milczenie. Myśli obecnych pomknęły ku puszczom odwiecznym, będącym zawsze schronieniem dla wiary ludu. Wszakże w puszczach, na niedostępnych, obronnych uroczyskach odbierali niegdyś krwawe ofiary rodinni litewscy bogowie. W puszczy chronił się wierny im lud, przed burzącymi święte lalki zbójami krzyżackimi. A kiedy gontyny padły i na miejscach ołtarzy Perkuna pozatykano krzyże — lud, nie wyrzekłszy się dawnych gusł, przyjął nowego Boga. Zaczął go czcić i bronić z tą samą żarliwością, z jaką bronił dawnych. I znów płynęła krew w obronie zamykanych przez siepaczy prawosławia leśnych cerkiewek unickich. Nietylko za Boga lała się krew ofiarna. Lała się ona także w obronie ojczyzny. Padaly w jej obronie nietylko ludzie, ale i drzewa. Z rozkazu carskiego satrapy poćwiartowano puszcę szerokimi przerebami, żeby łatniej tropić kryjących się w niej powstańców.

Myśl o puszczy litewskiej dla każdego mieszańca kresów, wychowanego w tradycjach r. 63,

nasuwała nieodparcie myśl o powstaniu. Nic dziwnego, że rozmowa skierowała się na ten temat.

Pan Burski, teoretyczny przeciwnik powstania, liczył w zastępie sybiraków wielu krewnych i przyjaciół. Miał wiele współczucia dla tego szlachetnego szaleńca i wiele czci dla dusz ofiarnych. Księżę utrzymywał, że powstanie było głupstwem, które tylko o tyle możnaby było darować, o ileby się udało. Twierdził, że przedstawicielami prawdziwej polskiej racji stanu byli Czartoryski, Lubecki i Wielopolski. Mówił, że zdaniem jego należy utrzymywać jak najściślsze stosunki z Petersburgiem, że wpływami kobiet, salonów, dużo można zdziałać dla sprawy polskiej. Przytaczał na dowód księżnę Ostrorożynę, która podczas powstania uratowała wielu ludzi od grożącego im stryczka — swojemi stosunkami z arystokracją rosyjską. Wywody swoje zakończył zdaniem, że przyszłość Polski może się ułożyć pomyślnie tylko w ścisłym związku z Rosją.

— Dosyć już tego — kończył — bezcelowego kultu klęsk. Polska może się dźwignąć tylko pokutną pracą, nie zaś żałobą.

— Zapewne, kult klęsk to nonsens polityczny — rzekł cichym głosem pan Burski. — A jednak któżby z nas wiedział o obskurnym wąwozie greckim, gdyby Leonidas zwyciężył w Termopilach. *Blut ist eine besondere Saft.*

W tej chwili od strony wsi doleciał odgłos sygnaturki na Anioł Pański. Towarzystwo na tarasie przestało rozmawiać i czekało, aż dźwięk ten prze-

brzmi. Cisza zapanowała. Poczem odezwał się stary największy dzwon kościelny i wydzwonił dziewięć miarowych uderzeń. Wszyscy wiedzieli, co one znaczyły. Niosły wspomnienie dalekie pól Warny — bohaterskiej postaci młodocianego króla i krwi ofiarnej¹⁾.

— Znów nabożeństwo do klęski — rzekł niecierpliwie książę.

— Klęska mimo wszystko woła o zwycięstwo — powiedział pan Burski. — Naprzekór wszystkim racjom ja w Polskę wierzę.

— I ja też — rzekł Stanisław.

— I ja — szepnęła Hanna.

— A pan, panie Romanie — zagadnął Niemirowski? Stolcburg powstał z krzesła. Głosem twardym, głosem, który z dumskiej trybuny umiał narzucać wolę swoją nawet wrogom, odparł:

— Dla mnie to nie jest kwestja wiary, ale wiedzy. Ja *wiem*, że Polska będzie.

Wzruszona Hanna podała mu rękę. Ścisnęła ją gorąco, i wydało jej się, że zawarli z sobą w tej chwili nierozzerwalne przymierze.

W mroku przedwieczornym ruchu tego nie spostrzegł nikt, prócz Stanisława.

¹⁾ Od pięciu niemal wieków, zachował się w wielu kościołach, tradycją uświęcony zwyczaj, podzwonnego na intencję króla Władysława Warneńczyka i jego rycerzy. (Przypisek autorki).

ROZDZIAŁ CZWARTY

Widzę, bo nie widzę.

(Słowa przypisywane Św. Teresie).

W kilka dni po rozjechaniu się gości Hanna jechała samochodem do Olch wraz z Lidją, posępną, oddaną jedynie własnym, tajemnym myślom. Oddawna wybierała się z wizytą do swej przyjaciółki. Odwiedziny przyspieszyła z tego powodu, że nie udało jej się naradzić z Romanem o losie swej wychowawcy. Stolcburg wyjechał nazajutrz po przyjęciu w Żywych Wodach, wezwany telegraficznie do Warszawy. Nagły ten wyjazd sprawił pani Hannie przykrość. Zwykle trudy i troski umiała znosić sama, doszła jednak do chwili, w której czuła potrzebę pomocy i mądrej rady kogoś bliskiego.

Patrząc na Lidję, wtuloną w kąt samochodu, pani Hanna zastanawiała się, czy skuteczne będzie zbliżenie Lidji do Cecylji. Już kilkakrotnie starała się poddać dziewczynę wpływowi tej wyższej istoty, ale zawsze dotychczas bez powodzenia.

Lidja myślała: — Ciocia chce, żebym wylądowała na wysepce, której na imię „Cnota“. Wysepka ta to

siedziba nudziarstwa, stercząca w morzu uciech, którym na imię „Życie“. Aliści bogobojne te zamiary z pewnością się nie udać. Prędzej czy później wskoczę do morza, wykapię się w niem i cała sperlona w promieniach słońca wyjdę, jak Anadjomene, budzić zachwyt rzesz. I szydzić będę z tchórzów godnych pogardy, obawiających się rozkosznej tej kąpeli.

Droga, prowadząca do Olch, pociągała oczy pełnią swojskich uroków, wijąc się wśród licznych stawów, które na rudziejących polach były jak zwierciadła, odbijające wszystko, co niebo dać raczy. Hanna w tym złotym dniu nie odczuwała tej radości, jaką jej zwykle dawało obcowanie z pięknem. Myślała o tej, do której jechała, o najbliższej sercu jej istocie, skazanej na dozgonną noc.

Myśląc o niej, wzdrygnęła się boleśnie. W pamięci jej stanęła tragiczna chwila, kiedy Cecylja straciła wzrok. Była świadkiem tego wypadku.

Wiosna była naówczas i one same były wiosną. W uroczej dolinie Pieve di Sori, drogą, obramowaną kwiatami, jechali konno we trójkę: Cecylja, Nadaveri i Hanna. Wszystko naokół tchnęło światłem i obietnicą szczęścia. Hanna pozostała nieco ztyłu, by narzeczeni mogli swobodnie pomówić. Carlo pochylił się właśnie ku towarzyszcze, aby wyrzec jej odwieczne, bodajże najpiękniejsze ze słów, jakie zna język ludzki. Nagle koń Cecylji, spłoszony z niewiadomej przyczyny, skoczył w bok i stoczył się do parowu. Znaleźli ją zemdloną, białą jak rzeźba z marmuru, rzuconą w krzewy kwitnące. Przez długie tygodnie młody or-

ganizm walczył ze śmiercią. Wreszcie Cecylja otworzyła duże jasne oczy. I wtedy to wydarł się z jej ust krzyk straszliwy:

— Matko, nie widzę!

Mimo kalectwa narzeczonej, miłość młodego Włocha stale wzrastała. Podczas choroby pielęgnował ją razem z jej matką i Hanną. Zdawał się być jej oczami, które patrzyły za nią. Smutnemu narzeczeństwu kres nagle położył niespodziewany odjazd, niemal ucieczka Cecylji z Pieve di Sori. Opuszczony, nieświadomy pobudek zerwania Carlo dochował wierności a la sua eterna fidanzata.

— Ciociu, ciociu! Dojeżdżamy! — zawołała Lidja głosem ostrym, który obudził Hannę z zamyślenia.

Samochód wjechał w aleję Olch, ciągnącą się nad brzegiem rzeki. Stare drzewa zdawały się pić z ożywczych źródeł, czerpiąc siłę do długich żywotów. Sędziwe pnie, stróże wodnych nurtów, rzucały długie cienie na migocącą toń. W ogromnym parku roilo się od siedzib ludzkich, połączonych krążgankami z wielkim domem, stojącym na górze. Od tego domu na wszystkie strony biegły ścieżki w kwietnem obramowaniu, wijąc się w poplątane meandry. Za parkiem rumieniły się owocem sady, a na polankach sierść jasna i rudawa bydlą tworzyła w słońcu plamy lśniące. Stado kóz o suchych, klasycznych kształtach przyglądało się z bezprzedmiotowym smutkiem rozdokazywanym owieczkom. Wszędzie było pełno kwiatów. Tworzyły jaskrawe wysepki na trawnikach, pięły się po białych

budynkach. Woń ich jednoczyła się z dojrzałych jabłek zapachem. Strumyki wartkie i śpiewne, podsycając bujność soczystych traw, dążyły do pochyłości ku rzece — matce, okrążającej posiadłość dookoła.

Wybiło właśnie południe. Godzina wypoczynku. Ogród zdawał się być zupełnie pusty. Nagle na ganku zawołał jakiś głos:

— Goście jadą!

Na ten okrzyk w całym parku rozległy się nawoływania, jakby głosy wabiących się ptaków. Dziewczęta, rozsypane po sadach, zaczęły się zbierać w gromadki i podążyły pachnącymi ścieżkami ku gankowi budynku głównego. Samochód otoczyła gromada dziewczynek, wołając radośnie: „Siostra Hanna przyjechała!”

Ostatnia nadeszła Cecylja. W wełnianej białej sukni robiła wrażenie średniowiecznej przeoryszy. Jej piękne, choć niewidzące oczy, pod wpływem wzruszenia, jakgdyby się ożywiły. Ręce obu kobiet odszukały się i czule złączyły. Zostawioną Lidję w gronie dziewczątek zajęto podziałem przywiezionych łakoci. Obie przyjaciółki oddaliły się ramię w ramię w głąb ogrodu. Nie Hanna wiodła Cecylję, lecz Cecylja Hannę. Usiadły w altance oplecionej różami i rozpoczęły gawędę. Cecylja opowiadała Hannie o swoich ostatnich wyprawach po okolicach bliższych i dalszych, o swoich wędrówkach po kurnych chatkach, gdzie wyszukiwała niewidome kaleki. Straszny i beznadziejny był byt tych „kalek ciemnych“, jak mówią chłopci, będących dla ich rodzin narzędziem żebry. Gnane bez wy-

poczynku w skwar czy mróz do oddalonych parafii na odpusty i jarmarki, często chłostane nielitościwie, gdy z powodu osłabienia zwalniały kroku, pozostawiane były podczas żniw lub sianokosów własnemu losowi, udręce głodu i osamotnieniu. W takie dni nieszczęśni najżywiej odczuwają swoje upośledzenie. Pewnego razu zdarzyło się Cecylji znaleźć w jednej wsi aż trzy „ciemne“, które, jak zranione zwierzęta, szukały cichego kąta, by ukryć w nim swój ból. Jedna z nich w atakach rozdrażnienia dochodziła niemal do obłędu. — Gdzie mam iść? — lamentowała ciągle. — Komu ja potrzebna? Kto mnie zechce? Nie pójde ja miedzą śród zbóż, nikt mnie nie weźmie za rękę — powtarzała. Dziewczyna ta dzisiaj w „Ognisku“ olszańskim była prawą ręką Cecylji. Inną z uratowanych przez Cecylję desperatek poślubił niedawno pewien samotny gospodarz.

Nowin tych słuchała Hanna z żywym zajęciem. Wszystko, co dotyczyło Cecylji i jej dzieła, obchodziło ją nie mniej od jej własnego życia. Wiedziała, że dzieło to posiada wielką doniosłość społeczną. Wychowanki panny Olszańskiej, po paru latach pobytu w jej zakładzie, wracały do rodzinnych zagród i, choć ciemne, siały wokół światło. Dzięki szkole niejedna z nich mogła pracować nawet w zakresie gospodarstwa domowego. Ociemniałe okazywały się także pojętnymi ogrodnikami: oczy miały w końcach palców. Ale głównem ich zadaniem była siejba idei. Dzięki nim pod litewską strzechę przenikała wieść o ojczyźnie. Dzięki nim dzieje polskiej sławy i męki

docierały do wielu zakątków. Wieśniak okoliczny uczył się szanować ociemniałe kaleki. Olchy wpływały na podniesienie się poziomu moralnego ludu.

— Ale jakż ze mnie egoistka — wykrzyknęła Cecylja. — Mówię ciągle o sobie, a nie pytam wcale, co słychać u Ciebie!

— Mam sporo trosk. Największą z nich stanowi Lidja. Nie wiem już sama, co mam począć z tą dziewczyną i pragnę zasięgnąć twej rady.

Głosem stroskanym zaczęła opowiadać o tem, że Lidja jest zakochana w Marysiu Olsztyńskim, pustym, ładnym chłopcu, nie chcącym nic robić pomimo zdolności, małoletnim, pozbawionym zupełnie zasad i charakteru i będącym w zupełnej zależności od swej matki, kobiety złej i ambitnej, która na pewno niezgodziłaby się na przedwczesne małżeństwo syna. Lidja poznała go w maju w Poniatówku u pani Książkowej.

Młodzi chodzili z córką domu Rózią po ogrodzie, słuchali śpiewu słowików. Maryś, obdarzony pięknym tenorowym głosem, śpiewał panienkom włoskie piosenki miłosne. Gorąca natura Lidji zapłonęła odrazu. Pani Tęczyńska myślała, że to ogień słomiany, który rychło zgaśnie. Niebawem jednak przekonała się, że rzecz jest poważna. Lidja mizerniała, kaprysiła, miała napady smutku i wybuchy zniecierpliwienia, pisywała listy i odbierała je.

Cecylja, wysłuchawszy zwierzeń pani Hanny, zamysliła się głęboko, szukając rady. Jedyłą, jaką znalazła, była myśl wywiezienia Lidji zagranicę. Zdaniem

jej, tylko czas i przestrzeń mogły wpłynąć na zmianę myśli dziewczyny.

Dzwonek, wzywający na obiad, przerwał rozmowę. W refektarzu, gdy Hanna z Cecylją do niego weszły, nie było jeszcze nikogo. Pani Tęczyńska usiadła na stałym swoim miejscu obok Cecylji. Sala jadalna, obszerna i długa, podobna do klasztornych refektarzy, zakończona była od południowej strony powietrznymi arkadami, jakgdyby wielkimi oczyma, zwróconymi ku światłu.

Ze swego miejsca Hanna widziała ogrody, zbiegające po stromym zboczu ku płaskiemu widnokręgowi. Z zachwytem spoglądała na litewski fresk, rozpięty za arkadami aż po widoczną hen daleko puszcę, która granatowym krańcem opierała się o jasne południowe niebo. Niebo w tej chwili było iście włoskie. Pani Hanna miała wrażenie, że jest w Italji. Opodal rzeki na skłonach wzgórza widniały zagony warzywnego ogrodu, mieniające się najrozmaitszemi tonami zieleni w grzędach kapusty dojrzałej, w srebrnolistych krzewach kardów i karczochów, w delikatnych koronkach marchwianej naci. Bliżej widziała pełen uroku park, polanki zalane słońcem obok ciemnych gaików, bogactwo sadów z plonem złotych i czerwonych jabłek. Pośród trawników i krzewów wiły się żółte węże ścieżek, obrębionych płonąciami nasturcjami, werbeną, białą stokrocią i złotymi słonecznikami. Małe te aleje kwietne zdawały się śpiewać pod słońcem wesoły hymn wczesnej jesieni. Nad jasnemi pawilonami góro-

wała strzelista świątynia muzyki. Budynek okrągły, wsparty na kolumnach, pokryty miedzianą kopułą.

Nagle w spokojnym i sennym krajobrazie obudziło się życie. Nad ogrodem przeszedł cichy wietrzyk. Drzewa jęły się chwiać, i leciuchne rozkołysane gałązki pnących róż zajrzały do jadalni. Pani Hanna miała wrażenie, że fresk się ożywił. Z gajów wyłoniły się żywe istoty. Korowód białych postaci sunął po wysłonecznionej drodze. Wychowanki Ogniska zbliżały się w rytmie powolnym, a pełnym wdzięcznej powagi. Niektóre niosły snopy amarantowych floksów, pęki olbrzymich astrów, długie łodygi malw. Parę niosło na głowach gestem greckich dziewczek kosze złotych moreli, melonów i jabłek. Istne kapłanki Pomony. Zdawać się mogło, iż pod słodkim ciężarem owoców dążą do przybytku bogini ogrodów. Ociemniałe podnosiły chwilami oczy ku słońcu, częściej jednakże opuszczały powieki, co nadawało ich twarzom wyraz skupienia. Niektóre z wychowanek Ogniska na oczach miały opaski. Złożywszy na stole owoce i kwiaty, zajęły swoje miejsca. Potoczyła się rozmowa swobodna, choć przyciszonym prowadzona głosem.

Towarzyszył jej zgiełk wróbli, które, jak zwykle, na porę posiłku zleciały się pod okna. Najzuchwalsze z nich wlatywały nawet do refektarza i wskakiwały na ramiona biesiadujących. Ociemniałe nazywały wróble po imieniu, głaskały je, karmiły okruchami, a na ich twarzach jawiły się uśmiechy. Uśmiechy były na wszystkich twarzach. Jedna tylko Lidja wyglądała na

znudzoną. Zimmem, bezmiłośnem spojrzeniem obejmowała wydziedziczone siostry.

Po obiedzie i odpoczynku pani Hanna z Lidją brała udział w zajęciach wychowanek. Zaszły także na lekcje popołudniowe. Każdy przedmiot wykładano w innym budynku. Do budynków tych prowadziły ścieżki, z których każda obramowana była innym rodzajem kwiatów. Zapach rezedy wiódł tedy niewidome do klasy historii, zapach heljotropu do klasy przyrody. Zatrudnienia przyrodnicze pozwoliły Cecylji zająć się Hanną dopiero pod wieczór. Po podwieczorku siadły ponownie i zaczęły rozmawiać. Hanna wyraziła przyjaciółce zachwyt z powodu znacznych postępów, jakie zaszły w Olchach od ostatniej jej tu bytności.

— Wyobrażam sobie, ile radości daje ci sianie naokół siebie szczęścia.

Twarz Cecylji posmutniała.

— Szczęście? Czyż szczęście istnieje?

— Nie wolno chyba wątpić o tem Tobie, która posiadasz uczucie Carla; jestem pewna, że prędzej czy później poślubisz go.

— Nigdy — zawołała z mocą Cecylja, a potem ze słodyczą dodała.

— Pisujemy do siebie czasem: nie miałam odwagi i nie miałam prawa odmawiać mu listów. Te listy Carla to światło mego życia, ale i to skończyć się powinno: Widzisz on jest ostatnim z rodu, a rody mają swoje prawa. Może uda mi się skłonić Carla do upragnionego przez jego rodzinę małżeństwa.

Z uśmiechem melancholijnym dodała Cecylja, że czeka cierpliwie na starość, która miłość uświęca, oczyszcza i przetapia na przyjaźń.

— Hanno, obie wstępujemy w godzinę zachodu.

Zamilkły. Ścieżką obok altanki przeszła gromadka sióstr, podążająca w stronę świątyni muzyki. Wieczór zapadał. Ogród tonął w ciszy i spokoju. Przyjaciółki powstały z ławki i podążyły za dziewczętami. Czar chwili przerwało zjawienie się Lidji, chmurnie wędrującej po parku.

— Dekoracja pozująca na Arkadję — myślała. — Uwienieczone pastreczki schodzą się snąć na jakoweś święto. Oto Filida i Chloe. Lecz gdzie są pastuszkowie i stwory na kozich nóżkach? Bez nich Arkadja jest królestwem nudy. Mimo to święta Cecylja i biała ciocia cieszą się. Oto jesteśmy wpobliżu świątyni. Nie zabrzmi tu jednak namiętny epitalam.

Kolumnadę pawilonu, otoczonego staremi sosnami, krasiały ostatnie blaski zachodu. Śpiewaczki skupiły się w gromadę na estradzie. Jedna z dziewcząt zajęła miejsce przy organkach. Cecylja stanęła wśród dziewcząt. Dała hasło rozpoczęcia. Wgórę wzbił się klasyczny psalm Dawidowy, mistrza starej Wenecji, Benedetta Marcello. Uroczysta postawa śpiewaczek, przechylone wtył głowy, rozwarte w ekstazie różowe łuki ust, oczy niewidzące, bądź to zmrużone, bądź też wpatrzone nieruchomo w przestrzeń — wszystko to stwarzało nastrój religijny. Pieśń zażegwiała pieśń. Po modlitwie zabrzmiał śpiew życia: „Domu ukochany“, kompozycji Gintera, sławiący uroki ziemi litew-

skiej, ciepło domowego ogniska, poufność dachu rodzinnego. Śpiewaczki czule skupiły się wkoło Cecylji. Prześpiewały jeszcze parę innych utworów, a zakończyły koncert modlitwą „Boże coś Polskę”. Hanna trwała pogrążona w myślach. Obserwowała twarze śpiewaczek. Widziała, że czar muzyki objawia się ociemniałym bezporównania potężniej, aniżeli widzącym. Przymknęła oczy, pragnąc upodobnić się do nich i wczuć się w ich uczucia. Obudził ją nagle wybuch śmiechu. Lidja z sarkastycznym wyrazem twarzy wyszczerzyła ząbki, jak drapieżne zwierzątko:

— Że się też ciocia przejmuję śpiewem tych kalek. Naco się to im przydaje? Tym słowikom w klatce nic już chyba nie pomoże do złapania męża.

Sala opustoszała. Panie wyszły za orszakiem sióstr, który niebawem rozpierzchnął się po alejach.

Białe postaci zamajaczyły ponad czarną rzeką, niby gromada duchów nad nurtami Lety. Noc połykiwała miliardami światła. Po przezroczystej bezdni nieba śmigwały od czasu do czasu meteory.

— Noc — myślała Hanna. — Dla ociemniałych trwa ona wiecznie. Och, jakżeby była ciężka, gdyby nie światła przewodnie, gdyby nie gwiazdy wiary i nadziei, które świecą w ich niedoli.

Poczuła, że ją ogarnia jakby upokorzenie wobec Cecylji. Świat widzialny, który ją otaczał, wydał jej się bezporównania marniejszy od świata wewnętrznego przyjaciółki. Chwyciła ją za rękę i ze czcią przycisnęła do ust.

Tego dnia więcej z sobą nie rozmawiały. Hanna i Lidja zaraz po wieczery udały się na spoczynek. Hanna słyszała przez ścianę, że Lidja, zamiast się kłaść, chodzi niecierpliwie po swoim pokoju. Po pewnym czasie drzwi, łączące sypialnie — otwarły się naciężaj i bez pukania zjawiła się w nich postać dziewczyny z rozpuszczonemi włosami.

— Ciociu! nie wytrzymam tu ani jednego dnia dłużej. W tem więzieniu! W tem szpitalu! Jeśli chcesz przedłużyć to świętych obcowanie z temi kalekami, to zostań tu sama. Ale mnie pozwól jechać do Mizi. Zmiłuj się ciociu. Pozwól mi wyjechać!

Mizia Walicka mieszkała niedaleko Olch w Dołubowiczach. Była to osoba wesoła i niegardząca rozrywkami, ale równocześnie o tyle poważna, że pani Hanna bez niepokoju mogła pozwolić Lidji na tę wizytę. Wolałaby dziewczynę zatrzymać przy sobie, widząc jednak jej rozdrażnienie, nie chciała jej doprowadzać do wyraźnego buntu. Nie uważała, żeby towarzystwo ojca Mizi, starego, schorowanego dziwaka, zbyt często przypominającego przygody swojej młodości, było dla Lidji najważniejsze, z drugiej strony jednak liczyła, że ten „vieux beau” potrafi trzymać język swój na wodzy w obecności córki. Ostatecznie przyzwolenie dała i obiecała dziewczynie na jutro pożyczyć samochód.

Po wyjściu małej jędzy, Hanna położyła się do łóżka. Długo sen nie chciał skleić jej powiek. Myślała o sobie i o Cecylji. Robiła coś w rodzaju rachunku

sumienia, który nie wypadł na jej korzyść. Cecylja posiadała wiarę czynną. Hanna wprowadzie wierzyła, lecz wierzyła bierniej. Powtarzała sobie: Trzeba wierzyć mocniej: jak Cecylja, jak Roman. Z tą myślą usnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ja chcę żyć.

(*Piosenka rosyjska*).

Hanna zamierzała pozostać w Olchach przez cały tydzień. Pobyt w tem zaciszu, obcowanie z Cecylją dawało jej ukojenie i szczęście. Wiedziała, że i Cecylja jest szczęśliwa, iż ma ją przy sobie. Upłynęło parę dni błogich, niezamąconych żadną przykrością. Żywą radość sprawiało Hannie poddawanie swej woli bez zastrzeżeń prawom rządzącym zakładem i kierownictwu Cecylji, łagodnemu i mądrymu, jak władza matczyna. Brała udział w zajęciach szkoły ogrodniczej i uczęszczała na wykłady. Pracowała w bibliotece, przepisując książki dla użytku ociemniałych specjalnym, wypukłym alfabetem *Brail'a*, wytłoczonym na tekturze uczyła też niewidome posługiwać się maszyną do pisania. Czytywała też wiele wieczorami i medytowała, odprawiając coś w rodzaju rekolekcyj. Interesowały ją mocno wszystkie zagadnienia, dotyczące niewidomych. Zastanawiało ją podanie o pewnym filozofie starożytnym, który wyklął sobie oczy, by

z tem większem skupieniem, nie podlegając rozerwaniu myśli, jakie sprawia świat zewnętrzny, moc rozumować. Zastanawiała się nad Miltonem i nad Homerem, którzy potęgę swych poetyckich wizyj zawdzięczali być może ślepotcie. Zastanawiała się nad aforyzmem przypisywanym Świętej Teresie: Widzę, bo nie widzę. Ale pomimo najlepszej woli i żarliwości, z jaką starała się upodobnić do przyjaciółki, dorównać jej w zaparciu się siebie nie była w stanie.

Rozłąka z Lidją była dla Hanny dużą ulgą. Odpoczywała nerwowo, nie musząc nieustannie znosić kapryśków dziewczyny. Była o nią zupełnie spokojna, wiedząc, że u Mizi nie spotka jej nic złego. To też jak grom z jasnego nieba spadła na nią depesza z Warszawy, z której wynikało, że Mizia od dwu tygodni bawi w tem mieście i że, co zatem idzie, Lidja przebywa w Dołubowiczach w towarzystwie starego pana Walickiego. Pan Walicki, człowiek zepsuty, nadawał się jak nikt inny do ułatwienia Lidji zabrnienia w awanturkę. Przerazona Hanna bez chwili wahanja postanowiła natychmiast jechać po wychowanie.

Późnym wieczorem samochód Hanny opuścił Olchy i traktem napoleońskim, zapuszczając się w coraz to ciemniejszy wąwóz drogi leśnej, pędził w ciemność. Wyprzedzała go długa smuga światła, rzucanego przez reflektory. Snopy blasków padały na boki drogi, oświetlając patetyczne gesty starych lip i wierzb, skręcanych przez wichurę. Chłodny, jesienny niemal wiatr, nie dawał się jednak Hannie we znaki. Wpatrzona

w smugę, lecącą przed samochodem, zdawała się mierzyć ucieczkę przestrzeni i czasu. Na twarzy miała wyraz niepokoju. Od czasu do czasu wykonywała jakiś ruch nieusprawiedliwiony żadną potrzebą, od czasu do czasu pochylała się ku szoferowi i wołała: „Prędejl! Prędejl!“.

Zajechawszy przed podjazd pałacu w Dołubowiczach, Hanna odzyskała panowanie nad sobą. Służba powiedziała jej z zakłopotaniem, że pan Walicki jest chory i od tygodnia nie opuszcza łóżka.

— A gdzie panna Lidja? Proszę jej nie mówić że przyjechałam. Chcę jej zrobić niespodziankę.

— Panienska i pan hrabia Olsztyński jedzą kolację w oranżerii.

Pani Hanna zbłądła. Ogromnym wysiłkiem zdobywszy się na zwyczajny ton głosu, rzekła:

— Proszę mi wskazać drogę.

Pawilon, zwany oranżerją, stał w głębi parku, w miejscu ustronnem, zarostem gęstemi krzewami. Z szeroko otwartego okna biło światło i dochodziły dźwięki fortepianu. Pani Hanna ostrożnie podeszła do okna i, zasłonięta dzikiem winem, zajrzała do środka. Na stole leżały resztki kolacji, niedopite kieliszki i dwie butelki wina. Maryś, rozwalony na trzcinowej kanapie, zarzuconej barwnymi poduszkami, siedział z przymkniętymi oczyma, trzymając w ustach zgasły papieros. Włosy miał w nieładzie, krawat przekrzywiony — znać było po zmiętej cerze, że nadużył alkoholu. Lidja również rozłargana, z pałającymi policzkami, siedziała przy pianinie, brzdąkając „matchitschę“. Nagle odrzu-

ciła wtył głowę, uderzyła parę akordów i zaczęła śpiewać tęskną rosyjską piosenkę: „Ja chcę żyć“.

Pieśń mówiła o kropelce wody, która pragnie wyzwolić się z pod ziemi na powierzchnię, aby być bliżej słońca, dotrzeć do strumienia, zobaczyć kwiaty nadbrzeżne. Kropelka tęskniła. „Ja chcę żyć“ — szepotała na początku swej skargi. W każdej strofie następnej tęsknota jej potężniała. Już nie tylko do nadbrzeżnej kwiecistej łąki dążyła, lecz do równin dalekich, do lasów cienistych, do wiatrów potężnych, które dmą na brzegu wielkich rzek. Chciała popłynąć do wielkiej Wołgi, by w nurcie jej przerzynać żyzną Rosję. „Ja żyć chcę“ — wołała coraz namiętniej porwana wartkim nurtem. Za małą była dla niej już Wołga olbrzymia. Pragnęła bezkresu wielkich mórz, pragnęła zatopić się w toni bezdennej, pod niebem bez granic.

Śpiew umilkł. Lidja obróciła się na taburecie i spojrzała ku Marysiowi. W tej chwili właśnie głowa chłopca przechyliła się na bok, a z głębi piersi wydarło się ziewnięcie. Otworzył szeroko oczy i oprzytomniał. Na twarzy jego zjawiał się uśmiech niezupełnie szczery, mający wyrażać rozczulenie. Wyciągnął ku dziewczynie ręce. Zanim Lidja zdążyła do chłopca podejść, drzwi oranżerii otworzyły się naoścież i stanęła w nich pani Hanna. Bez słowa, jakgdyby nic nie zaszło, podniosła leżący na krześle płaszcz i zarzuciła go na ramiona Lidji. Zaskoczona dziewczyna pozwoliła się uprowadzić bez najmniejszego oporu. W kilka chwil później do uszu oszołomionego zdarzeniem tym

Marysia doleciało warczenie odjeżdżającego samochodu.

Pierwszym czynem pani Hanny po powrocie do domu było wysłanie obszernego listu do Romana, w którym powiadomiła go o całym zajściu. W dwa dni później Roman kazał się zameldować hrabinie Olsztyńskiej, w pałacu jej, słynnym z architektury i zbiorów sztuki. Wprowadzono gościa do kwadratowego salonu, wyłożonego włoskimi marmurami, którego główną ozdobę stanowiły portrety kobiece. Królowały tu kobiety z epoki stanisławowskiej, z uśmiechem dwuznacznym, sprzeciwiającym się często z wyrazem spojrzenia. Były kobiety z epoki Ludwika Filipa i kobiety z epoki Napoleona III. Po obu stronach drzwi, na które Roman spoglądał niecierpliwie, zły, że mu kazano czekać, wisiały dwa wizerunki pani domu. Jeden z nich, pendzla Kaulbacha, przedstawiał hrabinę w siedemnastym roku życia w stroju Diany, w białym, krótkim fałdzistym chitonie, spiętym na ramieniu kameą. Artysta oddał znakomicie rozpęd dybiącej na zdobycz łowczyni, o nieskazitelnym rysunku nogi, wysuniętej naprzód, w niespokojnym konturze zgiętego w biegu kolana. Po drugiej stronie drzwi, dzieło Lembacha ukazywało również hrabinę Olsztyńską w pełnym rozkwicie kobiecości. W sukni pomarańczowej, siedziała w pozie niedbałej, z głową odrzuconą wtył. W oczach jej rozmarzonych czaiło się jakby wspomnienie przeżytych rozkoszy, a w kąciakach ust krył się wyraz okrucieństwa. Drzwi się otworzyły i w progu stanęła, jak w ramie trzeciego

obrazu, pani Olsztyńska, w trzeciej fazie rozwoju. Włosy miała już siwe, ale na twarzy jej nie zgasła jeszcze uroda. Wyraz okrucieństwa i chęć władzy malowały się wyraźniej, niż dawniej.

Roman skłonił się wchodzącej tak sztywno, że hrabina stała się od razu dwukrotnie bardziej wyniosła i lodowata, niż zwykle.

— Czemu mogę zawdzięczać niespodziewaną wizytę? — wycodziła przez zęby.

Roman odpowiedział grzecznie, lecz rzeczowo, że przychodzi w sprawie Marysia i Lidji. Przedstawił hrabinie zajście w Dołubowiczach i oświadczył, że, zdaniem jego, jedynym wyjściem z tej sytuacji jest zaręczenie obojga młodych.

Hrabina słuchała Romana z udanym zdziwieniem. Spróbowała sprawę zbagatelizować i powiedziała, iż nie widzi żadnej racji, aby brać poważnie tak dziecinną awanturkę.

Wyraz twarzy Romana kazał jej jednak zmienić ton rozmowy. Zrozumiała, że człowiekowi jego pokroju nie można zamydlać oczu nieszczeremi minami. Postanowiła zatem od razu wytoczyć argumenty rzeczowe, uniemożliwiające związek syna jej z Lidją. Pierwszym z tych argumentów była Zoe. Hrabina z miną poważną, tonem proszącym o przebaczenie, że dotyka bolesnej struny, dała Romanowi do zrozumienia, że syn jej nie może się żenić z córką osoby tak ekscentrycznej, jak jego bratowa. Zamiast odpowiedzi Roman podniósł oczy na portret matki hrabiny Olsztyńskiej, malowanej przez Winterhaltera, pani Po-

ryckiej, której wybryki posiadały rozgłos europejski. Następnie spojrzał na hrabinę tak miażdżąco, że musiała zasłonić oczy powiekami.

Roman znał dokładnie historię rodziny Poryckich. Wiedział, że dziadek hrabiny był rządcą u pradziadka Lidji. Sprzeniewierzył się swym dawnym panom i źródło swego wielkiego majątku zawdzięczał interesom nieczystym. Matka hrabiny weszła do rodziny Olsztyńskich bramą złotą, bez której dumny ten ród na pewno by jej nie przyjął.

Hrabina porażkę wzrokową głęboko wzięła do serca, postanowiła jednak tego nie okazać.

— W każdej rodzinie — rzekła — zdarzają się wykolejency. Jeżeli jednak i w naszej nie brakowało łajdaków, to w każdym razie nie było w niej na pewno ani jednego głupca. Przyzna pan, że głupstwem by było nie do darowania, gdyby Maryś zaślubił dziewczynę bez posagu. Syn mój jest niepełnoletni, osobistego majątku nie ma ani grosza, po ślubie zatem groziłaby mu nędza.

— Zwracam pani uwagę — powiedział znacząco Roman — że Lidja posiada bogatego stryja.

W oczach hrabiny zamigotał ognek zainteresowania. Piękne jej ręce, mieniające się od drogich kamieni, zaczęły bezwiednie poruszać długimi palcami. Należała do osób, które mnożenie majątku poczytują za najwyższą cnotę, wiedziała zaś, iż Stolcburga stać na to, aby wyposażyć hojnie bratanicę. Ponad chciwością jednak górowała w hrabinie nienawiść za doznaną przed chwilą obelgą i niechęć do tego człowieka, któ-

ry wszystkich traktował zawsze zgóry, wszystkich kłut w oczy niezłomnością swoich katońskich zasad, hrabinie zaś przy każdej sposobności okazywał szczególne lekceważenie.

Nie mówiąc ani słowa, sięgnęła po torebkę i wydobyla z niej list.

— Niech pan to przeczyta — powiedziała, podając go Romanowi.

Stolcбург od pierwszego rzutu oka poznał pismo Lidji.

Dziewczyna pisała:

— Kochany Marysiu! Jestem w Dołubowiczach, uciekłam tu z Olch, gdzie mnie ciocia chciała przez cały tydzień zanudzać świętobliwym towarzystwem Cecylji. Mizi w domu nie zastałam. Jestem tu tylko w towarzystwie pana Walickiego. Spodziewam się, że skorzystasz z okazji i natychmiast przyjedziesz tutaj do swego kociaka. Pojęcia nie masz, Marysiu, jak mi jeden dzień pobytu w Olchach dokuczył. Nie mogę patrzeć na cikliwy stosunek ciotki do Cecylji. Ta ich miłość wzajemna wydaje mi się zupełnie bez sensu. Przecież naprawdę kochać może tylko mężczyzna kobietę i kobieta mężczyznę. Oj Marysiu, Marysiu, gdybyś ty wiedział, jak ja tęsknię za twemi objęciami. Przybywaj do mnie czem prędzej. Przyjeżdżaj niezwłocznie. Taka okazja niełatwo się nam zdarzy. Głupia ciocia nie podejrzewa niczego. Nie domyśla się na pewno, jaką skarbnicą pobłażliwości jest dla młodych pan Walicki. Staruszek tęskni potężnie do swoich tempi passati. Umie odwracać oczy, gdy trzeba.

Pamiętasz, jak zręcznie kilka razy zostawiał nas samych i ułatwiał nam spacer. Będzie nas na pewno podsłuchiwał pod drzwiami, ale co nam to szkodzi. Niechaj staruszek bawi się naszym kosztem, jak umie.

O gdybyż biała ciocia i twoja Matka tak życzliwie mogły traktować nasz stosunek! To byłby raj! Niestety, dla twojej Matki ideałem jest gotówka. Wiesz, że chwilami z całego serca niecierpię tej chciwej i skąpej kobiety, która zagradza mi drogę do szczęścia. Bywają momenty, że życzę jej, aby umarła, bo wówczas nic nie będzie dzielić mnie od Ciebie

Kocham. Tęsknię. Całuję. Czekam.

Lidja.

Hrabina z ironicznym wyrazem twarzy przyglądała się Romanowi, czytającemu pismo.

— Przyzna pan — rzekła, gdy skończył — że niema na świecie kobiety, któraby pragnęła mieć za synową dziewczynę, zdolną do napisania podobnego listu.

Roman powstał z krzesła. Twarz miał kamiennie nieruchomą. Choć tego nie okazywał, był przygnębiony. Nic absolutnie nie miał już hrabinie do powiedzenia. Skłonił się równie zimno, jak i przy powitaniu, i opuścił pokój.

— Cóż za głupiec! — myślała hrabina po jego odejściu. — Przy swojej urodzie, pozycji i majątku mógłby, gdyby chciał, mieć wszystkie rozkosze życia. Niema chyba kobiety, któraby się oparła jego wdziękowi. Tymczasem woli żyć jak mnich, pieniądze marnuje na głupią politykę, uciechami gardzi, na ko-

biety zaś, które mu się narzucają, nie zwraca najmniejszej uwagi. Warjat! Warjat!

Tymczasem Roman, idąc pieszo przez miasto, myślał ze smutkiem o Lidji. O dziewczynie tej miał do tej pory wyobrażenie niezgodne z rzeczywistością. Znał wprawdzie jej niepohamowany temperament, nie przypuszczał jednak, iż krew matki odezwie się w niej tak głośno. Z przykrością myślał, iż Lidja nie odziedziczyła żadnej z zalet swego ojca. Pomimo to nie czuł w tej chwili do niej najmniejszej niechęci, raczej głęboki żal i niepokój o przyszłość tej istotki. Wróciwszy do siebie, usiadł przy biurku i napisał list do Żywych Wód, w którym, zdawszy sprawę ze swej niefortunnej misji, radził pani Hannie, aby natychmiast wywiozła wychowankę zagranicę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W początku września pani Hanna z Lidją wyjechały zagranicę. Anielka pozostała w domu pod opieką Stanisława. Dowiedziawszy się przez znajomych, że „bazyliśsa“ bawi w Konstantynopolu, pani Tęczyńska postanowiła spędzić kilka tygodni w Wenecji. Przyjechały do miasta w nocy. Gondola przewiozła je przez tajemniczą śpiącą lagunę do Hôtel Paradiso, na Lido. Nieco klasztorna architektura hotelu, duże, wysokie, białe pokoje obiecywały spokój i ukojenie. Obudziły się nazajutrz wcześniej i, pijąc śniadanie, przyglądały się morzu. Małe łodzie rybackie o żółtych żaglach robiły wrażenie stadka motyli, pijącego niebieską wodę. Zdawało się, że lada chwila pofruną.

Po śniadaniu wsiadły w gondolę i kazały się zawieźć na Piazza San Marco. Nie zatrzymując się ani przed katedrą, ani przed pałacem Dożów, pani Hanna zawiodła Lidję od razu na Campanillę, aby ze szczytu wieży ogarnąć jednym spojrzeniem cały kraj św. Marka. Na zielonej powierzchni wód rozsiane wysepki zdawały się spać. Krążyły pomiędzy nimi małe *vaporetta*, jakże niepodobne do świetnych galer, których

tysiące pręły niegdyś tafle tych wód, za czasów świętości Rzeczypospolitej.

Dzisiaj fort San Nicolo był głuchy i pusty. Armaty, obwieszczające powroty zwycięskiej floty, umilkły w nim już oddawna. W porcie majaczyło kilka transportowców, jakże niepodobnych do owych naw, które w przeszłości zwoziły bezcenne porfiry i bloki marmurowe, złupione za morzem, dla przystrojenia Królowej Adriatyku. Pani Hanna myślała o owych czasach, w których Wenecja walczyła przeciwko cesarzowi, Węgrom, Grecji, Turkom, Genui, zdobywa Cypr, Kandy, Cyklady, chorągiew z lwem świętego Marka zatykała na kopułach Bizancjum, w czasach kiedy Wschód cały drżał na dźwięk jej imienia. Myślała o ludziach, których to miasto wydało, o niepowszedniej miary awanturnikach, kupcach, rycerzach, bohaterach, męczennikach dla idei wielkości, potęgi, bogactwa ojczyzny. Myślała o Bragadim, który, stojąc na pokładzie, opływał krwią z czterdziestu ran, odma-wiając Miserere, o Dandolu, który wyruszył na bój, mając lat dziewięćdziesiąt kilka, o wielu innych, których żywoty były jak legendy godne fresków epickich. Myślała również o zmierzchu potęgi lwów św. Marka, o śmierci Wenecji, sytej chwały i bogactw, umierającej w rozkoszy, w śpiewie. Smutek ogarnął duszę pani Hanny. Spojrzała na Lidję. Wyczytała na twarzy zupełną obojętność dla piękności miasta i wyraźne znudzenie.

To samo znudzenie malowało się na twarzy dziewczyny w muzeach i kościołach, które zwiedzały

następnie. Nie zajmowały jej ani plafony Weronesa, ani niebiańskie dekoracje Tiepola, ani nawet Donna Umile Belliniego — ta przeczysta dziewczeczka, zdająca się śnić słodko w aromatach kadzideł. Lidja była głucha na wymowę dzieł zarówno Tycjana, jak Tintoretta. Pewnego dnia zwiedzały Scuola di San Marco. Panią Hannę przejęło i wstrząsnęło do głębi Ukrzyżowane Tintoretta, ta wizja męki, wcielona przez mistrza w najwyższem uniesieniu ducha, obraz, na którym cała natura zdaje się ugiąć pod grozą dramatu kalwaryjskiego, a ziemia zdaje się drgać, jakby odczuwając zbawczą zbrodnię. Patrząc na to nadludzkie dzieło, pani Tęczyńska była głęboko wzruszona. Lidja pozostała zimna, jak głaz.

Któregoś dnia, wchodząc do pokoju wychowawcy, pani Hanna zastała ją czytającą „Le Cantique d'été”. Znała tę książkę. Pamiętała rozmowę o niej na tarasie pałacowym w Żywych Wodach. Tylko Niemirowski, który był pobłażliwy dla wszystkiego, co płynie z miłości, wyrażał się przychylniej dla tego utworu, zaprawionego duchem Owidjusza, Anakreonta, oraz nowych piewców erotyki — inni wydawali o książce sąd znacznie surowszy, z którego wypływało, że „Le Cantique d'été” nie jest odpowiednie dla młodej panny. Na widok ciotki, Lidja nie zdradziła żadnego gestu zawstydenia. Zachowała się zupełnie tak samo, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy ją pani Hanna zastała pijącą jakiś likwor wprost z butelki. Cała była wówczas oblana syropem, który lepkiemi strugami spływał po jej fartuszk. Oczy jej, błyszczące pod wpływem

alkoholu, mierzyły ciotkę zuchwale. Obecnie, we wzroku starszej już o kilkanaście lat dziewczyny, pani Hanna znalazła to samo, co i wtedy. Wzrok jej zdawał się mówić: — Nie chcesz mi dać tego, czego chcę, więc sobie sama poradzę. — Na wymówkę, że czyta książki niestosowne, dziewczyna odrzekła:

— Niestosowne? Może dla ciebie ciociu. Ty rozumieć takich rzeczy nie umiesz. Miłość, to nie twój świat. To ogród wysoką otoczony kratą. Ty nie wejdziesz tam nigdy. A ja... ja się tam dostanę, choćbym przez wyższe kraty miała przeskoczyć. Jeśli na ostrzach żelaznych podrę białą sukienkę, to będzie twoja вина.

— Jakto moja вина?

— A no tak. Zamiast mi pomóc do małżeństwa z Marysiem, stawiasz mi przeszkody. Ale ja je pokonam. Marysia mieć będę.

— Czy jesteś aby pewna, że cię kocha?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna wybuchnęła płaczem.

W parę dni później zwiedzały stary pałac, należący do pewnego zdziwaczalego Anglika, który przez długie lata zbierał obrazy, ilustrujące legendę o Faustynie. Kochał się w tej legendzie niezupełnie zagasłej della ammalota innamorata. Na Fondamenti Nuovi w pałacyku wychodzącym na morze, naprzeciw wyspy *San Michele* w różowym okrągłym pokoju wisiał cykl obrazów, odtwarzających dzieje „chorej zakochanej Faustyny“.

Na samym wstępie uderzyło panią Hannę podobieństwo Faustyny do Lidji. Te same nóżki małe,

wąskie, rączęta maleńkie, długa szyja, runo włosów rudych, oczy barwy morza i nasek o skrzydłach dyśzących niecierpliwie i usta królewskie dumnie wzgardliwe — te same...

W cyklu tym naśladowca szkoły Tiepola przedstawił żywiołową pogoń za nieuchwytnym majakiem szczęścia. Dziewięć obrazów, dziewięć faz pościgu, na których młodzianka Faustyna, postać niewątpliwie realna, zrazu z wiarą w oczach, a później już z wyraźną męką, wyciągnawszy przed siebie białe ramiona, goni wciąż wymykającą się jej mglistą zjawę. W szalonej tej gonitwie, odległość od widma się nie zmniejsza, ale gaśnie stopniowo radosny blask spojrzenia, ale znużenie i rozpacz bladeścią twarz powleka. Aż w ostatniej fazie następuje finał pościgu. Faustyna leży na ziemi, z wyciągniętymi jeszcze rękoma, z cieniem śmierci na rysach, już jako strzęp zżarty przez szale.

Na widok tego rozwiązania dramatu Faustyny panią Hannę tknęło jakby złe przeczucie. Ogarnął ją jakby lęk czy niepokój. Mimowoli spojrzała na chmurną twarz Lidji. W ciągu ułamka sekundy wydało się jej, że to nie Faustyny jakiejś koleje i los, ale jej wychowanki. Lidja odczuła widocznie niepokój ciotki, który i jej się udzielił. Z przesadną skwapliwością, dla pokrycia zmieszania, jęła wypytywać dozorcę pałacu o właściciela tego zbioru, o jego życie, a nawet o wiek i urodę.

— Och, signorina — stękał staruszek, pobrzękując kluczami. — Mój pan dobry jest człowiek. Dobry

i hojny, ale trochę z głową nie w porządku, malato della mente. Kiedyś w młodości kochał signorinę podobną bardzo do tej oto Faustyny. Gdy umarła popadł w melancholję. Codzień tu kilka godzin przed temi obrazami milczący przesiaduje i patrzy nienasytnie, a potem jedzie nad morze do ogrodu rodziców nieboszczki i tam liczy mijające fale. Czekają śmierć cierpliwie. Ten ogród, signora, nazywa się Paradiso. Na Giudecca. Radzę go zwiedzić, signora, to prawdziwy raj.

Osobliwy jakiś ruch na morzu pociągnął panie ku oknom. W kierunku San Michele płynęła wolno duża biała barka. W gąszczu kwiatów, girlandami spływających po bokach łodzi, żłobiącej w wodzie srebrzystą brzoźdę, stało białe pudło trumny. U węgłowia jej klęczał młodzieniec z głową pochyloną w ruchu bezsilnej rozpacz.

Za białą barką sunęło czarne stado gondol — zgiełkliwe nawet w pogrzebowym orszaku. W ciszy południowej brzmiały okrzyki współczucia „povero fidanzato“, jednostajny mamrot pieśni kapłańskich i śpizowy akord dzwonów, witających nowego mieszkańca Campo Santo.

I znowu pani Hanna przeniosła strwożony wzrok na Lidję. Dziewczyna stała blada z rozchylonemi ustami, a w otwartych jej oczach kłębił się strach paniczny. Cofnęła się gwałtownie od okna i zawołała:

— Chodźmy stąd! Chodźmy prędzej!

Za radą dozorcę pałacyku pojechały po południu do ogrodu na Giudecca.

U wrót Paradiso, z za murów, opanowanych przez zieloną i rudawą roślinność, owiał je cały bukiet zapachów. Mocne oddechy mięty i róż weneckich pogłębiły tylko smutek pani Hanny. Myślała o swoich zapachach ruty, centyfolji, rezedy, i żałowała w tej chwili, że nie jest na Litwie. Ogród był istotnie wspaniały. Jakiś patrycjusz w dawnych czasach kazał narysować te aleje, wybudował willę z rzeźbami, rozsypał posągi po ogrodzie. Powstały tu liczne pergole — labirynty, aby ci, którzy się szukają, niepostrzeżenie schronić się tu mogli ze swoją tajemnicą miłości. Obok laurów i cyprysów rosły tam jabłonie i grusze, okryte owocem tak pięknym, jaki się widuje na obrazach Tycjana i Veronesa. Prastare figowe drzewa chyliły gałęzie sękatę, jak ręce spracowane, zdające się podawać pęknięte czarne owoce. Soczyste latorośle winne spuszczały nisko ciężkie złote grona, kusząc przechodnia. Drzewa łączyły się z sobą konarami, spletały się w nierozzerwalną gęstwinę, kwiaty, pełzając po ziemi, dążyły ku marmurowym konchom, aby pić gęstą zieloną wodę. Bujne pęki białych astrów tuliły się do wielkich drzew, delikatne kwiatki drobnutkich chryzantem rozweselały mrok zarośli. Dalej wznosiły się na wysokich łodygach ostre płomyki kwiatków barwy koralu. Heljotrop, rozrosły w krzewy, wspinał się wzwyż, opadał gęstemi gałązkami, narzucał się powonieniu odurzającym zapachem. Wszystko tchnęło bujnem, barwnem życiem, chociaż czas zataił już ślady stóp pięknych postaci, uwiecznionych w obrazach Palma Vecchia, tych kobiet o ciężkich, skręco-

nych zwojach włosów, jak sznury złota na małych główkach. Odeszły do nieba zamyślane dziewczeczki Belliniego, zabrawszy ze sobą skarby swoich czystych dusz. Bogowie starożytni leżeli w trawie, obaleni ręką czasu. Litościwe kwiaty przykrywały kalectwo marmurów. W cienistym gaju oliwnym leżał bezręki posąg Afrodyty. Róże miłośnie kryły jej nagość. Nad pięknem tego ogrodu ciążyła pustka i milczenie.

Pośrodku ogrodu, otoczona nieprzenikliwą ścianą zieleni, świeciła mała, kwadratowa sadzawka, jak oprawiony w marmur fragment nieba. Onga tafla jej odzwierciadlała pocałunki kochanków. Dziś odbijała tylko przelot chmur. O pocałunkach zapomniała.

Pani Hanna i Lidja rozłączyły się. Pograżona w myślach pani Tęczyńska, ani się opatrzyła, jak ją zaskoczył wieczór. Posłyszała kryształowy głos sygnaturki. Podniosła głowę. Na tle zorzy, poprzez ciemne konary czerniała kopuła kościoła Redentore. Ocknąwszy się z zamyślenia, pani Hanna poszła ku morzu. Nigdy jeszcze laguna nie wydała się jej tak pociągająca, cicha, srebrna. Wybrzeża Malamocco i Pellestrina drgały w oparach zachodu. Czas zmierzchu spadał na ziemię. Wdali sunęły gondole, sylwetki czarne, jak motyw etruski na czerwonym tle wazonów.

Ruchem odwiecznym wędrowców wodnych składali wioślarze rytmiczne pokłony morzu i oddalali się niewiadomo dokąd. Cienie...

Cienie wieczorne przypominały pani Hannie o konieczności powrotu. Zaczęła szukać Lidji i wołać na nią. Nikt się nie odezwał, chwile mijały. Dziewczyna

milczała. Czy przez przekorę? Pani Hanna przelekła się. Przypomniała sobie wszystkie opowieści o zdradliwości laguny i o ofiarach przez nią pochłoniętych. Niepokój jej wzrastał coraz bardziej, zwłaszcza, że mrok zapadał coraz gęstszy. Pragnęła zatrzymać noc. Drżała na myśl, że dziewczynie coś się stało, to znów pocieszała się nadzieją, że Lidja schowała się w krzakach poprostu przez złośliwość. Wreszcie dostrzegła rąbek białej sukni. Lidja siedziała na ziemi, na jakimś złomie posągu. Ciotka zapomniała o lęku i o urazie. Wyraz beznadziejnego smutku na twarzy dziewczyny wstrzymał wymówki na jej ustach. Lidja nieruchoma nie odezwała się ani słowa. Twarz jej, drgająca zwykle życiem, wydała się pani Hannie w półświatle wieczoru zboląta, kamienna, tragiczna... Niemal Faustyna z dziewiątego obrazu.

Ciemniejącymi alejami, poprzez gęstniejący zmrok odeszły bezszelestnie, jak cienie, z tego ogrodu. Okrutny, ponury wydał im się ten ogród, świadek tylu marzeń, upojeń umarłych...

Wzrastająca z dnia na dzień melancholja Lidji napawała panią Hannę coraz większym zmartwieniem. Nie wiedziała, czym dziewczynę rozerwać i pocieszyć. Jedyłą sztuką, która Lidję potrafiła wzruszać, była muzyka. Niestety, o nią było w Wenecji trudno. Minęły czasy, kiedy dusza wenecka wyrażała się śpiewem, kiedy muzyka była umiłowaną sztuką weneccjan, kiedy zagrzewała ich do bohaterskich wypraw i rozbrzmiewała z pokładu zwycięskiego „Bucentauro“. Minęły czasy, o których oksfordzki uczone Burney po-

wiadał, że w Wenecji trzeba mieć sto uszu, czasy, w których, jak powiada Monnier, ksiądz pewien podczas mszy opuścił ołtarz, z obawy, że mu uleci natchnienie melodji. Niegodnego kapłana podobno skazano, ale czciciele sztuki wyprosili mu ułaskawienie. Zamilkły oddawna echa sławnych koncertów w kościele św. Marka, koncertów, podczas których dwie orkiestry, z dwu krańców kościoła, wiodły ze sobą potężny dialog. Podczas tych biesiad muzycznych piękne wenejanki zapominały o motylach miłostkach, przenosząc się na chwilę w świat ideału. Minęły czasy, w których młody Goethe słyszał w nocy na którymś z placów wyśpiewywane wiersze Tassa. Jeden z przechodniów intonował strofę, drugi zoddali mu odpowiedź. Dziś wodny słowik przestał kwilić. Muzyka wenecka przeszła do legendy. Na kanałach dzwięczały już tylko płaskie, trywjalne piosenki, w kawiarniach i restauracjach brzęczały wiedeńskie walce, nad miastem unosiły się poryki syren fabrycznych i ostre sygnały lokomotyw i parowców.

Po nieudanych próbach wysłuchania jako tako bodaj znośnego koncertu, pozostał pani Hannie ostatni już tylko środek rozerwania Lidji — mianowicie suknie. Najcięższe pono chmury w duszy kobiecej może rozproszyc widok pięknej sukni. Pewnego popołudnia zawiozła dziewczynę do pracowni słynnego mistrza Fortuniego, mieszczącej się w Calli w starożytnym pałacu. Fortuni miał podówczas ogromną sławę dzięki pomysłowi kopjowania tkanin i kroju szat antycznych. Przysięgał swoim klientkom, że ubiera je

w te same modele, które nosiły Helena i Andromaka. Lidja przymierzyła niezliczoną ilość prześlicznych istotnie sukien. Ciotka wybrała dla niej szatę mieniającą się barwami jutrzeńki, tak wiotką, jak przedziwo Arachny. Tkaniny mieniły się, drgały bezlikiem drobniutkich kryształków, sprawiających wrażenie kropelek rosy błyszczącej w oparach poranku. Pani Hanna, czcicielka piękna, ze szczerem zadowoleniem przyglądała się młodzietkiej Aurorze, ale zachwyt swój ukrywała, nie chcąc doreszty przewracać w głowie dziewczynie. Zato Lidja nie tała samouwielbienia. Nie mogła się zdecydować na opuszczenie zwierciadlanego pokoiku, którego ściany mnożyły jej postać nieskończoną ilość razy. Zapatrzona w siebie, składała hołd bałwochwalczy swojej młodej piękności. Była jak siostra Narcyza, w odbiciu źródłanem, istna Giovane Dea.

Nie mogąc jej oderwać od strzelistych aktów adoracji, pani Hanna postanowiła poczekać na Lidję na świeżem powietrzu. Opuściwszy zatem templum kokieteryj, poszła na mały plac Marco, gdzie za pół godziny miała spotkać się z wychowanką. Brzmiały jej w uszach słowa Savonaroli: „*Abbruciate, abbruciate la vanità*“. W gasnącem świetle dnia przyglądała się dumnej postaci rycerza, rzeźbionego przez Verrocchia. Stawiała sobie pytanie: kim był Coleoni?

Na osiemnaście lat przed zgonem rzucił miecz najmiły i stał się filozofem. Zebrane skarby obrócił na upiększenie rodzinnego Bergamo. Zapragnął mieć pomnik w Wenecji — tyle się czyta w historii. Dumne oblicze posągu dopowiadało resztę. Drapieżny lew

z Bergamo patrzył w przestrzeń wielkimi oczyma, twarz miał poraną brózdami trudu, usta gorzkie. Na widok tych ust przypomniła sobie pochwałę Bismarcka: *Ein guter Hasser*.

Niebo ciemniało. Blaski słoneczne na kopule gasły. Ostatnie połyski zorzy oblewały sam już tylko posąg. Zdawało się, że cokolwiek zniknęło i że rycerz płynie w powietrzu.

Nowa suknia sprawiła Lidji pociechę chwilową, lecz na drugi dzień dziewczyna znowu popadła w melancholję. Pływały godzinami całemi po kanałach, zwiedzając czarujące zakątki miasta. Lidja była stale milcząca, lub mało mówna, niemal głucha. Na pytania pani Hanny ledwie odpowiadała. Nigdy ciotka nie mogła dostrzec na tej zobojętniałej twarzyczce błysków zachwyty dla natury lub sztuki. Poezja lśniącej przestrzeni wód nie przemawiała do niej. Ale mimo to Lidja lubiła snuć się w gondoli po ciemnych uliczkach, bo to są, jak mówiła, drogi kochanków. Może odczytywała na wodzie dzieje miłosne, napisane hieroglifami refleksów. Podczas jednej z takich przejażdżek spotkały gondolę, wiozącą jakąś parę. Kobieta w przesadnie strojnej i jaskrawej sukni, wojująca resztkami wdzięku, uszminkowana, a obok niej towarzysz o twarzy pięknej, lecz znudzonej. Kobieta ta dla niejednego mogłaby być nawet pożądana przez urok wrytych na twarzy przeżyć. W przejeżdżającej poznała pani Hanna z przerażeniem matkę Lidji. Domyśliła się, że jej towarzysz to malarz Vivarelli.

Panią Hannę zdjął lęk, żeby Lidja nie poznała matki. Obawiała się, że poznanie mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczalne komplikacje. Bała się również, aby Zoe nie poznała jej, na szczęście, bazyliśsa patrzyła w inną stronę. Zbliżała się bowiem gondola żałobna, wioząca jakieś zwłoki ku San Michele. W przejeździe musnęła gondolę Zoe. Na twarzy bazyliśsy odmalował się wyraz przerażenia, jakgdyby lęk spłoszonego zwierzęcia, i wyraz ten, niwecząc pozory młodości, przywrócił jej wiek prawdziwy. Szybko kilkakrotnie przeżegnała się, a równocześnie palcami, wysuniętymi ku cmentarnemu widmu, wykonała znak *jettatury*. To połączenie zabobonu ze znakiem krzyża było uciészne, i tragiczne zarazem.

Łodzie minęły się. Pani Hanna spojrzała ukradkiem na Lidję. Czy skryta dziewczyna poznała matkę? Czy zrozumiała tragizm tej sceny? Na te pytania pani Tęczyńska nie znalazła odpowiedzi. Lidja była spokojna, tylko może nieco bledsza, niż zwykle.

Spotkanie z Zoe skłoniło panią Hannę do wyjazdu z Wenecji. Pobyt dłuższy był bezcelowy, bo nie przynosił Lidji ukojenia. Postanowiła zatem wracać do kraju. „Lidja — mówiła sobie — oddalona od Marysia, utwierdza się w przekonaniu, że ja z Romanem spiskujemy przeciwko jej szczęściu. Gdy wróci do Żywych Wód, a Maryś nie odezwie się do niej, przekonana się sama, jak chwiejne i niestałe jest jego uczucie.

Wypije gorzki lek... i wyzdrowieje, zapomni — młodym tak łatwo zapomnieć, tak łatwo kochać na nowo — podobno“.

W wilję wyjazdu, spędziwszy popołudnie w ogrodach S. Lazzaro, wybrały się pod wieczór na Malamocco. Niebo wdziało szatę purpurową, która się z wolna zsunęła na morze i zbladła. Straciły poczucie rzeczywistości. Nie wiedziały, czy gondola ich mknęła po zaróżowionej toni, czy po niebie. Straciły również poczucie czasu. Nie wiedziały, czy płyną dopiero chwil parę, czy też parę godzin. Światło coraz to bardziej bladło. Barwy nieba i wody stawały się coraz delikatniejsze. Stopniowo zasnuwała je mleczna mgła i ogarniała cisza. Wiatr ustał, słysząc było tylko szmer wioseł, delikatny jak pieszczota. Nagle zoddali doszły do ich uszu ledwie dosłyszalne dźwięki, przedzierając się z trudem przez mgły. Czy to wabiły się ptaki morskie? Hasłu temu niebawem odpowiedziało jakby echo od strony Malamocco. Obie panie słuchały odgłosów tych z bijącym sercem. Może to były zaklęcia miłosne? Namiętym nawoływaniom zawtórował z ziemi odzew czuły, tęskny. Okrzyki i odpowiedzi wzmaczały się, stawały się coraz głośniejsze, im bliżej byli rybacy swych żon i oblubienic.

Lidja przez cały czas trwała bez ruchu. Raptem wybuchła spazmatycznym płaczem. Pani Hanna poczuła, że dziewczyna cała drży. Wzruszona tem cierpieniem, przysunęła się i wzięła ją w objęcia. Lidja odepchnęła ją, krzycząc:

— Zostaw mnie ciociu. Ty mnie nie rozumiesz! Zostaw mnie w spokoju!

Niezrażona pani Hanna przytuliła jeszcze mocniej biedne dziecko. Lidja przez chwilę stawiała opór, lecz

wreszcie się poddała. Złożyła głowę na ramieniu ciotki. Pani Hanna miała wrażenie, że w tej chwili ukołysała trochę żal biednego dziecka.

Gondoljer współczująco szepnął:

— *Povera ragazza innamorata.*

Pani Hanna gestem dała mu znać, aby zawracał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Cosa bella mortale passa e non
d'arte*

Leonardo.

W nieobecności pani Hanny Anielką w Żywych Wodach opiekował się Monkud. Stworzonko to było dla niego uroczą tajemnicą. Robiła wrażenie miniatutki pani Hanny. Te same włosy bujne, lśniące jak mahoń stary, te same gesty, to samo przechylenie głowy, ten sam wreszcie chwilami wyraz. Oczy jednak miała odmienne, jasno szare, przejrzyste, jak krystaliczne źródło. Zdawało się chwilami, że patrzy przez łzy. Malarz chodził z maleńką na dalekie spacer, rozprawiał z nią długimi godzinami, opowiadał jej bajki i nieskończoną ilość razy szkicował jej twarzyczkę. Rozmawiali najczęściej o przyrodzie. Skryta duszyczka Anielki coraz ufniej otwierała się przed artystą. To też w albumie jego powstawały główki coraz bardziej wyraziste, coraz dokładniej objawiające urok oryginału. Główki te były najczęściej zamyślane i smutne. Przez długi czas Stanisław nie

mógł zgadnąć przyczyny rozterki, trawiącej młodą duszyczkę. Wreszcie doszedł do przekonania, że dziewczynka cierpi, ponieważ jej się zdaje, że nie jest dość kochana. Nie знаła nigdy rodziców. Od niemowlęstwa przywykła uważać panią Hannę za matkę. Pani Hanna była jej wyłączną niepodzielną miłością. W przywiązaniu tem było nieco przeczułenia niemal chorobliwego, a nawet zazdrości. Podróż ciotki do Wenecji była dla maleńkiej wprost dramatem. Miała duży żal do Lidji za ten wyjazd i martwiła się tem, że Lidja na pewno zagranicą zdręczy ciotkę.

Portrecik Anielki był Stanisławowi potrzebny do wielkiej kompozycji, złożonej z czterech obrazów, nad którą pracował od lat wielu. Wyobrażała ona cztery pory roku, a równocześnie cztery okresy życia ludzkiego. Tytuł jej brzmiał „Życie“. W każdym z tych obrazów miejsce naczelne zajmowała symboliczna postać kobieca, alegorja „Życia“, będąca wizerunkiem pani Tęczyńskiej. Pracownię Stanisława wypełniała niezliczona ilość szkiców i projektów owej kompozycji. Ze wszystkich ścian patrzyły portrety pani Hanny, bądź wykończone, bądź też zaledwie podmalowane. Żaden z nich nie zadowalał go całkowicie. Od kilkunastu lat męczył się nad tą pracą, wszystkie jednak najboleśniejsze wysiłki zawodziły go dotychczas stale.

Pierwsze natchnienie do tego cyklu przyszło mu w rybackiej wioszczynie pod Neapolem. Szedł o zachodzie brzegiem morza. Ze wzgórz spływały ku morzu gaje oliwne i pomarańczowe, uginające się pod

brzemieniem złotych owoców. Powietrze przesycił zapach heliotropów i frezji. Słońce, podobne do ogromnej pomarańczy, zanurzało się w morzu. Czuł się bardzo osamotnionym. Kilka miesięcy temu postradał matkę. Myślał o niej. Myślał o całej swojej przeszłości. Pochodził on ze starego litewskiego rodu, wywodzącego się, według rodzinnych podań, z kasty kapłanów. Ojciec jego posiadał znaczną fortunę, skonfiskowaną za udział w powstaniu. Uciekwszy z Syberji, wyemigrował do Paryża, gdzie się Stanisław urodził. Wychowany w atmosferze wspomnień powstania i wojny francusko-pruskiej wcześniej stracił ojca. Wychowała go matka, która była dla niego wszystkim. Dbała ona, aby Stanisław otrzymał wychowanie godne potomka Monkudów. Obok studiów malarskich Stanisław pogłębiał swoją kulturę gruntownym wykształceniem uniwersyteckim. Lata, spędzone u boku tej mądrej kobiety, były dla malarza najszcześniejszymi w życiu. Szczęście to zgasło. Wrażliwy młodzian pozostał sam na świecie. Patrząc na przepych zorzy zachodniej, wspominał ostatnie chwile matki, która na łożu śmierci zalecała mu, aby się ożenił koniecznie z litewską szlachcianką. Myślał o powrocie do kraju.

Nagle spostrzegł o kilka kroków przed sobą cudną postać dziewczęcą. Zjawiła się tak niespodziewanie, iż miał wrażenie, że wyszła z morza. Sylwetkę jej, czerniejącą na tle zanurzonej już do połowy w wodzie tarczy słonecznej, otaczał złoty obręb błasków. W dłoni trzymała pęk róż i maków. W chwili, gdy malarz zbliżył się do niej, upuściła przypadkiem

parę gałązek. Młodzieniec schylił się skwapliwie i podniósł kwiaty. Gdy je wręczał nieznajomej, podziękowała mu spojrzeniem zielono-modrych oczu, które olśniło go, jak nagłe objawienie. Nigdy w życiu przedtem nie widział takiego spojrzenia. Zdawało mu się, że w oczach jej ujrzał najintensywniejsze streszczenie życia. Wyczytał w nich „wyraz wieczysty“, skupiający w sobie życie duchowe wielu pokoleń.

Nim jednak zdążył ochłonąć z wrażenia, nieznajoma szybko poczęła się wspinać ścieżką pod górę i znikła w gaju oliwnym. Cały tydzień napróżno szukał Stanisław w okolicy śladów nieznajomej. Wreszcie dowiedział się od rybaków, że w dniu, w którym ją spotkał, wypoczywał w oberży chory cudzoziemiec, który przyjechał samochodem z piękną panią, prawdopodobnie siostrą, czy też narzeczoną. Kim oni byli — nie mógł się dowiedzieć.

Od tej pory przez dwa lata Stanisław nie mógł myśleć o żadnej kobiecie. Wspomnienie modro-zielonych oczu o „wyrazie wieczystym“ prześladowało go nieustannie we śnie i na jawie. Usiłował wyraz ich powtórzyć wielokrotnie z pamięci na płótnie, ale wszelkie wysiłki były daremne. Chwilami wpadał w rozpacz. Odszukanie tej kobiety wydawało mu się niemożliwością, wiedział zaś, że dopóki jej nie znajdzie, dopóty nie odzyska spokoju. Żył w nieustannej męce duchowej, graniczącej z chorobą. Pewnego razu przypadek przyniósł mu pociechę chwilową. W małym muzeum prowincjonalnym ujrzał Madonnę dzieła malarza niewiadomego z XVI w., podobną do nieznajomo-

mej. Malowana *en trois quarts*, miała takie same mahoniowe włosy, takie same dumne usta, ten sam wyraz „wieczysty“ modro-zielonych oczu. Blask zachodzącego słońca wpadał właśnie przez okno i złocił twarz Madonny. Ręce miała rozłożone typowym gestem NMP. Łaskawej. Stanisławowi zrobiło się smutno, że ręce te są puste. Wybiegł na ulicę i, obiegłszy parę kwiaciarni, wrócił z ogromnym snopem róż i maków. Złożył je przed obrazem. Nazajutrz odwiedził Madonnę znowu. Dzień był pochmurny i obraz źle oświetlony. Barwy były zgaszone i zszarzałe. Nie mógł wyczytać wieczystego wyrazu w oczach. Wkrótce później wrócił do Polski. Odziedziczywszy spadek po ciotce, pojechał w rodzinne strony na Litwę. Przez pewien czas bawił w Poniatówku u krewnych swoich, Książców. Tu na procesji Bożego Ciała los zetknął go powtórnie z nieznajomą. Szła, otoczona działawą wiejską, rzucającą kwiaty przed Najświętszym Sakramentem. Trzymała za rączkę najmłodszą dziecinę. W dłoni wolnej niosła naręcz kwiatów — jak wówczas. I znowu uderzył malarza wyraz jej oczu, zapatrzonych w Hostję, „wyraz wieczysty“. Dowiedział się jej nazwiska. Była to pani Hanna Tęczyńska, młodzianka wdowa, serdeczna przyjaciółka Książców. Słyszał jej nazwisko wielokrotnie, nie przypuszczał jednak, aby tak słynna piękność, o której tyle mówiono, była właśnie jego „dzieweczką“ z rybackiej wsi włoskiej. Tego samego dnia przedstawiono go tej pani. Od tej pory Stanisław stał się jej cieniem nieodstępnym. Pozostał nim do dnia dzisiejszego.

Dzisiaj Stanisław, siedząc w swojej pracowni, w t. z. pracowni pani Hanny, rozpamiętywał dzieje ubiegłych lat. Robił rachunek artystycznego sumienia, przeglądając mnóstwo kartonów, szkiców i niedokończonych obrazów. Przez szereg lat starał się uchwycić i oddać na płótnie „wyraz wieczysty“, lecz chociaż odnalazł model, chociaż obcował z nim niemal codziennie, tylko chwilami wyraz ten dostrzegał, lecz nigdy utrwalić nie był w stanie. Praca nad obrazem w nieobecności pani Hanny szła gorzej, niż kiedykolwiek. Zarówno malarz, jak Anielka, czuli się bez pani Tęczyńskiej nieswojo i nie mogli się jej doczekać. Wreszcie pewnego słonecznego październikowego popołudnia — wróciła. Wróciła zmęczona i zatroskana. Powodem tego był stan zdrowia Lidji, która wyglądała bezporównania mizerniej, niż przed wyjazdem. Bezpośrednio niemal po powrocie, pani Hanna napisała list do starego swego przyjaciela dr. Wielińskiego, prosząc go, aby przyjechał zbadać dziewczynę. Doktor pośpieszył na wezwanie, a ponieważ miał trochę czasu wolnego, zdecydował się zostać przez tydzień w Żywych Wodach.

Doktor Wieliński był to człowiek wielkiego umysłu i wielkiego serca. Posiadał ustaloną sławę jako znakomity diagnosta. Miał jak Sokrates obrzydzenie do pieniędzy. Z Lidją nie łączyła go sympatja. Raziła go ta niepohamowana istota bezwzględnością i brakiem subtelności. A jednak żał mu było tego stworzenia pełnego wdzięku, trawionego dziwną słabością, której nie umiał określić. Śmiech dawny, perlisty

śmiech Lidji stał się odmienny, urywany. Coś z jej gracji zwiewnej uleciało. Apetyt zdrowego zwierzątka, zaspokajany bez miary, zwłaszcza, gdy podawano jej ulubione potrawy, zanikł. Doktor Wieliński, zbadawszy ją gruntownie, nie postawił żadnej diagnozy. Powiedział tylko pani Hannie dwa słowa: „Zbrzydła Lidja”. — Postanowił wykryć przyczynę niemocy, która ten młody organizm nurtowała. W tym celu przebywał z nią często.

Lidja według swoich teoryj, wygłaszanych z wielką pewnością siebie, powinna była doktora niecierpieć. „Tacy ludzie — mawiała — to kaleki. Zrzekając się dobrowolnie części szczęścia, należynej każdej istocie, zmniejszają ogólną sumę szczęścia świata”. A jednak mimo swej antypatii dla „cnotliwców”, Wielińskiego darzyła pewną łaskawością. Godziny całe spędzała z doktorem, który jej imponował prawie tyle, co stryj Roman. Wieliński rozmawiał z nią dużo. Starał się zwalczać jej egoizm. W tym celu opowiadał jej o cierpieniach i udręce ludzkiej. Dawniej unikała rozmów na takie tematy, dzisiaj słuchała ich cierpliwie. Przyniosło to pewną zmianę w wyrazie jej twarzy, który zlagodniał. Chodziła z doktorem na dalekie spacery do lasu. Prześliczna pogoda październikowa sprzyjała kuracji. Doktor, miłośnik przyrody, opowiadał dziewczynie o puszczy litewskiej, którą znał doskonale. Urodził się w niej. Znał wszystkie nawoływania jej mieszkańców, począwszy od potężnego ryku żubrów do szczebiotu ptasząt. Opowiadał jej, jak wstrząsające są jęki rannych łani, śmiertelne

przerażenie sarn na odgłos strzału, całe życie lasu, śmierć borów w jesieni, weselną radość wiosny, wszystko, co odczuł jako dziecko. Las w oczach doktora był schroniskiem, gdzie kryły się siły nieznane. Tam poznawał tajemnice bytu. Gdy miała chmurna zima, wówczas las budził się do miłości. Szybko stawał się bardzo śpiewny. Prawo, jakie chyliło trawę ku trawie i kwiat do kwiatu, kierowało powiewem, niosącym pyłki z dalekich stron ku przeznaczonym im roślinom. Lecz obok wiosennego święta natury spostrzegał chłopczyk wcześniej i cień tej szczęśliwości. Nad puszcza ciężła groźna i krwawa legenda. W czasie powstania ukrywali się w lasach, jak zwierzęta osaczone obławą, ludzie. Iluż z nich poległ! Trzy smutne kobiety, które go wychowywały, opowiadały mu, że puszcza pochłoneła trzech młodzieńców, z których jeden tylko powrócił po długiej tułaczce. Ten właśnie zdobył serce jego matki i dał mu życie. Ciotki jego daremnie czekały latami na powrót narzeczonych. Nie wrócili nigdy. I dlatego na licach ciotek, stopniowo więdnących, został do końca ich żywota wyraz oczekiwania. Lidja z początku słuchała opowieści z zajęciem. Niebawem jednak zaczęła się chmurzyć.

— Powstanie — przerwała — ciągle to powstanie! Nudzi mnie ta mara! Nie mam zamiaru ubliżać pamięci pańskich ciotek, ale doprawdy niema chyba kraju na świecie, gdzieby się włóczyło tyle starych kobiet o czerwonych powiekach, co u nas. Ach, zapomnijmy o tych chudych cieniach w tybetowych

sukniach. Niech mi pan opowie coś ciekawszego. Niech mi pan opowie, jaki był wasz dwór, wasz ogród.

— Dom? Dom był biały, kwadratowy, murowany, przerobiony ze starego lamusa. Okalały go białe kolumny, oplecione różami. W podcieniach roily się gniazda jaskółcze. Dzięki tym podcieniom w pokojach panował stale półmrok. A ogród? Cudny był ogród. Pamiętam jego spokój w skwarze południowego słońca. Nad akacjami i słodkimi kwiatami brzęczały roje pszczoł. Brzęczały tak samo, jak melodie Couperina, wygrywane przez ciotki na klawicymbale. Na klombach centyfolij przed domem unosiły się drgające chmury motyli. Dalej na boku był paniński ogródek, pielęgnowany przez ciotki. Tylko białe kwiaty tu rosły — kwiaty ślubne. Nikogo nie wpuszczano do tego ogródka. Znajomi żartowali pocichu ze starych panien, z ich romantycznych nadziei, lecz mnie nie wydawały się one wcale śmieszne. Czekałem razem z niemi na powrót bohaterów, wierzyłem w niego.

Doktorowi, niestety, nie było danem osiąść w domu przodków. Powracał do niego często ze szkół. Lata mijały. Mieszkanki starego dworu poumierały. Wieliński nie miał odwagi wracać do pustych murów. Pewnego razu jednak, trawiony tęsknotą, zawitał w rodzinne strony. Było to w skwarny dzień letni. Konie stanęły przed domkiem stróża, jedynego świadka dawnych czasów. Nie zastał go w izbie. Zdjąwszy pęk kluczy, wiszących na ścianie, skierował się ku dworowi. Na spotkanie jego wybiegły znajome zapa-

chy rozkwitłych akacyj i słodkiej centyfolji. Jak niegdyś, roje pszczoł brzęczały w powietrzu, a chmury motyli drżały nad kwiatami. Zbliżywszy się do drzwi, spotkał nieprzewidzianą zaporę. Krzewy róż, oplatających kolumny, rozrosły się tak bujnie, że na wejściowych drzwiach utworzyły znak krzyża, jak na grobowcu.

Nie miał odwagi niszczyć tego znaku. Zajrzał tylko przez okno i ujrzał w półcieniu portret matki. Długo żegnał się z nim spojrzeniem, a potem odszedł. Majątek odstąpił bratu, a sam postanowił zamieszkać w mieście.

Osiadłszy w Warszawie, oddał się całej swojej umiłowanej pracy. Nie zależało mu na próchnie sławy. Pracował z miłości dla nauki i z miłości dla ludzi. Żył surowo, odmawiając sobie wszelkiej rozrywki. Przeżywał liczne godziny wytężenia i męki. Ileż to razy zstępował jak nurek na dno ciemnego morza, daremnie starając się zgłębić zaczajone tajemnice cierpiącego ciała. Ileż nocy bezsennych spędził u łoża konających, którym nic nie był w stanie pomóc. Ileż spojrzeń błagalnych, pełnych trwogi i szalonej nadziei, zwracało się ku niemu napróżno — ileż razy musiał uciekać się do kłamstw dobroczynnych! Miał jednak również chwile wielkiego szczęścia, gdy mu się udawało wyrwać śmierci ofiarę. Wówczas odbierał spojrzenia dziewczynne i błogosławiące i czuł się panem serc przepelnionych wdzięcznością. Większość kuracyj mu się udawała. To też z roku na rok wziętość jego rosła, wyrabiając mu opinię niemal cudotwórcy. Miał liczne

grono uczniów, od których wymagał nie tylko zalet fachowych, lecz przede wszystkim nieskazitelności charakteru. Mimo trudnych warunków nowicjatu, zastęp jego uczniów zwiększał się stale. Uczył ich nie tylko wiedzy, ale i umiłowania cierpiącej ludzkości.

Dnie mijały. Pani Hanna była nieco spokojniejsza o wychowankę, widząc, że obecność doktora Wielińskiego wpływała na nią zbawczo. Oddawna już była przekonana, że na ten rodzaj kobiet, do jakiego należała Lidja, dobry wpływ może mieć tylko mężczyzna. Z zalem też myślała, że tydzień dobiega końca i że obowiązki nie pozwolą doktorowi zostać dłużej na wsi. Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Lidja odwiozła doktora sama na stację. Była weselsza, niż zwykle. Śmiała się i rozmawiała z wielkiem ożywieniem.

Jechali do kolei dłuższą drogą leśną. Słońce wyleziało z za chmur, strojąc blaskami piękno krajobrazu. Chmury jednak szybko zasnuły niebo, i urok złoty zgasł. Las począł drzeć pod wiatrem jesiennym. Lidja wstrząsnęły dreszcze. Naciągnęła na siebie pled i z dziecinnem rozkapryszaniem rzekła:

— Wszystko zszarzało. Las zbrzydł. Rozpoczyna się w „pięknej Polsce“ okres bezspiewny, beczyny, bezsłoneczny.

— No i zima ma w Polsce swoje białe czary — odparł Wieliński.

— Ja tam wolę wiosnę. Pamiętam, jak mi pan opowiedział o wiosnie w borze litewskim, o przykazaniach przyrody, o tem, że każde stworzenie musi

szukać stworzenia bliźniego, każdy kwiat tęsknić do bliźniego kwiatu, o tem, że las daje przykład ludziom... Pamięta pan? Był pan wówczas na chwilę poetą!

— Dziecko — odparł Wieliński ze smutkiem. — Czy nie wiesz, że kwiaty są szczęśliwsze od ludzi? Kwiaty, które się szukają, znajdują się częściej, niż ludzie. Szczęśliwsze także, że się nie mylą w wyborze.

Twarzyczka Lidji zasępiła się i nie odzyskała wesołości do końca pożegnania. Gdy stała pod oknem wagonu, widziała w dużych dobrych oczach lekarza cały bezmiar życzliwości, jaką dla niej żywił. Skoro pociąg ruszył, rzuciła odjeżdżającemu jedno jedyne, gorące słowo:

— Dziękuję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jako się liście rodzi, tak i ludzkie plemię;
 Jako wiatr liście wstrząsa, okrywa niem ziemię
 A w inne, w czasie wiosny, drzewo się

[przybiera:

Jedno plemię się rodzi, a drugie wymiera.

Homera, *Iliada*,

przekład F. K. Dmochowskiego.

W ostatnich dniach października Różia Książcówna wychodziła za mąż. Pani Hanna do ostatniej chwili wahała się, czy na ślub Lidję z sobą weźmie, ze względu na nieuchronne spotkanie z Marysiem, bliskim krewnym pana młodego. Ponieważ jednak od czasu wyjazdu do Wenecji młodzi nie wymienili z sobą ani jednego listu, Lidja zaś w ostatnich dniach odżyła dawny dobry humor, pani Hanna sądziła, że kryzys uczuciowy uległ przesileniu. Z tego powodu — ostatecznie pojechały obie.

Pałac w Poniatówku był zbudowany w końcu XVIII wieku. Należał niegdyś do Stanisława Augusta. Dolną część jego zajmowały wielkie sale balowe, pamiętające epokę świetności dogorywającej Rzeczypospolitej, kiedy to puste zabawy pochłaniały najważ-

niejszą część życia. Gdy nad ojczyznę szalała niszcząca burza, w augustowskim salonie błękitnym, jak lazur pogodnego nieba, igrały na suficie zastępy amorków, w różowym buduarze bukiety przedziwnie delikatnych różnobarwnych kwiatów kwitły na ścianach. Salon zielony o klasycznych sztukaterjach renesansowych był wiernym odbiciem rzymskiego *palazzo*. Wielką salę, jadalnię, zdobiły szafy gdańskie, wschodnie makaty i kotary, lite słuckie pasy. Najpiękniejsza ze wszystkich sal była rotunda okrągła bez okien, zakończona klasyczną kopułą dającą światło z góry. Była zupełnie biała. Tylko kolumny marmurowe koloru *giallo antico* i siedzenia w niszach, obite amarantowym adamaszkiem, odbijały od kredowej bieli ścian. W przyległej do niej sali balowej złożone sztukaterje tworzyły na ścianach cienkie subtelne koronkowe wzory. Nad drzwiami, prowadzącymi do zielonego salonu wznosiła się galerja dla kapeli, złocisty lekki kosz, z którego opadały dwa łuki schodów, niby dwie wstęgi faliste. W pokojach było wszystko po dawnemu, w lustrach od starości zamglonych odbijały się blado prześliczne berzery i materje wzorzyste. Kryształowe ukwieconych żyrandoli drżały, wrażliwe na każdy krok przechodnia. We wszystkich dolnych pokojach panowała cisza, samotność, pustka. Czy goście dawni zniknęli na zawsze, czy zeszli tylko schodami tarasu na przechadzkę. Może zaraz... znowu powrócą?...

Uproszony przez panią Książcówną, Stanisław Mongud spędził pół dnia na dekorowaniu salonów, które, pomimo swej wytworności, były sztywne i zimne.

Salon renesansowy ubrał w girlandy liści, nie chcąc żadnym innym kolorem zakłócić harmonii zielonego tła. Z materiałem kwiatowym miał sporo kłopotu. Ogród w Poniatówku dostarczył mu tylko kwiatów jesiennych, późnych astrów i chryzantemów. Malarz zbuntował się i zażądał róż, choćby z końca świata. Dzięki temu różowy salonik został ozdobiony blademi różami i wyglądał jak gabinecik z Trianon. Astry i chryzantemy poszły na przystrojenie innych pokoi. Zwarte w girlandy, utworzyły piękną barwną masę, istną orgję kwiatów, pełno ich było wszędzie. Zwisły ciężkimi wieńcami z żyrandoli, z kolumn. Sala taneczna była przybrana kwiatami białemi *homagium alla sposa*.

Skończywszy dekorację salonów, Stanisław ruszył na przechadzkę po parku. Zawsze doznawał uczucia podziwu, mieszanego ze smutkiem, ilekroć zawitał do Poniatówka. Podziwiał smak Stanisława Augusta, a równocześnie nie mógł myśleć bez gorczy o tym koronowanym artyście, który, w chwili, gdy walił się gmach Rzeczypospolitej, pisywał długie listy do cudzoziemskich snycerzy, zalecając misterne wykańczanie mahoniowych konsolk. Główną ozdobę tajemniczego parku stanowiły strzyżone grabowe szpalery, podobne do rzędów wyprostowanych sztywnie dworaków, sadzone według planów któregoś z uczniów pana Le Nôtre. Niegdyś szmer ich liści witał kornie monarchę, dziś postradały nieco dworskiej dyscypliny. Gałęzie ich samowolnie wyciągają się ku sobie, anarchistycznie splecione konary wyskakują z szeregu, zbliżają się do siebie, tworzą przybytki cieniste, do których słońce prze-

dziera się z trudem. Dawno radzono pani Książycowej, aby kazała puścić siekiery na te gąszcze. Nie chciała się na to zgodzić.

Od pawilonów, glorietek, sztucznych ruin wiał przejmujący smutek. W grocie na głowy bogów greckich, spoczywających w uścisku, sączyły się krople wody, żłobiące w nich rysy i szczeliny. W ślad za malarzem szła melancholja krokiem niedostępnym, aksamitnym, wiernym. Błądziła za nim po wąwozach, gdzie chłód wilgotny wieje jak dech grobowy. Przystawała z nim przy zegarze słonecznym, ogołoconym z róż, które go otulały w lecie, i odczytywała razem ze Stanisławem napis: *„Brûle Soleil, Brûle coeur mortel, la nuit approche”*. Krok za krokiem towarzyszyła mu melancholja aż na wysoki taras nad urwiskiem, gdzie uderzał kontrast wykwintnej architektury. Stała przed nim bezkresna smutna pustka, kryjąca w sobie zadumę wsi litewskiej.

Malarz wrócił do domu.

Gdy nadszedł wieczór, w kandelabrach Gouthiera zapalono tysiące świec. Pani Książycowa witała swych gości, stojąc na progu salonu. Niebawem sale zaroily się tłumem. Młodzież skwapliwie krążyła około grona pańien, a raczej koło grupy posagów. Hanna, patrząc na czarne fraki, bolała nad brakiem stylu w ludziach współczesnych, bardzo mizernie wyglądających na przepyszne tło salonów Poniatówka. Tak zwane towarzystwo warszawsko-litewskie nie odznaczało się nadmiarem wdzięku. Panny nie odziedziczyły urody prababek, nie miały nawet naogół ponęt bujnej mło-

dości. Ale smutniejsze jeszcze wrażenie czyniły „filary tańca”. Uderzał brak wysmukłych mężczyzn. Dowódcą hufca tancerzy był pan Oleszewski, wyrocznia w sprawach choreografji. Nosił on w towarzystwie tytuł „wodzireja trzech zaborów”. Był przystojny i wysokiego wzrostu. Oceniał należycie swoje talenty, jako też swoje świetne stanowisko światowe. Szczycił się posiadaniem dużego szlacheckiego majątku na żyznych ziemiach z domem, gotowym na przyjęcie młodej żony. Toteż nie dziw, że nosił się górnio, miał pretensje do zdobycia panny z tytułem co najmniej hrabiowskim, przebierał w zaproszeniach, któremi go zasypywano, bywając tylko, jak się wyrażał: „*dans les maisons principales*”. Przyjęcia w Poniatówku należały — do najbardziej cenionych. Na ślub Rózi zatem przyjechał bez wahania. Obiecał, że poprowadzi tańce z animuszem i estetycznie.

Swego rodzaju sensację sprawiło zjawienie się hrabiny Olsztyńskiej. Przybyła swoim zwyczajem, gdy bal był już w całej pełni. Weszła na salę balową wsparta na ramieniu syna. Hrabina, choć cieszyła się zdrowiem doskonałym, narzekała na modną chorobę artretyzmu. Potrzebnie, lub niepotrzebnie opierała się zwykle na czyjś ramieniu, ukazując się podczas zebrania liczniejszych. W ciągu wieczora zapominała o niemocy i przechadzała się swobodnie po salach majestatycznym krokiem, godnym zarówno Katarzyny Medycejskiej, jak i Katarzyny II. Pierwszą osobą, która jej wpadła w oko, była Lidja. Od początku zabawy Lidja objawiała zmienność usposobienia, to zamyśleniem,

to wybuchami wesołości. Zjawienia się Marysia oczekiwała z wielkim niepokojem, który niełatwo przychodziło jej ukryć. Od dwu miesięcy młodzieniec nie dał o sobie znaku życia. Lidja miała nadzieję, że listy jego były przejmowane, liczyła, że spotkanie w Poniatówku wyjaśni sprawę. Gdy wszedł na salę, z trudem opanowała wzruszenie. Tańczyła właśnie z panem Oleszewskim. Wyglądała triumfalnie. Miała na sobie przywiezioną z Wenecji różową suknię od Fortuniego, model *Aurore*, w którym istotnie wyglądała jak jutrzienka.

Hrabina Olsztyńska знаła się na piękności kobiecej (złośliwi mówili, że jeszcze precyzyjniej znała się na urodzie męskiej). Wyjątkowa piękność Lidji nie uszła jej uwadze. Przypomniała sobie, być może, własne pochody triumfalne z dawnych czasów. Lidja tańczyła zapamiętałe, przechodząc z rąk do rąk. Powodzenie miała ogromne. Wszyscy ubiegali się o przełączenie z nią chociaż jeden raz. Wszyscy — oprócz Marysia. Długo czekała, zanim, przetańczywszy z szeregiem innych panien, uklonił się przed nią sztywno i zaprosił ją do walca. Przez cały czas tańca nie odezwał się do niej ani słowem. Zachowywał się tak, jakgdyby nic ich z sobą nie łączyło. Lidja zrozumiała, że wszystko skończone. Nie okazywała jednak cienia urazy i ostentacyjnie manifestowała, że bawi się doskonale.

Tańce następowały jedne po drugich. Po walcach przyszła kolej na oberka. Melodja prosta, sarmacka, z duszy ludu wysnuta, zawierała prócz tonów rześ-

kich, melancholijne, budzące tęskne pragnienia. Tworzyła atmosferę oszałamiającą. Tancerze poddawali się upojeniu. Tymczasem na kanapach, okalających salę, kwitła obmowa. Goście w podzięce składali pani domu dowody uznania, zabawiając się układaniem bukietów z kolącego kwiecia. Hydra krytyki zaczepiała i inne panie. Najwięcej mówiono o Lidji, jako królowej balu, i o pani Hannie. Szeptano sobie niestworzone rzeczy o awanturze Lidji z Marysiem. Plotkowano o jakiejś uczcie szampańskiej, o wspólnej wycieczce do Wenecji, o wielu innych tym podobnych a wyssanych z palca epizodach.

Młoda pani o błękitnych, marzycielskich oczach, dbająca o niepokalaną czystość form salonowych, krytykowała pobłażliwość Hanny dla ludzi wybitnych, ale źle ubranych.

— Zimą w Warszawie — mówiła — widziałam u niej na *five-o'clocku* kilku tych panów w tużurkach. To jest herezja.

Wysmukły blondyn, dzielący duszę pomiędzy światem a literaturą, który kilka lat spędził we Francji i chętnie o tem wspominał, bronił pani Hanny. Zapewniał, że w salonach paryskich starają się co prawda o osoby, mające choćby kroplę królewskiej krwi, „*car cela fait bien sur les meubles*“, jak mówi Gyp, ale nie gardzą również akademikami, jako ozdobą zebrania.

Panna Colonna z noskiem podniesionym przechadzała się po salonach, szukając zapachu miłości. Znalazła go niespodziewanie przy niemodnie ubranej

szlachcianeczce, siedzącej obok młodego chłopca z akademji rolniczej. Wpatrzeni w siebie, płonęli, zapominając o całym świecie. Przyjrzała im się z życzliwością, choć nie bez zazdrości. Rozczarowanie natomiast sprawiła jej podsłuchana przypadkiem rozmowa Rózi z narzeczonym.

— Wczoraj ukończyli nasz buduar — mówił bla dy, mizerny oblubieniec. — Firaneczki tylko nie są dostosowane jeszcze do całości. Brak frendzli Tom Pouce. Trzeba je sprowadzić z Paryża.

Skarżył się na nieprawdopodobne kłopoty, jakie mu sprawiało urządzenie prawdziwie szynkowego domu, dobranie służby.

Rózia zdawała się myśleć o czem innem, patrzyła przed siebie w przestrzeń, zasłuchana w szepty własnego marzenia.

Panna Colonna westchnęła i poszła dalej.

Trudno spotkać się z miłością oko w oko — myślała ze smutkiem. Ukryła jednak ślady zawodu, wiedziała bowiem dobrze, że ani w smutku, ani w zielonym kolorze nie było jej do twarzy.

Oczy gości coraz to częściej i tęskniej zwracały się ku sali jadalnej.

— Jesteśmy w swoim prawie — rzekł do pani Hanny Niemirowski — przez parę godzin składaliśmy dowody, że człowiek nie tylko chlebem żyje.

I starsze pokolenie, otaczające tradycyjną czcią sztukę kulinarną z zapalem wyznawców pośpieszyło na kolację. Młodzi ludzie i eteryczne dziewice nie dali się wyprzedzić tym, którzy już dużo przeżyli...

i przejedli. Panienki pozwalały tancerzom nakładać sobie porcyjki, a w chwili gdy panowie spełniali to życzenie, obojętnie odwracały oczy, aby nie krępować ich hojnej uprzejmości, i spożywały z lekceważącą napozór obojętnością dobre kąski. Mężczyźni, zgłodniali, spragnieni, jedli i pili zdrowo, bez obłudy; w tej chwili byli zupełnie szczerzy.

Po kolacji zabawa dosięgnęła szczytu świetności. Odtąnczono po raz pierwszy na cichej wsi litewskiej wchodzące właśnie w modę *tango*. Patrząc na ten karczemny taniec argentyjski — pani Hanna myślała o czasach, kiedy na posadzkach Poniatówka tańczono menueta. Król przechadzał się po tych salonach krokiem poważnym, poważniejszym niż jego serce. Uśmiechał się do młodych twarzy, zebranych tu z jego rozkazu przez powolnych zauszników. Wyszukiwali dla niego w zakątkach litewskich kwiaty leśne i polne, aby im nie dać więdnąć w zapomnieniu. Wdzięk ponętny króla osłabił niejedną warownię cnoty. Czyste marzenia panienki ze dworku czekającej na oświadczyzny sąsiada — rozwiało nieraz jedno spojrzenie króla. Król, przywykły do kunsztu piękności wersalskich, nie gardził niewinnymi kwiatkami, niby *fleurs simplettes* tchnącem aromatem rodzinnych pól i lasów. Zrywał je z braku bardziej ponętnych zdobyczy, *pour passer le temps*.

Dziś w sali, ozdobionej plafonem Bacciarellego, rozbrzmiewał nowy amerykański taniec. Nie przypadł on pani Hannie do smaku, zwłaszcza, że tańczono go jeszcze niezgrabnie. Odwróciwszy głowę, spojrzała w okno. Wieczór pogodny zamienił się w noc

burzliwą. Konary drzew czarnych, splecione z sobą, spuszczały się ku ziemi, lub pnały się, jakby w rozpacz, ku górze, odarte z liści, które niedawno okrywały je złoto-purpurowym płaszczem — sterczały jak ostrzeżenie znikomości. Wiatr jesienny, świszczący, huczał w gałęziach, przeciskał się nawet lodowatym tchnieniem przez szczeliny okien. Ostatnie liście, złote i rude, oderwane od macierzystych drzew, podlegały poniewolnie rozkazowi wiatru, chwytającego je jak łup, rabującego ozdobę starych drzew. Wirowały za oknem skłębione w gęstym тумanie, to opadały na ziemię, to unosiły się w podskokach, ostatnim wysiłkiem pragnąc przedłużyć lot. — Tak były porwane z balowego wiru stanisławowskiej epoki dusze babek naszych — myślała Hanna — tak samo z wiru obecnego zmiecione będą w nieznane kraje dzisiejsze tancerki, by, jak mówi stary Homer, „*na upadłych liściach jesiennych rozkwitły na wiosnę nowe latorośle*“.

Zabawa zwolna zaczęła się przesilać. Odczuwało się to w atmosferze gorętszej, zdradzało się w oczach błyszczących, w żywych rumieńcach tancerzy, którzy w znużeniu poważniejszej części widzów, a także tworzyli kanapową galerję. Stopniowo głowy patrzących poczęły się chwiać rytmicznie, oczy zaś opanowało senne rozmarzenie. Godziny nocne biegły do świtu. Okna już błękitniały, kiedy zabawa zaczęła omdlewać. Zaproponowano ostatniego mazura. Najlepszy tancerz, Oleszewski — oczywiście zaprosił do tańca królowę wieczoru Lidję. Sam, choć udawał obojętnego, był więcej poruszony, niż chciał to okazać, powiewną

urodą dziewczyny. Piękna para puściła się w tan. Pęd do życia, ukryty pęd do szczęścia tętniał w żyłach tancerzy, kazał zapomnieć o konwenansach światowych, pozwalał młodości być młodą. Trudno było nie ulec porywowi przodowników. Lidja, wprowadzając Oleszewskiego w wir, unicestwiła wszystko, co było w nim sztuczne. Gorąco wzrastało. Zwierciadła mnożyły pary krążące zapamiętałe, o twarzach rozgorączkowanych, lub pobladłych w rozmarzeniu. Czy poznawały siebie w odbiciu luster kobiety, zamienione na kwiaty żywe, oddychające ustami lekko roztwarzającymi w tęsknem pragnieniu?

Nawet martwe przedmioty opanowała zaraźliwa moc życiowa. Szklami żyrandoli wstrząsał dreszcz. Festony girland, spuszcających się z kolumn, chwiały się, a płatki różane padały na czarne fraki i lśniące, białe ramiona niewieście. Woń płatków mieszała się z mocniejszym, bardziej upajającym zapachem życia. Galeria zwiędłych twarzy ocknęła się. Zniszczone oblicza odzyskały na chwilę błysk młodości. Oczy, które dużo przeplakały, stare wyblakłe oczy zalśniły i zwilgotniały. Patryarchowie zbliżyli się do tancerzy, oplekli ich zwartym kołem, tamując wszystkie przejścia do tanecznej sali. Triumf Lidji polegał na tem, że nie tylko oczy mężczyzn były wryte w jej postać i ruchy. Maryś z matką stali nieopodal, lecz pomimo panowania nad sobą i oni ulegli hipnozie ogólnej. Lidja przefrunęła przed nimi kilkakrotnie, mając dla nich wielkie oczy marmurowe, które, patrząc, nic nie widzą. Matka i syn przed tym wzrokiem spuścili powieki.

W ostatniej figurze mazura wodzirej zawołał: „Panie wybierają“. Lidji strzelił do głowy pomysł szalony. Podbiegłszy ku Marysiowi, porwała go za rękę i wciągnęła w wir tańca. Chłopiec był wybrykiem tym zupełnie zaskoczony. Nie wiedział, jak go sobie wytłumaczyć. Przypuszczał, że gest ten znaczy: „Choć mnie odtrącasz, jestem twoja“. Spojrzał na dziewczynę z żalem i pewnem rozczuleniem. Ale twarz Lidji była niewzruszona i obojętna. Usta jej wydymał uśmiech pogardliwy. Maryś zrozumiał, że gest ów miał znaczenie zgoła inne. Znaczył poprostu: „Ty także jesteś dla mnie pierwszy lepszy“. Wąż różnobarwnych par wił się przez wszystkie pokoje. Lidja wyglądała jak jutrzienka, uciekająca przede dniem. Pochyliła nieco naprzód, z włosami fruującymi około główki, z oczyma ciskającymi błyski, zatracając cechy ludzkie, stawała się żywiołem. W coraz to szybszem, zawrotnem tempie, zaledwie ziemi dotykając, leciała jakby w pogoni za czemś, a tłum gonił za nią jak urzeczony.

Porywał wszystkich niepohamowany jej pęd niemal warjacki. Kolejno wyczerpane pary opuszczały przed końcem szaloną zabawę, odpadając od korowodu. Reszta jednak dotrzymała kroku bachantce. Aż wreszcie duch dionizyjski opuścił tanecznice. Wyrwała Marysiowi rękę, odepchnęła go z taką siłą, że aż się zachwiał. W kilku podskokach sarnich wyprzedziła tancerzy i wbiegła na schody galerii muzycznej. Włosy w tej chwili rozplotły się jej zupełnie i otuliły jej postać jakby płomieniem.

Podniosła dłoń i krzyknęła „dość“. Muzyka posłusznie przerwała akord nierozwiązany. Na dole zastęp taneczników stanął jak wryty. Lidja zachwiała się i usunęła w ramiona ciotki, która podbiegła w sam czas, żeby ją podtrzymać.

Po zawierusze iście listopadowej nastał dzień słoneczny i ciepły, jakby niebo chciało młodej parze okazać swoje błogosławieństwo. Stanisław wcześniej niż inni poszedł do kościoła, nie chcąc należeć do weselnego orszaku. Stał na chórze. Kościół był oświetlony rzęsiste. Organy zagrały. Przez kolorowe witraże wpadały smugi słoneczne. Orszak weselny robił wrażenie wystawy ogrodniczej. Stosownie do przyjętej mody, panie nosiły na dużych kapeluszach całe ogrody kwiatów. Na wszystkich twarzach promieniał blask wesołości. Wreszcie zjawili się bohaterowie chwili. Ona podobna do pełnego kwiatu, on blady i znudzony. Lica wszystkich były radosne.

— Dlaczego oni w tej chwili tak się cieszą? — pytał się w myśli Stanisław. — Czyżby wszyscy naprawdę tak gorąco kochali młodą parę? — Bynajmniej, przyszli poprostu na ciekawe widowisko. Zdawałoby się napozór, że małżeństwo to przystań spokoju. W gruncie rzeczy jest to port, z którego się dopiero wyrusza w drogę. Starzy aktorowie komedji życia, po odegraniu większej części swych ról, nie myślą w tej chwili o nowicjuszach wstępujących na scenę. Nie zadają sobie pytania, czy nowożeńcy lepiej wywiążą się ze swego zadania. Mają miny jak z krotchwili.

O czym oni myślą? Pewnie o niczem. A patriarchowie siwi, którzy znają ludzkie troski, żyli, cierpieli, pracowali? Patrzą bez wzruszenia na swoich następców. Zdaje się, że o własnej przeszłości zapomnieli i cieszą się. Cieszą się wszyscy. Ci, którzy nic nie wiedzą o życiu, i ci, co wiedzą o wszystkim. Dlaczego?

W uroczystej ciszy padały przed ołtarzem słowa, wiążące dwoje ludzi na zawsze. Przy ołtarzu stał siwy apostoł-asceta, przemawiający jakby z jakiejś dalekiej Tebaidy duszy. Na starem, steranem ciele znać było ślady codziennych półwiekowych całopaleń. Siwizna jego w blasku świec tworzyła nimb bizantyjski około twarzy pomarszczonej i wyschłej, w której żarzyły się dwa płomienie. Wsparty o stół Pański, warownię cnót chrześcijańskich, głosił oblubieńcom konieczność ofiary. Wskazywał, że małżeństwo powinno polegać na całopaleniu serc własnych. Jak litanijne inwokacje, padał z ust natchnionego starca wzniosły nakaz: „Trzeba się poświęcać“. Słowa skrzydlate brzmiały z nadludzką siłą, przenikały do ostatnich rzędów wielkiego kościoła, wznosiły się do chóru, do sklepień świątyni, przenikały przez mury, dochodziły do tłumów, zebranych na cmentarzu. Z dalekiej Tebaidy ducha brzmiało przykazanie: „Trzeba się poświęcać“.

Panna młoda, zmożona wzruszeniem, osunęła się na klęcznik. Zebranie ożywiło się, ogródki kapeluszywe zbliżyły się do ogródków. Rozległy się szepty. Niejeden uśmiech krytyczny błakał się po młodych twarzyczkach. Na chórze rozbrzmiewał hymn radosny. Ruszono ku wyjściu. Panna młoda pokraśniała. Z oczu

jej promieniowało szczęście. Pan młody również był nieco zarumieniony i dumny, iż ma przy swym boku piękną kobietę. Kroczyli uroczyście pomiędzy żywopłotem ludzkim, z uśmiechem na ustach, przyjmując powinszowania. Po weselnym śniadaniu całe towarzystwo zebrało się na ganku pod kolumnami greckimi, aby uroczyście pożegnać państwa młodych.

Park w jesiennym słońcu wyglądał precudnie. Poległe liście, których pani Książycowa nie kazała zmiatać, zasłaty aleję wjazdową bogatym kobiercem. Po tej wstędze złocistej samochód uniósł państwa młodych w dal.

Ginter, stojąc na uboczu ze Stanisławem, przyglądał się manifestacjom życzliwości, jaką wszyscy ostentacyjnie objawiali młodej parze przy wyjeździe.

— Młodzi — rzekł Ginter — na pewno myślą w tej chwili, że przyjaźń i życzliwość ludzka otaczać ich będzie stale. Wieczny błąd! Życzliwość opada jak mgła, w miarę, jak wędną białe ślubne bukiety. Świat zaczyna wymagać od nowożeńców, żeby pokazali, co umieją na scenie życia. I słusznie. Grajcie, młodzi aktorzy. Przed wami siedzą w pierwszym rzędzie krytycy fachowi, sąd przysięgłych, związanych temi samemi ślubami, które wy złożyliście u stóp ołtarza. Każde z was znajdzie surowych Zoilów w przybranej rodzinie. Dalsi krewni i tak wierni przyjaciele siedzą nieco dalej, czyhając na oznaki waszej nieudolności życiowej. Grajcie, młodzi aktorzy!

Stanisław słuchał monologu muzyka dotąd obojętnie. Niezrażony tem Ginter prawił dalej.

— Z lekkomyślną zarozumiałością przekracza za zwyczaj młoda żona próg nowego domu. Cieszą ją pokoje, sprzęty, upaja radość władzy, posiadania. Z dziwną łatwością nazajutrz po ślubie zagarnia w słabe, wypieszczone dłonie cały dobytek przeszłych pokoleń. Przelicza nowe skarby. Bezmiłosnem okiem spogląda na podobizny przodków i rozdaje im godność ornamentów w swoim królestwie. Strzeż się, młoda panil! W starożytnej Grecji stawiano przodkom ołtarze. Strzeż się trybunału cieni, niezłomne są i surowe. Czy pod spojrzeniem tych zwiędłych twarzy z portretowych płócien nie przenika cię dreszcz? Czy nie wstydzisz się samolubnej młodości, próżnej czynów i cierpień? Pamiętaj, że w nowych komnatach mieszka niewidzialny, milczący lud cieniów. Pokolenia minione, skute w nierozzerwalny łańcuch, z uśmiechem cierpliwym oczekują, aż młode życie stężeje w nowe ogniwo tradycji. Słuchaj. Lud niewidzialny, milczący przemawia. Nie my do ciebie, ale ty do nas należysz.

Stanisław pomyślał, że słowa muzyka były zbyt gorzkie. Znał kobiety, które umiałyby rozbroić lud cieni na progu nowego domu słowem: „Trzeba się poświęcać“.

Taras opustoszał. Goście bądź to wrócili do salonów, bądź też rozeszli się po parku. Na ganku pozostała samotna matka panny młodej — zapatrzona w opustoszały gościniec, a może w przeszłość. Choć posiadała wspaniałą dyscyplinę światową, boleść wyrzała z jej lic, czyniąc z niej starą, zropaczoną kobietę. Niedawno jeszcze sławiono urodę 40-letniej

zaledwie pani Książycowej. Uduchowiony wyraz jasnych oczu, bujność pysznych blond włosów zjednały jej miano „księżycowego promienia“. Niedawno jeszcze ubierała się w delikatne złote tony, zharmonizowane z jej powierzchownością. Dzisiaj razem z ciemną suknią wdziała na siebie dojrzałość. Dziś mogła już mówić o sobie: „niegdyś, gdy byłam kobietą“.

W salonie orkiestra zagrała bez animuszu wiecznego walczyka Straussa. Pani Hanna, śnać zgadując, gdzie się rozgościło cierpienie, zjawiała się na ganku. Podeszła do przyjaciółki. Pani Książycowa wzięła ją za rękę i zdławionym głosem rzekła:

— Ciesz się, Hanno. Błogosław Boga, że nie dał ci dzieci. Niczem jest chwila, gdy z męką wyrывa się z nas cząstka naszego ja, wobec cierpienia matki, oddającej córkę za mąż. Rodzinna łączność matki z dzieckiem rozrywają naraz obce ręce. Chowałaś córkę, z którą wiązała cię miłość, zrodzona w tobie, nim ta córka przyszła na świat, miłość, za którą ci ona odpłacała swoją miłością od najwcześniejszych swych lat, od niemowlęstwa. I naraz przychodzi uczucie, może w jednym dniu zrodzone, i zastępuje tamten związek serc. Ty nie znasz tej rozpacz, Hanno.

Twarz pani Hanny przybrała wyraz uduchowiony.

Głos jej zadrgał wzruszeniem, szepnęła:

— Uboga jest kobieta, która nie zaznała tych świętych cierpień.

Zamknęła w objęciach nieszczęśliwą matkę, ze czcią otoczyła ramieniem misterjum macierzyństwa.

Omdlenie Lidji w Poniatówku zostawiło głębsze ślady. Nie mogła pokazać się na ślubnym śniadaniu i parę dni musiała spędzić w łóżku. Dlatego pani Hanna wróciła z nią do Żywych Wód dopiero po upływie tygodnia. Wróciły nie same. Razem z nimi zjechali: Stanisław Ginter i Niemirowski. Zjawiała się również Cecylja, i pałac w Żywych Wodach nabrał zwyczajnego swego charakteru — ogniska przyjaciół. Niestety, Lidja kółku temu udzielała się mało. Charakter dziewczyny, jej nieufność, nie ułatwiała Hannie zadania.

Pewnego popołudnia, po herbacie, Cecylja śpiewała. Oparta na fortepianie, jak zwykle zachwycała wszystkich, nie tylko pięknnością głosu, doskonałym zrozumieniem myśli muzycznej, ale i urodą. Miała na sobie suknię, przywiezioną przez panią Hannę z Wenecji od Fortuniego. Ciemna tkanina, lekka, fałdzista, spływała około ciała kobiety, posłuszna jej ruchom, otwierała się i zamykała, wprowadzając płynny pierwiastek rytmu i życia. Z rękawów, sznurowanych i spiętych opalami koloru księżycy, wyłaniały się długie ręce blade-różowe. Poły rozciętych, gazowych rękawów robiły wrażenie skrzydeł nietoperzych. Z wyciętego stanika wynurzała się biała, długa szyja, a na niej główka z włosami barwy zbóż dojrzałych.

Pieśń w ustach Cecylji była głosem z tamtego świata, głosem duszy, łączącej odpoczynku i wyzwolenia z ostatnich pęt, które ją jeszcze z ziemią wiążą. Śpiewała pieśń Beethovena „*In questa tomba oscura*“. Akompanjował jej Ginter. Powtarzający się wielokrotnie refren: „*Lascia mi riposare*“ brzmiał coraz potężniej.

Gdy się odezwał po raz ostatni — dźwięczał niemal radośnie. Słuchacze uczuli, że przeszedł nad nimi wiew zaświatów. Wzruszenie pogłębiło w oczach Gintera wyraz poprzedniej melancholji. Źrenice Stanisława zamglily się rozmarzeniem niemal wizyjnym. Spojrzenie Niemirowskiego, zwykle beztroskie, zdawało się mówić: „Szkoda“. Oczy Anielki rozszerzyło przerażenie. Jedna tylko Hanna zachowała swój wyraz nieczytelny. W chwili, gdy pieśń zgasła, wbiegła do pokoju Lidja w podnieceniu, graniczącym z szałem.

— Żądam — krzyczała — żeby wynieśli, daleko, wynieśli z mieszkania umarłą. Nie zasnę, do ust nic nie wezmę, dopóki Józia będzie we dworze. W oczach mam ciągle sztywne, drętwe jej zwłoki. Wieje z niej jakiś zimny wiatr, który mnie zarazi.

Przestrach Lidji przypawił ją o istny atak szału. Twarz jej z rozplątanymi włosami przypominała w tej chwili głowę Meduzy. Poczęła się słać. „Urzekła mnie Józia. Chce mnie zabrać ze sobą. Czuję to. Nie chcę umierać, nie chcę. Broń mnie, ciociu“. Upadła. Bezwładną wynieśli z pokoju.

Wieczorne godziny wlokły się smutnie. Mówiono o śmierci. Ginter twierdził, że najpotężniejsze są utwory, natchnione śmiercią. *Frauer Ode* Bacha, *Beethovena 7-a symfonia*, koniec *Trystana* i *Isoldy*. Potem wspominał o starożytnych, którzy radzili ze spokojem oczekiwać ostatniej godziny życia.

Horacy radził co wieczór myśleć, że po raz ostatni ogląda się słońce, i cieszyć się co rano, że dzień świta.

Dla Niemirowskiego za wiele rozprawiano na ten temat:

— Ja tam wyznaję filozofję greckiego przodka p. de la Palisse: „Nie warto myśleć o śmierci. Jak się o niej myśli — to jej niema, a jak jest, to jej nie widać“.

Towarzystwo rozeszło się wcześniej na spoczynek. Hanna długo zasnąć nie mogła. Przeczucia Lidji dotknęły ją. Nigdy coprawda dotychczas nie wierzyła w przeczucia, tym razem jednak czuła niepokój. Przypominała sobie wszystkie wypadki chorobliwe w bliższej i dalszej rodzinie wychowanki. Wszak siostra Zoe, żona Romana, wcześniej zgasła na zagadkową, krótkotrwałą chorobę. Myślała potem o nieboszczce Józi. Jeszcze kilka tygodni temu pomagała ojcu w sadzie przy zbiorze jabłek. Cere miała zdrową, śniade policzki przystojnej brunetki robiły wrażenie rumianych jabłuszek. A parę dni później stroskany ojciec Józi prosił panią Hannę o lekarza. Wywiązało się zapalenie mózgu, które zabrało dziewczynę w parę dni. Hanna spędzała przy chorej długie godziny. Anielka, służka i opiekunka wszystkich chorych we dworze, uprosiła ciotkę, żeby mogła przy niej czuwać. Józia była rówieśnicą Lidji. Urodziły się w tym samym roku i w tym samym miesiącu. Dziećmi bawiły się z sobą. I oto dziś jedna z nich odeszła. Czy ta śmierć nie była groźbą dla Lidji?

Pani Hanna również widziała Józię na marach. Ciągle miała w oczach postać martwej dziewczeczki, trzymającej w spracowanych rączkach święty obrazek.

A u jej nóg — z bladą twarzyczką, z szeroko roztwartymi oczyma, wpatrzona w nią z przerażeniem trwała Anielka.

Goście w Żywych Wodach spoczywali w wygodnych łózkach, lecz przez ciepły dom przeciągał tej nocy jakiś zimny powiew. Nie mogły temu zaradzić szczelnie zamknięte drzwi i zapuszczone w oknach kotary. Za oknami wiatr dał, hulał, a w przerwach cisza chwilowa nie dawała spokoju. Leżąc w wygodnych pościłach, szczęśliwi tej ziemi, wszyscy myśleli — o śmierci, o męce, poprzedzającej jej przyjście, o wzbudzających wstręt obrazach jej następstw. Wicher ucichł. W ciszy dał się słyszeć nad spoczywającym pałacem ciężki lot aksamitnych skrzydeł ptaka nocnego. W cieńniu zamajaczyły nieskazitelne kształty młodzieńca uskrzydłonego.

Czy to Tanatos, okrutny kochanek młodych żywotów, jak go zwali starożytni? Nie, nie ma w dłoni zgazzonej pochodni. Potrząsa pękiem maków. To brat jego bliźni, również jak on piękny, siewca spokoju, który gasi bóle, troski, obawy, nawet obawę śmierci. Piękny młodzieniec z makiem w ręce przeleciał nad usypiającymi pod jego dobrotliwymi skrzydłami.

To młodzieńczy bożek snu — Hypnos.

Żywe Wody stały się przybytkiem milczenia. Ucichł w nich szelest kroków lekkonogiej Atalanty. Nie ludzie, lecz bezszelestne cienie snują się po smutnych komnatach. Wielki salon opustoszał. Zerwano ze ścian kotary, meble i obrazy wyniesiono. Pozostały tylko przedmioty użyteczne: fotele, łóżko, stoły. Dwie

kobiety w bieli czuwają przy łóżku. Trudno poznać w chorej nieposkromioną driadę, której gibkie ruchy, wesole płasy robiły wrażenie rozpętanego żywiołu. Dzisiaj Lidja jest apatyczna. Leży nieruchomo z przymkniętymi oczyma. Tajemnicza siła zniszczenia powaliła ją nagle, owiała ją upalnym tchem nieustannej gorączki. Hanna i Cecylja nie opuszczają chorej. Przybył. Wieliński. Hanna przestała być dawną silną Hanną, zdolną zmagać się samotnie z niebezpieczeństwem. Zawezwała Romana, który, oderwawszy się przemocą od obowiązków politycznych, pośpieszył na wezwanie. Ukazał się w nowem dla wszystkich świetle. Zwykle panujący nad sobą, teraz zdradzał troskę serdeczną. Dni całe poświęcał chorej siostrzenicy. Lidja przypominała mu nieboszczkę żonę. Wyraźniej niż kiedykolwiek zjawiła się mu we wspomnieniach postać przedwcześnie zgasłej młodej siostry Zoe. Duszę Romana począł toczyć wyrzut, czy dał dość uczucia zmarłej. Czy dostatecznie bronił od śmierci młodzieńcze, wiotkie i nikłe stworzenie, dla którego był bożyszczem. Krótkie pożycie małżeńskie Romana było dla niego kartą dawno dobrowolnie odwróconą, do której niechętnie powracał. Wziął nieśmiałą, 17-letnią dziewczynę wprost ze szkolnego pokoju. Chciał wyratować młodą duszę, wyrwać białą owieczkę z niebezpiecznej atmosfery domowej. Otoczył ją opieką, nimbem wielkiego majątku, blaskiem wybitnej swej indywidualności. Czy był dobry dla niej? Czasem na dnie duszy znajdował to pytanie. Cicha, słodka jego małżonka - dziecko żyła przy jego boku 3 lata. Nieśmiała, nigdy nie zdradziła, że marzy

o żarliwych uczuciach. Raz tylko, krótko przed śmiercią, po całodzienniej fazie nieświadomości, siadła nagle na łóżku, oczy ogromne, podniecone gorączką, wlepiła w niego, wyciągnęła ręce do męża i zupełnie jakby przeistoczona, głosem sędziego spytała kilkakrotnie: „Romanie, powiedz, czy mnie kochasz”? Potem przestała mówić. Usnęła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Dowody troskliwości Romana dla Lidji miały dla pani Hanny szczególny czar. Łagodność istot silnych i szczerść ludzi zamkniętych w sobie dziwiły ją, jak rozkwit bujnego kwiatu na górskich kamienistych szczytach. Roman stał się dla Hanny nieocenioną podporą. Gdy schylała się nad łóżkiem chorej, oczy ich szukały się wzajemnie i w niemem porozumieniu mówiły o trwodze, o zwątpieniu. Czasem słodysz niewypowiedziana stąpała złączone wejrzenia, zapalając w nich błyski nadziei.

Lidja nie wiedziała, co się około niej działo. Leżała dnie całe pogrążona w zupełnej obojętności, lub w gorączkowem majaczeniu.

Chwilami znów budziła się na krótko, spoglądała naokoło siebie, jakgdyby wracała zdaleka. Wydawała jęki, głosem dotkliwie bolesnym wyrażając swój żal, swą mękę, w tak wstrząsający sposób, że ból przenikał Hannę i Romana do głębi:

Anielka uprosiła ciotkę, żeby dozwolono jej pielęgnować chorą. Nie lubiła zdrowej Lidji, która ją nieraz odpychała zimną obojętnością, a nigdy nie obdarzyła serdecznem słowem, lecz gorące i tkliwe serduszko dziewczynki zmiękło na widok męki kuzynki.

Nie mogła się pogodzić z prawem cierpienia. Napawało ją ono grozą. Zasmucało jej duszyczkę. Nie mogła zrozumieć użyteczności bólu. Stąd płynęła chorobliwa niemal jej wrażliwość, stąd chęć niesienia pomocy nie-szczęśliwym. Lidja cierpiąca stała się dla niej czemś drogiem. Gdy po raz pierwszy stanęła przy chorej, na twarzyczce jej widniała skrucha i niema prośba o przebaczenie, że dotychczas Lidji nie kochała.

Lidja, głośno wyznająca zasadę, iż niecierpi współczucia, nie czuła gorącej opieki, jaką ją otaczano, gdyż coraz częściej zapadała w sen komatyczny, a nie krzepiący. Chwilami niepokoiły ją widzenia trapiące lub urocze. Razu jednego na nowo przeżyła całą mękę balu w Poniatówku.

Mówiła o Marysiu i jego matce. — „Chcę tańczyć, tańczyć“ — powtarzała. „Tańczyć“ — krzyknęła. Poczęła się miotać w łóżku, jakby chciała wyskoczyć i poprowadzić korowód taneczny. Innym razem myśl jej wracała uporczywie do wieczoru u ojca Mizi, do pierwszej uczt w oranżerii. Śpiewała piosenkę: „Ja chacz żyt“, ale, znużona wysiłkiem, opadała bezwładna na poduszki w zupełnej nieświadomości. Wtenczas znaczył jej twarz jakiś cień nie z tej ziemi. Coraz bardziej stawała się podobna do Faustyny, na ostatnim obrazie cyklu. Czule i żałośnie patrząc na tę coraz blebszą twarzyczkę, Hanna myślała o weneckim pałacyku, uroczem gnieździe, uwitem dla miłości, o widoku z okien różowego saloniku na spokojną lagunę i wyspę S. Michele w głębi. Przypominała sobie strach Lidji na widok żałobnej gondoli. I właśnie w chwili,

gdy przeżywała w myśli tamte wrażenia, niespodziewanie chora spojrzała na nią przytomnie.

W spojrzeniu tem wyczytała wyraźnie żałosne zapytanie: „Czy będę żyć“? Lecz wnet oczy te napełniła trwoga. Trysnęły z nich rześiste łzy na rozgorączkowaną twarzyczkę. I Lidja jęła krzyczeć przeciągłym, rozdzierającym głosem:

— „Ratuj, mamó, ratuj“!

Położyła głowę na ramieniu ciotki i zasnęła.

W pamięci pani Hanny stanęła scena, gdy Lidja złożyła głowę na jej sercu po raz pierwszy, kiedy to razem płynęły gondolą ku Malamocco, i usłyszała w mgłę nawoływania rybaków.

Ratuj, mamó! Do kogo przerażona dziecina zwraca swą prośbę? Pytanie to nie pozwoliło pani Hannie zasnąć w nocy. Nie była pewna, czy Lidja w nieprzytomnym odruchu duszy nie dała tego słodkiego imienia jej samej, czy też rzeczywiście pragnęła zobaczyć matkę.

Wbrew radom Romana, postanowiła Hanna zawezwać Zoe. Poszły więc w stronę lagun weneckich depesze z coraz bardziej nagłacemi nawoływaniem — daremnie. Widocznie matka Lidji z Wenecji wyjechała.

Rozpoczął się dziewiąty dzień choroby. Dzień chłodny i chmurny. Lidja obudziła się jeszcze bardziej osłabiona, niż zwykle, ale zupełnie przytomna.

Tego dnia czuwały przy niej tylko Hanna i Cerylja. Do salonu wszedł proboszcz, siwy staruszek, sterany pasterską służbą. Długo nachylał się nad tajemnicą chorej duszy. Z poza zamkniętych drzwi dochodziły szept, słowa wypowiedziane głosem prze-

ciągłym, rozdzierającym, wznosiły się skargi, podobne do płaczu małego dziecka. Szepty te zwolna cichły. Pojednana z Bogiem i pokrzepiona Chlebem Żywota, Lidja usnęła.

Minęły 3 dni męki coraz cięższej. Wieliński dochodził do rozpacz, cierpiał niewypowiedzenie z powodu swojej bezsilności. Nie mogąc nic chorej poradzić, uciekał do swego pokoju i tłukł się po nim jak zwierz w klatce.

Chwilami uciachał dech chorej, chwilami powracał na nowo, jak kwiat, miotany prądem pomiędzy dwoma brzegami. Chwilami zbliżał się do wieczystego brzegu i znów przyciągał go ku sobie brzeg życia. Wówczas chora budziła się raptownie, trzeźwym i bystrym wzrokiem obrzucała obecnych. Gdy raz spostrzegła strapione oblicza pochylonych nad sobą Hanny i Romana, odczuła, iż krzepią się wejrzeniem, dzieląc wspólną troskę. Z oburzeniem, groźnie wyciągnęła ku nim rękę i krzyknęła: „Idźcie stąd, nie chcę was, nie wolno wam się kochać, gdy ja umieram“. Poczem opadła wyczerpana na poduszkę i wkrótce spłynęło na nią miłosierne dobrodziejstwo nieświadomości. Ten wybuch wzięto za majaczenia gorączkowe. Wieliński tylko podejrzewał, że może tuż obok łoża śmierci rodzi się nowa miłość.

Od tej chwili szybko zbliżał się kres. Rozpoczęły się chaotyczne ruchy rąk, miotanie, którem chora wyrażała chęć ucieczki. Walka trwała tak długo, że świadkowie zaczęli pragnąć końca tej męki, choć wzdrygali się przed nim.

Raz jeszcze konająca natężyła resztę sił, objawiając szalone pragnienie życia. Głosem ochrypłym krzyczała: „Chcę żyć. Ratuj, mamó, ratuj“. Raz jeszcze szukała schronienia w objęciach Hanny — położyła się na jej ramieniu, tuląc się do niej, jak ptak do gniazda. Ze szklistych jej ocz popłynął potok łez, i uparcie, głosem przeciągłym, jęła powtarzać niezliczoną ilość razy: „Ratuj, mamó, ratuj“. Potem blade usta nie wyrzekły już nic, powieki zmrúżone nie podniosły się więcej. Rozpoczęła się walka ostatnia tchu pracującego ciężko do końca...

W dużym salonie zapadła cisza. Cisza przerywana bezwiednie przez szmery ludzkie, przez zaledwie dosłyszalne westchnienia, przez ruchy ciał, które są jakby pocieszeniem dla należących jeszcze do ziemi, obroną przed martwością śmierci. Cecylja rozpoczęła modlitwy, które tyle dzieci Stwórcy ukołysały do wiecznego snu. Głos niewidomej powtarzał słowa psalmisty, nabierał tonów różnych. Od szeptu błagalnego, wyrażającego bezbronność ludzką, przechodził do potężnej inwokacji. Nad tą strzelistą modlitwą unosił się jakgdyby wiew nadziei.

Do komnaty wstępował wieczorny mrok. Ostatnie blaski zachodu oświecały grupę postaci, skupionych przy łóżku. Anielka blada była jak wosk. W twarzyczce jej żyły tylko oczy, ogromne, przerażone. Hanna i Cecylja, nachylone nad gasnącą, robiły wrażenie średniowiecznych kobiet, klęczących nad grobami. Twarze ich, znużone czuwaniem, powleczone były mistyczną bladością cmentarnych marmurów.

Mężczyźni mieli również nieruchomość kamienną. Żywe były tylko wargi, odmawiające pacierze. Gdy Cecylja wyrzekła pożegnalne: „Wyjdź, duszo chrześcijańska“ — uleciało ostatnie tchnienie tej, która była Lidją.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Il y'aura demain
 sur la colline verte,
 Une tombe nouvelle,
 avec un nom nouveau,
 Car la mort a soufflé
 sur la fleur entr'ouverte,
 Et l'orage pesant
 a brisé l'arbrisseau.
 Si ton poids et léger,
 á ceux que l'age accable
 Et qui virent le jour et le soir
 trop souvent,
 Je te trouve bien lourde, o terre
 inexorable
 Quand tu pèses ainsi sur
 le corps d'un enfant.

H. de Regnier.

Ponieważ Lidja nie posiadała grobu rodzinnego, pani Hanna postanowiła pochować ją w podziemiach kościoła w Żywych Wodach. W nocy przed pogrzebem spadł pierwszy śnieg. Bluszcze i wina, obrastające kolumny podjazdu pałacowego, przemieniły się w girlandy białych kwiatów. Trumnę również pokryły

stosy białych kwiatów, wśród których barwną plamę tworzyła tylko wielka wiązanka róż ponsowych od Niemirowskiego, który wiedział, że nieboszczka wołała od białych kwiaty purpurowe. Niemirowski opuścił Żywe Wody nazajutrz po pierwszym ataku Lidji. Wrócił dopiero w dniu pogrzebu.

Podziemia, ciągnące się pod całym kościołem w Żywych Wodach, bardziej były podobne do wielkiej sali, aniżeli do lochu. Sklepienia ich podtrzymywały kolumny kamienne, a nad ołtarzem wielki krzyż rozpościł swe ramiona. Niejedno miejsce spoczynku, dla królów przeznaczone, mniej świetne robiło wrażenie, niż ten kościół podziemny, wypełniony mnóstwem trumien większych i mniejszych, wspanialszych i skromniejszych. Z trumien tych i epitafjów, nad niemi umieszczonych, przemawiała przeszłość. Można tu było odczytać kilka świetnych kart litewskiego herbarza.

Wnękę na prawo, odgraniczoną galeryjką, zajmowały najstarsze trumny. Niewiadomo było, kto w nich spoczywa. Trumny te zaśniedziały, o herbach zatartych, wyzute z dziedzictwa historii i legendy, nęciły swą tajemniczością. Przy największych skupiała się gromadka mniejszych a nawet zupełnie małych trumienek. Dziwne wrażenie sprawiała ta rodzina trumien. Czy spoczywający w zapomnieniu wymierali stopniowo, czy też kataklizm jakiś zgładził z ziemi wszystkich równocześnie. Pani Hanna nie zapominała o bezimiennych, składała im kwiaty tak, jak wszystkim swoim bliskim.

Koło ołtarza złożono trumny przodków pani Hanny, sprowadzone z Litwy. W pamiętnym roku krwawej epopei krożeńskiej kościół parafjalny, należący do majątku, roztrwonionego przez brata pani Tęczyńskiej, uległ konfiskacie. Chcąc upozorować gwałt, wyszperali popi w starych szpargałach, że chowano tu prawosławnych panów białoruskich wywodzących się od Rurykowiczów. Hanna, nie chcąc zostawić przodków w cieniu bizantyjskich kopuł, przewiozła ich do Żywych Wód. Chłopi okoliczni wyrażali głośno niezadowolenie z tych przenosin. „Nie trzeba ruszać „pokojników“ — mówili — gotowi chodzić po świecie i straszyć“. Byli oni przywiązani do dawnych panów, szczególnie zaś do kniahini. Owa żarliwa małżonka, której rozpacz po śmierci starego towarzysza stała się dla małej Hanusi objawieniem miłości małżeńskiej, żyła osiemdziesiąt parę lat. Za czasów poddaństwa była sprawiedliwą i hojną panią. Niezmordowana w pracy, przekonywała tem lud, że nie tylko biednym każe Bóg pracować. W każdej chacie znana była dobra babula, hołubiąca około siebie dziatki. To wielkie, miłosierne serce matrony umiało być wyrozumiałe dla przewinień z miłości zrodzonych. Zbliżała stęsknionych i z dumą liczyła setki małżeństw przez siebie skojarzonych. To też postać jej została po śmierci otoczona nimbem dobrej patronki związków małżeńskich. Dziewczęta czciły jej pamięć, jak młode Bretonki czczą święte, łaskawe dla młodych par. Odbywano do jej trumny pielgrzymki w rocznicę jej pogrzebu. Stało się to powszechną tradycją. Ze względu

na ten pietyzm kazano ją pochować w oszklonej trumnie. Zabalsamowane szczątki nie uległy zniszczeniu. Ubrana w białą ślubną suknię, według życzenia wyrażonego przed śmiercią, zachowała wbrew zwyczajowi na palcu wskazującym prawej dłoni obrączkę. Ręce złożone na piersiach, może wskutek poruszenia trumny, nie ułożyły się do zwykłego gestu modlitewnego. Prawica podniesiona do góry zakrzepła w ruchu powitania czy też... błogosławieństwa i taką pozostała ta kamienna postać na zawsze w pamięci ludu.

Exodus umarłych tułaczy wyruszył pod jej przewodem. Nie rozłączono jej podczas tej ostatniej podróży z mężem, jedynym jej kochankiem. Na wozach, za nimi podążających, umieszczono rodziców Hanny i dalszych krewnych. Orszak zamykała trumna złożona, posiadająca smutną legendę. Zawierała szczątki młodziutkiej, piętnastoletniej dziewczeczki. Opowiadano o niej, że kochała się w swym rówieśniku, towarzyszu gier. Wydano ją gwałtem za starego ks. Ostroroga, dziadka męża kniahini. Podczas uczty weselnej była dziecinnie wesoła i rozbawiona. W kilka godzin potem umarła nagle w sposób tajemniczy. Pochowano ją stosownie do jej woli bez obrączki, u stóp złożono jej wieniec ślubny, niby nieprzestąpiony próg.

Orszak ciągnął przy żałobnym dźwięku dzwonów, które w każdej parafii pozdrowiały po drodze dawnych dobrodziejów. Lud wylegał licznie naprzeciw pochodu, towarzysząc mu długo. W tłumie szep-tano „Kniahini jedzie“. Gdy część ludności odpadała, na pograniczu wiosek nowe rzesze zastępowały od-

chodzących. Ciche okolice litewskie i ciemne lasy na zawsze żegnały swą „dobrą panią“. Ciało jej po raz ostatni zaciężyło nad ziemią, którą tak kochała.

— — — — —

Lekkomyślna Atalanta spoczęła w mieszkaniu kobiet szlachetnej rasy, babek Hanny, których przykładem gardziła. A jednak one przygarnęły pogardliwą dziewczynę. Spoczęła obok kochanych za życia i tych, które miłości nie zaznały, obok cichych, łagodnych, wesołych, żarliwych, które musiały wszystko porzucić. Pani Hanna wyznaczyła jej miejsce pomiędzy babką a dziewczką w złotej trumnie.

— — — — —

Światła pogasły. Zatrzaśnięto wierzeje podziemia. Ucichł szmer kroków żałobnych gości. Przez okratowane okienka wkradły się do wnętrza ostatnie promienie słońca... spoczęły na trumnach. W mistycznej godzinie wieczoru umarli przemówili:

Odezwał się mocny głos z trumny oszklonej:

— Piję z ukochanym u krynicy wiecznej miłości — jestem szczęśliwa.

Z trumny złocistej zabrzmiał cichy lament:

— Biada mi nieszczęsnej. Nie mogę ukoić mojego pragnienia.

—————

CZĘŚĆ DRUGA

H A N N A

ROZDZIAŁ PIERWSZY

C'est le propre de la douleur
de s'interrompre elle même.

Bossuet.

Czas czeka u wrót rzekomo niewyleczalnych bólów, pewny swego ostatecznego zwycięstwa. Ci, którzy kochali Hannę, wiedzieli o tem, ale milczeli. Niemirowski pozostał kilka dni w Żywych Wodach. Narówni z innymi patrzył z podziwem, jak nie mogąca przez kilka dni zapanować nad swem wrażeniem Hanna szybko wdziała na nowo maskę spokoju. Stała się znów tą samą, jaką była dawniej. Wrócił na jej twarz łagodny, słodki uśmiech. Zjawiał się tylko może nieco rzadziej. Wydawała się węższa, szczuplejsza w czarnych krepach. Żałoba wzmagala uduchowanie jej piękności.

Zwolna w Żywych Wodach życie zwyczajne wracało. Rytm pracy przyniósł wszystkim niepostrzeżony dar ukojenia. Muzyka, która przez kilka dni milczała, zaczęła wieczorami rozbrzmiewać na nowo. Dla Hanny niezbędna się stała ta *Kunst der Innerlichkeit*, jak ją nazywa Beethoven. Cecylja po dawnemu śpiewała,

Ginter, pochłonięty tworzeniem nowej opery, przyciągał również Hannę do świata dźwięków. Codziennie wieczorem dzielił się z nią wykonaną w ciągu dnia pracą. Był rad, że dane mu było mieć obok siebie istoty, głęboko i subtelnie odczuwające jego dzieło.

— Dlaczego oni są dla mnie tak dobrzy? — myślała Hanna o przyjaciółach. — Czem na to zasłużyłam?

Chociaż wierna gromadka pragnęła trwać przy niej, wszyscy zmuszeni byli opuścić ją prawie równocześnie. Ognisko nawiedziła ciężka epidemia, i Cecylja pośpieszyła do sióstr. Malarz musiał udać się do Warszawy w sprawie wystawy swoich obrazów. Niemirowski nie miał odwagi pozostać zimą na wsi. Gintera wezwano nagle do rodziny. O jeden dzień dłużej od innych pozostał tylko Roman. Razem odwieźli Cecylję na dworzec. Wracali do domu lekkim, w dwa młode, szybkie kłusaki zaprzężonym ekwipażem. Roman powoził. Hanna siedziała obok niego na koźle. Postanowili wspólnie dokonać objazdu lasów. Leśnictwo Hanny prowadzone było pieczołowicie. Lasy jej robiły wrażenie parków. Roman znawca spraw leśnych, niemal wyrocznia w tej dziedzinie, chciał ją skłonić do niezbędnej, zdaniem jego, trzebieży. Listopad dogorywał, lecz dzień był pogodny, choć nieco mglisty. Wjechali w nizinną, wąską drogę leśną, obramowaną gąszczami. W rewirze, który zwiedzali, rosły przeważnie olchy i brzozy. Gęste pnie ciemne i jasne zapuszczały korzenie w wilgotnej ziemi, z której wiał chłód. Zdawało się, że w tem zaciszu ochronnem wiatry jesienne zapomniały o niszczycielskiem swem powołaniu, pozo-

stawiając na nich ozdobę zrudziałych liści. Drzewa przeżywały ostatnią godzinę piękna. Chwilami słońce ukazywało się na niebie. W jednej z takich chwil Hanna rozejrzała się naokół. Z nizinnej drogi unosił się wzwyż na górzystym terenie istny step leśny. Światło, ślizgające się po gładkiej korze olszyny, złociło ją blaskiem. Zasrebrzyły się białe kolumny brzoź, szczyty olch wystąpiły wyraźnie na jasnym północnem niebie. Hanna pochyliła się naprzód, wchłaniając nowy widok, przed chwilą smutny, ciemny, teraz czarodziejsko ozłocony. Roman spojrział na ciężki zwój mahoniowych włosów, ozłoconych jak brzożowe liście, na prosty profil, na opalową bladość jej lic. Pochylona ku przodowi, Hanna zdawała się czegoś oczekiwać. Droga, którą jechali, dość ostro spadała nadół. Na skrócie atoli ukazała się nowa drożyna jeszcze węższa, prowadząca wgórę. Szybko się Hanna odwróciła do kuzyna i cicho rzuciła mu słowa: „Jedźmy, jedźmy prędko wgórę“. Błada jej twarz zabłysła, z oczu wyjrzała tęsknota. Jechali cicho po miękkim posłaniu z liści, ongi pełnych soków, dziś wydzielających woń zgnilizny. „Prędzej!“ — powtarzała Hanna. Roman zachęcał dzielne rumaki. Posłuszne zwierzęta szły coraz szybszem tempem. Droga coraz bardziej stroma prowadziła przez wąski korytarz leśny. Zdawała się nie mieć końca, dążyć hen do nieba. Smażnięte leżącą na drodze gałęzią po pęcinach, kłusaki zaczęły ponosić. Było coś upojnego w tej gonitwie ku nieznanemu. Hanna nie bała się wcale szalonego pędu. Niebawem konie, znużone dłuższym wysiłkiem, ustały.

Zapadła cisza, tak głęboka, że słyhać było szelest spadającego liścia. Przerwał ją na chwilę daleki odgłos pociągu. Okrutny smutek zalał serce Hanny. Uświadomiła sobie, że wkrótce, po odjeździe Romana, pozostanie sama i opuszczona. Las, przed chwilą zdobny w blaski promienne, wydał się jej szarem pustkowiem nie do przebycia. Sama, sama, czuła się w wielkim lesie, w wielkim świecie. Poczęła drzeć. Roman spostrzegł to. W duszy jego odezwało się prastare, szlachetne pragnienie mężów mocnych. Zapragnął unieść na swych silnych barkach część troski tej, która za młodu była jego wybraną siostrą. Krępowane siłą woli, nieużyte zasoby tkliwości, ugotowały sobie drogę do serca tego odważnego, a tak dla siebie surowego człowieka. Pochylił się ku Hannie. Piękna jej twarz była nad wyraz zboląta. Wydało się Romanowi, że w dumnych oczach ujrzał błysk łzy. Spojrzał na nią niezwykle tkliwie i gorąco szafirowymi swymi źrenicami, głosem dziwnie ciepłym zapytał:

— Hanuś, dlaczego? Powiedz, dlaczego?

Zdenerwowanie po trudach, pamięć przeżytych razem niepokojów, urok przeżytego przed chwilą upojnego pędu — wszystko to wpłynęło na wzruszenie Hanny. Jak dziecko chore, opuszczone, jakby przyznając się do jakiejś winy, Hanna cichutko, ze wstydem odrzekła:

— Wszyscy wyjechali. Ty wyjedziesz jutro. W domu pustym zostanę sama... sama...

Lecz nagle stała się rzecz dziwna. Zgasła tkliwość w czarodziejskim szafirze oczu Romana. Spoj-

zienie ich nabrało ostrości, jakby zabłysła na ich dnię stał mieczów. Czyżby odezwały się w jego sercu jakieś urazy? Czyżby z głębin pamięci wydobyło się wspomnienie jakichś bezwiednie przez Hannę sprawionych zawodów.

Głosem twardym, budzącym lęk, rzekł:

— Mogło być inaczej Hanno. Byliśmy dla siebie przeznaczeni. Łączyło nas nie tylko pokrewieństwo, ale młodościane wspólne lata, dusz bliskość. Wszystko. Wszystko. — Skrzywdziłaś mnie. Popsułaś mi życie. Uciekłaś ode mnie bez słowa tłumaczenia. Nie miałaś do tego prawa.

Wpił w nią głęboki wzrok, w którym gorzał płomień wyrzutu. Oparł dłoń na delikatnych jej rękach bez czułości, ze zdobywczą mocą mężczyzny, roszczącogo do nich prawo posiadania.

Hanna, która przed nikim nie spuściła dotychczas oczu, chcąc ukryć wzruszenie, schyliła się nisko. Nigdy jeszcze Roman nie widział na jej twarzy tak gorącego rumieńca. I znów drugie ja, lepsza jego cząsteczka, wzięła górę w sercu twardego zdobywcy. Wstyd mu było, że wywołał rumieniec na stroskanej, zbolątej twarzy „siostry z lat dziecinnych“.

Spojrzał na nią gorąco, czule, niemal błagalnie:

— Hanuś, Hanulko, moja mała siostrzyczko. Nie mów nic. Nie odpowiadać. Nic nie chcę wiedzieć.

Wrócili o zmierzchu, nie wyrzekłszy już ani słowa. W duszy Hanny wezbrało uczucie cichego, nowego szczęścia. Scena w lesie stworzyła między nimi nową zupełnie atmosferę. Ale Roman otrzeźwiał, zapanował

nad sobą. I dlatego Hanna nie śmiała powrócić do wspomnień dziecięcych. Przy kolacji Roman sprowadził rozmowę na tory życia realnego. Mówił o swoich zamiarach i swojej pracy. Zdaniem jego, zbliżała się chwila wielka, wymagająca zespolenia wszystkich sił narodu. Przewidywał, że niebawem wybuchnie wojna i wybije godzina wyzwolenia Polski. Mówił o koniecznościach ofiary, poświęcenia i zaparcia się siebie. Trzymał się ciągle tematów ogólnych. Był zupełnie inny, niż w lesie: obcy i daleki. I dlatego nie wzruszył, przeciwnie: zmroził słuchaczkę. Nazajutrz po bardzo poprawnym i nieco sztywnym pożegnaniu wyjechał.

— — — — —

Cisza, ja jestem tylko niemym

[mieszkania wyrazem

Ja płynę zwolna—jak przejrzysta struga
Domowej pracy jednego człowieka.

Norwid.

Listopad się skończył. Rozpoczął się grudzień. Hanna w pustym domu pozostała sama z Anielką. Dziewczynka była nieodstępnym cieniem ciotki. Drobne stopy wątego dziecka zaledwie dotykały ziemi, i Hanna często nie słyszała nawet, że małeńka chodziła za nią wszędzie krok w krok — zawsze gotowa cioci służyć. Na dnie dużych, czułych oczu dziewczynki kryła się tajemnica i cicha radość. Nie wyznawała nikomu swego wielkiego szczęścia, że po wyjeździe gości zastępuje cioci wszystkich. Ostrożnie, korzystając z zamyślenia

pani Hanny, rozpostarła nad nią serdeczną opiekę. Z dziwną przezornością u tak młodego dziecka szybko nauczyła się być pomocną. Umiała mieć pod ręką każdy przedmiot, który mógł być ciotce potrzebny. Gdy spostrzegła w postawie Hanny ślady znużenia, nieśmiało podejmowała się prac ponad swój wiek. Z wielką powagą porządkowała dowody kasowe, wyszukiwała numery kwitów, odczytywała rubryki w księgach. Hanna z początku nie pozwalała Anielce przebywać z sobą zbyt długo. Ale bardzo trudno było zniechęcić żarliwą pomocnicę. Dziecko coraz więcej czasu dzieliło z dojrzałą kobietą. Zajmowały się też łatwiejszemi robotami. Segregowały nasiona i obmyślały, jakimi kwiatami obsadzą na wiosnę klomby. Niemirowski nadesłał skrzynię nasion, sprowadzonych z zagranicy, z listem, w którym się wyraził: „Cieszę się, że gdy te nasiona rozkwitną — wszystkie kwiatki będą ode mnie“.

Pewnego razu, gdy pracowały wieczorem przy blasku lampy, Anielka podniosła nagle jasną głowinę z nad kwitów i niespodziewanie zadała ciotce pytanie:

— Ciociu, jak myślisz, gdzie jest teraz Lidja? Czy tam jest ładnie?

Trudno było pani Hannie odpowiedzieć na tak kłopotliwe pytanie. Żałowała, że nie było Cecylji, która może potrafiłaby odpowiedzieć dziewczynce. Rozmowa ta nie była pierwszą. Dziewczynka od śmierci Józ i Lidji wspominała często o życiu pozagrobowem. Rozmyślenia o niem dręczyły ją, a ciotka nie umiała tej ciekawości zaspokoić. Z poważną stanow-

czością skracala pani Hanna rozmowy na trudny temat, kończąc je zazwyczaj radą, zaczerpniętą z pism Ojców Kościoła. „Wierzcie, wzbudzajcie wiarę“ — to jest losem dzieci Stwórcy, póki są na ziemi. Ale co będzie potem, powtarzała uparcie dziewczynka ze wzrokiem, utkwionym daleko, z tęsknotą duszy dziecinnej ku światom nieznanym. Co będzie potem?

— Potem — odpowiadała Hanna za św. Pawłem — nie będzie potrzeba wierzyć, bo zobaczymy.

W ciszy i samotności wzrastało zwolna serdeczne przymierze. Niełatwo było Hannie szanować wrażliwą indywidualność Anielki. Miłość wzrastająca jest nieśmiała. Bacznie musiała Hanna czuć, żeby nie zmrozić delikatnego rozkwitu słowem, spojrzeniem, chwilą roztargnienia nawet, bo dusze żarliwe są zazdrosne o swe prawa, nienasycone, obraźliwe.

W tkaninę długich, zimowych, bezsłonecznych dni wplatał czas jasne pasma, w smutek niedawnej żałoby, w gorycz wspomnień sączył niepostrzeżenie coraz więcej słodyczy. Któregoś wieczora Hannę zastanowił dziwny wyraz oczu dziewczynki, wpatrującej się w nią nieustannie. Nagle dziecko spytało:

— Ciociu, czy Lidja, myślała o tobie, gdy, kochając, wołała: mamó.

Dziewczynka subtelną swą intuicją odgadła dręczące panią Hannę zapytanie. Zapadła cisza. Oczy dziecka jednak były wymowne. Hanna spostrzegła w nich nieokreślony wyraz zwierzętek, błagający swych panów, tkliwy wyraz patetyczny uczucia, które nie umie się wypowiedzieć. Wyczytała w błagalnym wy-

razie wdzięczną i nieśmiałą ofiarę serca. Przytulona do ciotki, cichutko, ledwie dostrzegalnym szeptem Anielka powiedziała: Masz córeczkę, mamó!

W radości zdobywania nowego skarbu nie zapomniła Hanna o Romanie. Często powracała myślą do spaceru w lesie. Przypominała sobie wyrzut namiętny: „dlaczego mnie skrzywdziłaś? Dlaczego odeszłaś ode mnie? Zastanawiała się, jaka była przyczyna sztywności jego pożegnania. Żalowała, że nie wytłumaczyła mu powodów swego małżeństwa. Roman milczał uparcie. Czyżby go coraz bardziej pochłaniała polityka? A może żałuje i wstydzi się chwili uniesienia i szczerości? Przybędzie dziś, jutro — myślała codziennie, budząc się rano. Mijały jednak dni i tygodnie, a Roman nie przyjeżdżał. Pewnego dnia Hanna z Anielką, siedząc przy herbacie w koralawym saloniku, cieszyły się widokiem hiacyntów, przyniesionych z oranżerii. Aczkolwiek minęła dopiero połowa grudnia, kwiaty te wydawały się heraldami wiosny. Pani Hanna poustawiała je długimi szeregami na oknach. Sztywne kwiaty stały jak żołnierze, mające różowe kity i szablom podobne liście. Kwiaty zdawały się mówić: — Przyszliśmy, a z nami wiosna“.

Pani Tęczyńska i Anielka piły herbatę w milczeniu. Pomimo radosnego wyglądu ukwieconej komnaty, jakiś smutek ciążył ponad nimi. Może myślały o tej, która już wiosny nie zobaczy.

Anielka przytuliła się do kolan ciotki. Nagle ozwał się brzęk janczarów. Hanna zerwała się z miejsca. Z młodzieńczą żywością wybiegła do przedpokoju, za

nią nieco wolniej podążyła Anielka. W półmroku wysoka postać mężczyzny uwalniała się z burki.

— Roman! nareszcie przyjechałeś! — wykrzyknęła Hanna.

— Ależ, ciociu, to pan Stach — szepnęła cichutko Anielka.

Zapalono lampy. Przy kominku jeła Hanna na nowo nalewać herbatę. Krzyżowały się zapytania. Hannę interesowało powodzenie Stanisława na wystawie i sprawy artystyczne, malarza zaś szczegóły życia w Żywych Wodach. Spoglądając na białą twarz pani Hanny, rzekł z niepokojem:

— Jaka pani mizerna! Ale Anielka wygląda świetnie — dodał — wskazując na odchodzącą dziewczynkę. — Twarzyczkę ma kwitnącą. Widzę w niej także duchowe zmiany, jakieś uspokojenie, zadowolenie. Nosi się mała kobietka z dziwną godnością. Co w niej zaszło?

— W ciszy i samotności trafiłam do serca Anielki. Otworzyła duszyczkę swoją przede mną, zawarłyśmy z sobą przymierze.

— To może spłoszę swoją obecnością to misterjum miłości?

— Niech pan się tego nie obawia. Błada królewna była zawsze łaskawa dla pana. Czy pan w oczach swej małej przyjaciółki nie wyczytał wzruszenia, gdy pana witała?

— Tak, zdawało mi się, że dla niej mój przyjazd był miłą niespodzianką — rzekł malarz w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ DRUGI

„L'amour m'a pris mon souffle et
me laisse son ombre“.

H. de Régnier.

Pani Hanna urządziła wspaniałe drzewko dla hafciarek i służby folwarcznej. Anielka jednak choinki nie chciała z powodu żałoby po Lidji. Do wigilii zasiadły tylko 3 osoby: panie ze Stanisławem. Napróżno czwarte nakrycie czekało na Romana, który mimo zapowiedzi, przybyć nie mógł. Święta przeszły smutno, cicho, bez muzyki. Smutno również ubiegł styczeń i nastał luty. Dnie stawały się dłuższe. Koronowy salonik nappełnił się białymi azaljami. Codziennie w porze podwieczorku Anielka starannie poila kwiaty, przewijała się jak biały duszek, cicho i powiewnie około dużych, białych krzaków. Nachylała się czule nad nimi, troskliwie badała paluszkami, czy ziemia w doniczkach jest dostatecznie wilgotna; służyła kwiatkom, jak służyła chorym i nieszczęśliwym. Z uczuciem macierzyńskim spoglądała Hanna na to białe dziecko, na wiotką uroczą postać przybranej córeczki.

Za oknami również było białe. Śniegi nie tajały. Puszysta znikoma materja pokrywała cały park i dalekie przestrzenie pól. Tylko staw zamarzły tworzył ciemniejszą plamę w niepokalanem królestwie. Odmiatano go bowiem starannie ze względu na ślizgawkę. Czarne drzewa odbijały od jasnego nieba. Rysunek sędziwych pni, potężnych konarów, gałęzi zakończonych delikatnymi wtkami — przypominał wytworne rysunki japońskich mistrzów.

Hanna rozkoszowała się pięknem zimowego krajobrazu. Wzrok jej ulatywał hen, poza park ku wielkim obszarom litewskim ku drodze napoleońskiej, skąd czasem... rzadko... przybywali goście.

Noc zgasiła białość ogrodu. Pani Hanna z Anielką kończyły kolację. Nagle dał się słyszeć rumor w przedpokoju.

— Ktoś przyjechał.

— Tym razem to wujek — szepnęła cicho dziewczynka i nieśmiało spojrzała na ciotkę. Z twarzy jej nie wyczytała jednak nic. Pani Hanna przywitała gościa serdecznie, lecz z odcieniem powściągliwości. Wieczór spędzili jak zwykle przy kominku. Rozmowa się nie kleiła.

— Już późno, Anielko — rzekła Hanna — pora spać.

— Ależ mam — broniła się dziewczynka — przecież czasem siedzę z tobą do dziesiątej.

— Pozwól jej zostać, Hanno — ujął się Roman za dzieckiem — tak dawno jej nie widziałem.

Za wstawiennictwem Romana Anielka została. Opuściła starszych dopiero o 10-ej. Ogień na kominku dogasał. Hanna, siadłszy na niskim stołeczku, jeła go podsycać szyszkami. Poczęła mówić o latach młodych, poruszać dawne wspomnienia. Wspomnienia wzruszyły ją. To drżała, to bladła, to spuszczała oczy. Od czasu do czasu milkła, nie dopowiadając rozpozczętej myśli. Nastrój Hanny udzielił się i Romanowi. Stojąc oparty o okap kominka, ogarniał ją spojrzeniem cieplejszem niż zwykle i przeliczał z nią myślą zdarzenia dawne. Ileż to czasu spędzili razem w ten sposób przy kominku u „małej cioci“, młodszej siostry Kniagini, słuchając cudownych powieści z czasów zamierzchłych!

— Jak myślisz, Romanie? — zagadnęła Hanna — czy ciocia chwile tamte pamięta? Kochaneczka ma dziś około 80-iu lat.

— Nic się nie zmieniła — odparł Roman — starszka zdaje się posiadać sekret młodości.

— Powiedz, Romanie, prawda, że ty z nas wszystkich jesteś dla niej najdroższy?

— Biedna, mała ciocia — powiedział w zamyśleniu — tak mało jej daję, a tak wiele odbieram od niej. Mam wyrzuty sumienia. Raz, najwyżej dwa razy na rok wpadam do niej, do Głuszkowszczyzny i zawsze spostrzegam, że jestem jedynym celem jej pracy. Gdy jej dziękuję za pieczołowitość, z jaką dba o moje stare gniazdo, gniewa się i mówi: „Nie wiesz, kochanku, jak szczęśliwy jest ten, który ma na kogo czekać“.

— Lecz poza pracą, musi mieć mała ciocia chwile rozrywki?

— Żyje ze swemi zwierzętami i z dziećmi. Oswaja jedno i drugie. Pozatem była zawsze i pozostała żarliwą czytelniczką poezyj i powieści.

— To już rodzinne zamiłowanie, Romanie, bo i ty dawniej pożerałeś nocami francuskie i angielskie romantyczne książki. Czy się z tego nie wyleczyłeś?

— Zupełnie. Nudzą mnie bajki, które się zawsze kończą szczęśliwie: banalnym małżeństwem.

Wyrazy te wypowiedział ze szczególną intonacją. Długo w noc zastanawiała się Hanna nad ich znaczeniem. Na drugi dzień mówili wyłącznie o interesach. Roman dawał jej rady rozumne, rzeczowe, lecz nie dostrzegła w nim nic więcej prócz zwyczajnej życzliwości.

— — — — —

Łagodne powiewy przedwiośnia pieściły wzbierające zwolna sokami pąki gałęzi. Na mokrej glebie, z której dopiero co szczyły śniegi, ujawniła się już tu i ówdzie młoda ruń. Hanna i Anielka spędzały dnie całe poza domem, jeżdżąc po polach. Podczas tych długich spacerów Hanna odnajdywała w dziewczynce odbicie własnych wrażeń dzieciennych. Przypominała sobie, że tak samo, jak Anielkę, cieszył ją rozkwit przylaszczek, śpiew skowronka, spadającego z nieba i inne głosy wiosny. Z radością patrzyły obie na ziemię, strojącą się w nowe życie. Czuły unoszący się zapach ork wiosennych na obszarach, spływających ku rzece faliście, ożywionych pracą rolników.

Słońce błogosławiło znojowi, krzepiło trudy, grzało wielkie płaty ziemi brunatnej, a zarazem nakazywało życie i płodność. Z wdzięcznością myślała Hanna o tych braciach mniej od niej uprzywilejowanych, pracujących w uczuciu bezwiednej solidarności, by wyżywić rzeszę. Na duszę jej artystyczną działało głęboko piękno tego istnego krajobrazu Puvis de Chavannes.

Na chwilę zapomniała o towarzysze. Gdy spojrzała na nią ponownie, zadziwiona była wyrazem intensywnego cierpienia na jej twarzyczce, zwróconej uparcie ku ziemi.

— Co ci jest, Anielko? — spytała. — Dlaczego się tak zamyśliłaś?

— Mamo, ja myślę o duszach kwiatów, schowanych pod ziemią przez całą zimę. Wszak kwiaty mają duszę? prawda? Żal mi, mamó, tych kwiatów, które nie wszędzie, nie ujrzą słońca. Żal mi tych ziarenek, które pozostały w zimnym grobie ziemi. A tobie czy nie smutno?

Wracając do domu, jechały przez ten sam las, po którym Hanna jeździła w listopadzie z Romanem. Został jej w pamięci widok bezlistnych drzew, zapach opadłych liści. Poznała zakręt, na którym poniosły ich rysaki. — Serce jej zabiło na nowo na wspomnienie tej chwili. Przypomniła sobie daleki odgłos odchodzącego pociągu, potem solenną ciszę leśną, chwilę swej słabości i wreszcie namiętny wybuch Romana. Wspomnienie to było najcenniejszą perłą w skarbcu jej pamięci.

„Żal mi ziarenek, które pozostają w grobie ziemi” — przypomniała sobie powiedzenie Anielki.

Dojrzała kobieta rozumiała duszę dziecka. I ona pragnęła, żeby ziarno, ukryte w twardej glebie duszy Romana, też dojrzało. Wyznała sama przed sobą, że i ona, jakże daleka od dawnej dumy, czeka niecierpliwie na pierwszy gorący płomyk wielkiego uczucia.

„O witajże nam, wiosenko, matko wesela,
O witajże nam, wiosenko radosna!
Ty jasną rozścielasz ręką kobierce ziela,
Ty jasną zapalasz ręką blask słońca”.

Kasprowicz.

Urodziła się wiosna. Ptaki z poza mórz powróciły. Spostrzegły je pierwsze piwne i niebieskie oczęta psotnej dziatwy wiejskiej, niszczytelki gniazd. Bociany krążyły nad wysokimi topolami, lustrując zeszłoroczne swe rodzinne ogniska. Mieszkańcy miast, znużeni pracą, a może próżniaczem tępieniem czasu, poczęli także ciągnąć na wieś. Telegramy zwiastowały Hannie codziennie coraz to nowych gości. Niemirowski przybył niespodzianie nocnym pociągiem. Po śniadaniu zapukał do jej pokoju. Zastał ją schyloną nad rachunkami.

— „Tonos” — wykrzyknął, widząc ją zajętą pracą pod posagiem Nike Samotrackiej — ja też lubię greckie maksymy, lecz mojem godłem jest „panta rei”. Siedzę sobie wygodnie w pierwszym rzędzie teatru świata i patrzę. Co mam lepszego do roboty?

Czy zamiast tu marnować oczy nad papierami, nie przeszłaby się pani ze mną po parku?

Lecz pani Hanna nie mogła przerwać pracy. Chcąc nie chcąc Niemirowski musiał pójść sam do ogrodu. Należał do gatunku starych dzieci, które nie lubią samotności. Lecz niedługo czuł się sam w ogrodzie. Otoczyło go młode życie, rój chłopców i dziewcząt, pracujących wesoło. Zgrabiali liście, chroniące róże, prostowali brunatne witki krzewów, wynosili drewniane trumny, w których przez zimę przebywały marmurowe bóstwa. Niemirowski żartobliwie uszczypnął długie ucho fauna.

— Nie możesz, szczęśliwy nicponiu, doczekać się zmięzchu i nocnych wypraw.

— Och, ty szelmo, łajdaku — poczęstował go prztyczkiem w nos.

Nieco dalej spojrzął z szacunkiem na cnotliwe boginie Dianę i Westę. Minął je jednak obojętnie. Zbliżając się do Pomony, zwracającej swój profil ku królestwom sadów, pomyślał o przyszłych zbiorach owoców, o ciemnych granatowych śliwkach, aksamitnych brzoskwiinach, o rozkoszonym zapachu jabłek. W dworskim, pełnym czci ukłonie schylił się nisko przed Minerwą. Nie trwał jednak długo przed jej obliczem. Bezwiednie dążył ku bogini miłości. W strzyżonej wnęce grabowego szpaleru, ponad basenem stała nieśmiertelna Wenus, przeglądając się w wodzie. Naprzeciwko niej ciągnęła się szeroka aleja ku krańcom ogrodu.

Niemirowski zamyślił się. Wyobraził sobie wszystkie drogi świata wiodące do niej, przepełnione procesjami hołdowników. Widział nieprzeliczone zastępy młodzieńców i starców, z twarzami promiennymi od złudzeń i zwodnych nadziei, niosących bogini dary. Opuszczając jej ołtarze, wracali z obliczami mniej promiennymi. Oparł się poufale na nieskazitelnym ramieniu posągu. Nagle powiał ostry wietrzyk wiosenny. Woda zmarszczyła się. Niemirowski poczuł dreszcz. Słońce zakryła przelotna chmura. Z poza chmury na wodę padał snop promieni. Przeistoczył ciemny głębi w jasne zwierciadło. Niemirowski zobaczył w niem dwie postaci: marmurową boginię i przygarbionego nieco wielkoluda. Spostrzegł w bezwzględnej świetle wiosny, że przybyło mu parę zmarszczek. Z melancholią pomyślał, że od jakiegoś czasu lata są dla niego mniej gorące, niż dawniej, i nie pozwalają mu na zrzucenie jesiennego ubrania! — „Starzeję się już” — szepnął pocichu. Wtem zdala ukazała się druga bogini, ubrana w najwytworniejszy kostjum wiosennej mody, koloru *gris de lin*. Zdala widząc Niemirowskiego, zawołała: „słoneczny”, zaczęła biec szybko po spadzistej drodze.

— O Mijo — krzyknął Niemirowski — od kiedy tutaj jesteś?

— Przyjechałam pierwszym pociągiem po pana. Chcę zrobić parę szkiców. Jaki piękny krajobraz, prawda? Jak pan sądzi, czy plama mojej sukni harmonizuje z aksamitem jodeł? Ale, powiem panu nowiny. Od wczoraj staliśmy się właścicielami nowej siedziby.

Ludwik nabył Wichry. Czy nie dobrze zrobił? A tu moc gości zapowiadają. Będziemy pysznie się bawić, zbierając wzorki. Prawda?

— Mijo kochana. Nigdy tak jak dziś nie oceniłem twego umysłu. To istny wróbel, który skacze z miejsca na miejsce i nigdy nie spoczywa. O dobroczynny wróbelku, nie wiesz, jak mi dziś możesz pomóc do rozproszenia natrętnych myśli.

— Nieprawda. Nie jestem wcale wróblem. Wie pan, że istnieje temat, z którego mogłabym nie schodzić wcale.

— Ach prawda! „Ochronki”.

Poszli.

Niemirowski cichutko gwizdał ładną arję z operetki: *Glücklich ist, wer vergisst, was nicht zu ändern ist*. — Wtórował mu chór ptasząt, tworząc doskonałą symfonię. W symfonii tej odzywały się raz po raz pojedyncze sola — głos drozda, od którego wiolonczela zapożyczyła swego głębokiego tonu, filuterny głos gila, który był może natchnieniem muzyki operetkowej, uparte kukanie kukułki, wreszcie śpiew skowronka.

— Jakie są dziś wesołe te ptaszki — rzekł Niemirowski — może nie wiedzą, że pieśń lata jest krótka.

— Jak cudnie, jak wesoło! — wykrzyknęła Mija. — Co mówią te ptaszki?

— Mówią: — nie myślimy o jutrze.

Przyśpieszyli kroku. Przed tarasem ujrzeni na rabacie cały pułk czerwonych tulipanów, uszykowany naprzeciwko pułku tulipanów żółtych. Na schodach

tarasu spostrzegli strojną grupę młodych panien. W nowych sukniach wiosennych siedziały w uroczych pozach, odrzucając raz po raz piękne główki wtył, ku mężczyznom stojącym nieco wyżej na tarasie. Posyłały im spojrzenia, to śmiałe, to przysłonięte rzesami. Znudzone tem, że mężczyźni nie zwracali na nie uwagi, zaczęły improwizować rozmaite gry. Najpierw skakały przez przeszkody. Widząc, że to nie skutkuje, narysowały czerwoną linię na wysokiej białej ścianie i usiłowały do tej linii wznosić nóżki. Zabawny był ten widok ze względu na modę wąskich spódnic. Zabawa wywoływała głośnie wybuchy śmiechu i zwróciła uwagę pozostałych na tarasie.

— Uważajcie — krzyknęła Mizia Walicka, stojąc na straży.

— Cóż w tem złego? — spytała inicjatorka zabawy. — Nie mam powodu wstydić się własnych nóg. Nie mogę kupować gotowych bucików. Najmniejsza miara u Stephana jest dla mnie za duża.

— Mężczyźni zerkali na niewinne rozrywki panien. Ginter odezwał się: Nie przerywajmy zajęcia przyszłym żonom i matkom, przygotowującym się do swych poważnych zadań.

— Drogi panie — odrzekł Niemirowski — przypuszczam, że boginie nawet, gdy były podlotkami, były niemądre. W Grecji modele tanagryjskich figurynek nieraz grywały w piłkę i zostały w tej pozie uwiecznione. Wyczytałem gdzieś, że dziewczynki w Beocji bawiły się gołąbkami; wkładały na nie swoją liberję —

wstążeczki rozmaitych kolorów, żeby się ich ptaszki nie mieszały z ptaszkami towarzyszek. Podobno nawet perfumowały gołębie różnemi zapachami. O Grecjo, matko Gracyjo! Co za uroczy obraz musiały tworzyć modele tanagryjskich arcydzieł, dokazujące na stokach Akropolu, owiane szelestem gołębich skrzydeł, otoczone chmurą pachnących ptaków. — Czy można porównać pannice podnoszące, ile się da, nogi w spletanych sukniach — z Greczynkami w falujących białych chitonach?

Wieczorem niespodzianie przyjechał Sztolcberg. Gromada panien, zawiedziona nieco małą liczbą kawalerów do flirtu, nie bacząc na niedawną żalobę, zaczęła tańczyć walca. Jedna z warszawianek domagała się natarczywie, żeby Monkud z nią przetańczył. Hanna rozmawiała na uboczu z księciem, który, niezrażony poprzednimi kosztami, oświadczał się jej po raz niewiadomo który. Roman wszedł z miną chmurną, niezadowolony. W chwili, gdy wchodził, Cecylja poskramiała rozbrykanie panien. Podeszedłszy do fortepianu, zamknęła go. Zrobiło się cicho. Zdawało się, że chłód Romana udzielił się wszystkim obecnym. Rozmowy nie kleiły się. Towarzystwo wcześniej rozeszło się na spoczynek.

— Przejdźmy do koralowego saloniku — rzekł Roman, pozostawszy z Hanną sam na sam. Obrzucił niechętnym wzrokiem salon opustoszały, w którym bezład porozsuwanych mebli sprawiał przykre wrażenie. Zapominając o obowiązujących formach, przestąpił próg przed Hanną.

— Mam z tobą do pomówienia. Chciałem ci zdać sprawę z przedsięwziętych kroków w sprawie odzyskania kościoła w Wandalinowie. Mam nadzieję, że kroki te zostaną uwiecznione rezultatem pomyślnym. Ale widzę, że wpadłem nie wpore, na bal...

— Tańca nie było w programie. Nikogo nie zapraszałam. Zupełna niespodzianka. Cóż na to poradzę, że przyjeżdżają do mnie ci, którzy pragną mnie widzieć, lub którzy mnie potrzebują.

— Jesteś zwłaszcza użyteczna pannom lub wdowom, szukającym mężów, mężatkom, potrzebującym obmyć przybrukaną sławę. Tobym zresztą jeszcze od biedy mógł zrozumieć, pojąć jednak nie mogę, poco się nieustannie otaczasz tym rojem mężczyzn?

— Nie wiem o jakim „roju“ mężczyzn mówisz, jest ich tu tak mało, że, jak widziałeś, panny musiały tańczyć same ze sobą. Jest stary, zacny Niemirowski, który mnie zna od dziecka, Ginter zajęty wyłącznie muzyką, sam mówi o sobie, że jest tylko instrumentem muzycznym. Wreszcie Stanisław, sąsiad najbliższy, prawie krewny.

— A książkę. Co ten tu robi. Jestem pewien, że znów ci się oświadczył.

— Dawno odjęłam mu wszelką nadzieję. Choćby mi się oświadczył jeszcze tysiąc razy, wie doskonale, że nigdy za niego nie wyjdę.

— Pocóż w takim razie zwodzisz go? Poco tolerujesz jego hołdy? Wiem doskonale, że w głębi serca cieszysz się swoją władzą nad mężczyznami. Przede mną, Hanno, który cię zna od dziecka, nie zdołasz

tego ukryć. Maską rzekomej obojętności, którą wkładasz dla ogółu, dla mnie nie wystarcza.

Siedząc w głębokim fotelu w rogu komnaty, Hanna drżała, słuchając słów Romana. Nietyle treść słów, ile ton, jakim do niej przemawiał, dotknął ją boleśnie.

Podniósłszy dumnie głowę, rzekła:

— Jak śmiesz robić mi wyrzuty, Romanie. Jesteś pierwszym mężczyzną, który przemawia do mnie takim tonem. Nadużywasz praw krewnego i towarzysza z lat dzieciennych. Zapominasz, że choćby nawet zarzuty twoje były słuszne — mam prawo tak postępować, jak mi się podoba. Jestem wolną.

— Nie masz prawa. Wiesz doskonale, że od dzieciństwa byłaś mi niezbędna. Choć nigdyśmy sobie tego nie powiedzieli, uważaliśmy oboje, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Powiedz: dlaczego zerwałaś te więzy? Dlaczego odeszłaś ode mnie bez słowa? Wiesz doskonale, że z tobą mogłbym stać się lepszy, większy, szczęśliwy i że z twojej winy jestem dzisiaj smutny. A ty, czy jesteś zupełnie pewna, że w głębi twego jestestwa serce twoje nie wzywa mego serca?

Mówiąc to, przesywał ją nawskroś spojrzeniem swoich stalowych oczu, Hanna spuściła głowę. Twarz jej oblał gorący rumieniec. W głębi swojego serca czuła głos tego wezwania.

W tej chwili na progu saloniku stanął Niemirowski z malarzem i z Ginterem.

— Jak możecie wytrzymać w pokoju? — zawołał. — Noc jest taka cudna. Księżyc jak talerz złoty położył się na stawie. Chodźcie go zobaczyć.

Hanna wyszła z przyjaciółmi na taras. Roman wycofał się do swego pokoju.

Po męczącej, prawie bezsennej nocy, Hanna, otwartwszy oczy, ujrzała obok siebie leżący na nocnym stoliku list od Romana.

„Hanno — pisał — wyjeżdżam. Nareszcie odnalazłem cię i nie mogę znieść, aby inni ludzie podnosili oczy na moją własność. Wrócę, gdy będziesz sama. Nie mówię ci, żebyś się namyśliła, gdyż wiem, czuję, że jesteś moja. Wczoraj zrzuciliśmy maski z naszych twarzy. Wiem, że mi zwrócisz i oddasz nareszcie to, co mi zabrałaś, a co do mnie zawsze należało. Jadę do Petersburga, bo sprawy ogółu muszą iść przed naszymi. Wiesz o tem dobrze, Hanno. Potem wrócę po swoją Hanuś. Zabiorę na zawsze swoją Hanuś“.

Ten, kto by ujrzał rozpromienioną twarz Hanny, przypomniałby sobie słowa Biblii: „Do gwałtowników należy niebo“. Ze słodkiego uśmiechu Hanny mógłby wnioskować, że Roman zdobył posłuszną duszę.

— — — — —
Ciepły deszczyk spadł w godzinie brzasku. Nowy dzień zaczerpnął siły, pijąc wilgoć z ziemi. Trawa się bujnie zazieleniła. Główniki kwiatków wesoło wyzierały ku słońcu. Barwne motyle migotały, jak latające kwiaty. Zdawało się, że ptaszki głośniej śpiewały, że owady więcej brzęczały, niż dnia poprzedniego.

Na krańcach ogrodu w Żywych Wodach, droga, wznosząca się nieznacznie ponad obszarami parku, tworzyła taras, panujący nad okolicą. Oko tam ogarnia z jednej strony cały park z pałacem, stojącym na

wzgórzu, ze stawem i arterjami kanałów, z zameczkiem królowej Bony, wznoszącym się nad rzeką. Z drugiej strony widać stamtąd ogromne przestrzenie, obramowane sinemi lasami i przewinięte szarą wstęgą traktu napoleońskiego. Był to ulubiony przybytek pani Hanny. Lubiła przechadzać się często po tej samotnej alei, ocienionej gałęzmi wysokich, starych grabów, które spletały się z sobą tak gęsto, iż nie przepuszczały prawie promieni słonecznych. Zielony ten szpaler pani Hanna nazywała korytarzem rozmyślań. W najwyższym, panującym nad okolicą miejscu, grabowa plecionka tworzyła jakby duże okno. Okoliczna ludność przywykła widzieć w tem obserwatorjum jasną postać dziedziczki. Z wywyższonej placówki padało często na przechodzących w dole serdeczne powitanie pani Żywych Wód; przysyłała stamtąd zachętę do pracy wieśniakom, ciągnącym w pole, a także upomnienia psotnym dzieciom wiejskim, przestrzegającym się nawzajem okrzykiem: „Grafinia patrzy“. Lecz najczęściej pani Hanna wpatrywała się stamtąd w obrazy wspomnień. Ilu już przeszło tą drogą, tych, którzy już nigdy nie wrócą. Tędy przejeżdżali do Żywych Wód rodzice pani Hanny, gdy byli jeszcze władcami utraczonego Wandalinowa. Tędy ciągnął pochód umarłych tułaczy.

Dziś poprzez młodą zieleń alei promienie słoneczne rzucały jasne plamy na ziemię — stały pod stopy pani Hanny migotliwy dywan. Niebaczna na młode, wiosenne uroki, dlaczego szła w zamyśleniu? Nareszcie spoczęła na ławce w zielonej łoży i wzrok

wlepiła w trakt napoleoński. Przeszłość. W jej mgłę pozostały ukochane cienie. Wyłaniała się z niej jeno postać jedyna, urocza, żywa, postać pięknego młodzieńca, z którym niegdyś szybowiała w krainie młodości na skrzydłach ideału. Postać ta przeistoczyła się w obraz ascetycznego mnicha, nie pragnącego dla siebie nic, żelaznego, twardego sługi obowiązku. A potem przypomniła sobie scenę wczorajszą. Jakże niespodziewany był ten jego wybuch. Jakże niespodziany i jakże upojny!

Na zakręcie alei usłyszała Hanna krok lekki. Ujrawszy zbliżającą się Cecylję, pośpieszyła ku niej krokiem szesnastoletniej dziewczyny. Otworzyła ramiona i zamknęła ją w gorącym objęciu. Niewidoma położyła głowę na jej ramieniu:

— Jak ty go kochasz! — szepnęła cicho.

— On mnie kocha — odpowiedziała dumnie Hanna.

— Wiem, że z tobą mówił wczoraj.

— Skąd wiesz? Kto ci o tem mówił?

— Dziecko! Cóżby było warte serce siostry, gdyby w tobie czytać nie umiało, lepiej niż sama czytasz we własnej duszy — czy wiesz, że kochałaś go zawsze, bezwiednie, od czasu, kiedy spojrzawsz na niego po raz pierwszy?

— A on, Cecyljo, czyż mnie kochał?

Niewidoma nie odpowiedziała.

— Cecyljo! Dlaczego milczysz? Wątpisz?

— Czy może męskie uczucie dorównać miłości takiej, jak twoja, Hanno? Czy znajdzie się serce równie żarliwe, równie czyste o dziewiczej potędze pierw-

szego uczucia, jak Twoje? Czy jest na świecie istota godna mojej Hanny?

— Cecyljo, pierwszy raz mylisz się w ocenie ludzi. Jesteś niesprawiedliwa. Czemże ja jestem? Istotą, która zaznała ponęty zbytku, żyła w wytwornej, wyrafinowanej atmosferze intelektualnej, istotą, rozmiłowaną w pięknie, sztuce, kwiatach, przyrodzie, kobietą otoczoną dyskretnem kadzidłem męskiego zachwyty. Jak możesz porównywać mnie z Romanem, ascetą, który w całospaleniu własnem żył wyłącznie dla służby ideału?

— Jak ty go kochasz, Hanno. Jak ty pokornie go kochasz. Lecz wiedz, że bierzesz sobie dobrowolnie pana. Zostawisz, rzucisz pracę w Żywych Wodach, rzucisz nas wszystkich dla tego despotycznego władcy.

— Czyż nie wart tej nagrody, Cecyljo, za kryształ życia ofiarnego. Zresztą... Nie odpowiedziałam mu jeszcze.

— Odpowiesz. Jesteś już branką jego miłości. Dobrowolna niewolnica, pójdziesz za nim.

— Wczoraj, gdy mówił do mnie, doznałam po raz pierwszy uczucia szczęścia. Zrozumiałam, że są chwile, które ważą tyle, co całe życie. Czy tego nie rozumiesz, Cecyljo? Ty, która kochasz i jesteś kochana?

— Moja miłość nie jest z tego świata. Nie będzie nigdy z tego świata.

W ciągu dnia goście rozjechali się. Wieczorem pozostała tylko Cecylja. Siedziała z Hanną i Anielką w salonie. Anielka przytuliła się do ciotki. Dziwnie

zamyślenie Hanny nie uszło uwagi dziecka. Małeńka dziwiła się, że ciotka nie pieści jej jak zwykle. „Czy mama zmęczona, czy zasypia?” — myślało dziecko. Przytuliła głowinę do piersi Hanny i posłyszała, że serce jej bije niespokojnie. To nie był zwyczajny rytm, który przywykła słyszeć, gdy gest czuły zbliżał ją do ukochanej mamy, rytm równy i silny, który kojąco wpływał na niespokojne często serduszko dziewczynki. Dziś namiętne bicie serca dojrzałej kobiety niepokoiło małą kobietkę. Nigdy jeszcze nie widziała ciotki tak wzburzonej mimo pozornego spokoju. Nawet po stracie Lidji pani Hanna nie objawiała w ten sposób wzruszenia.

— Co to być może? — myślało niewinne stworzenie.

Dziewczynkę z wolna zaczął ogarniać lęk. Zastanawiał ją także uśmiech Hanny, uśmiech dotąd dziecku nieznany, który ciotka miała na ustach od rana.

Cecylja przeczuła, co się dzieje. Dotknęła delikatnie rozpalonych twarzy, łagodnie rozłączyła związane w uścisku ręce i niespostrzeżenie odprowadziła białą dziewczynkę do jej pokoju.

Hanna wyszła na taras. Świerszcze skrzypiały w mroku. Ptaki umilkły. Cisza wieczorna działała dobroczynnie na panią Hannę. Wilgotny chłód ziemi, mrok nocy koły jej gorączkę. Cecylja wróciła. Obie przyjaciółki nie miały sobie nic do powiedzenia. Nieświadoma podeszła do fortepianu i lekko dotknęła klawiszy. Rozpoczęła pierwszą akordy modlitwy Bacha... Hanna, która przed chwilą pragnęła milczenia, posły-

szała znajome dźwięki. Wolałaby jednak posłyszeć co innego, pieśń pragnień, których nie śmiała wyrazić.

— Zaśpiewaj *Still wie die Nacht* — poprosiła Cecylję.

Zabrzmiała pieśń namiętna, choć banalna, mocna pomimo prostoty. Hanna zeszła do ogrodu.

— *Tief wie das Meer* — usłyszała już zdaleka.

Usiadła przy źródle, zasilającym kanały i staw. Wody szepczące wzbierały, śpieszyły, niespokojnie dążyły do swych ciemnych przeznaczeń. W sercu kobiety również niespokojna fala wzbierała, potężniała, pędziła do celu miłosnego. Zdała dobiegły ostatnie słowa pieśni:

Ich will dein Eigen sein.

Cała dusza Hanny krzyczała wdał bez słów:

Ich will dein Eigen sein.

— — — — —
Noc już była późna, lecz Cecylja jeszcze nie mogła zmrużyć oka. Długo myślała z troskliwością siostrzaną i macierzyńską o przyjaciółce. Nie miała dobrych przeczuć. Nie przewidywała, aby Hannę czekało szczęście. Wątpiła, czy twarda indywidualność Romana zdoła i zechce nagiąć się do czulej i marzycielskiej natury Hanny. Cecylja obawiała się rozdzwieku i cierpień dla istoty kochanej. Pomyślała o własnej miłości, tak gorącej a zarazem delikatnej. Carlowi Nadivari nie dawała lata całe nadziei, a trwał w niezmiennem uczuciu. Czy Roman zdobędzie się na podobną miłość?

Hanna również nie spała, leżąc nieruchomo na łóżku, słyszała każde uderzenie pulsu. Miała wrażenie, że jej serce to odrębna żywa istota, która się w niej kołacze. W głowie jej rodziły się myśli różne, myśli słodkie, myśli burzliwe. Wysiłkiem woli odsuwała je, lecz one wracały wciąż zwycięskie. Przypomniła sobie taką samą bezsenłą noc z dzieciństwa, gdy, leżąc w łóżeczku, oczekiwała z biciem serca rodziców, mających nazajutrz rano wrócić z zagranicy. Znużona dziewczynka wówczas zasnęła i nie poczuła, gdy zbliżyła się do jej łóżeczka matka, by ją otoczyć gorąciami ramionami. Matka... W smutnych marzeniach Hanny, we mgle, coraz bardziej zasnuwającej lata dziecinne, widziała postać młodej kobiety złotowłosej, nachyloną nad jej łóżeczkiem. W ciszy nocnej uczuła Hanna dawno nieznana gorycz łez. Opanowała się. Wszak dumnie dotąd znosiła samotność. Wszak znosiła ją dobrowolnie. „Trzeba spać — pomyślała. Jutro czeka mnie praca. Mam dużo roboty“. Lecz sen nie przychodził. Od lat dziecinnych nie przeżyła nigdy podobnej nocy. Jakże długą jej się wydawała! Jakże ciążyły jej ciemności. Nieznośne uczucie niepokoju skłoniło Hannę do opuszczenia łóżka. Wstała, otuliła się wełnianą białą szatą, narzuciła na siebie czarny płaszcz i wyszła na taras. Noc była jeszcze ciemna, lecz jakieś przeczucie niewyraźne, delikatne, przeczucie jakiejś radości w przyrodzie i w samej Hannie zwiastowało brzask. Było ciemno, ale świat żył. Woda w kanałach szeptała, niewidzialne trawy parły się wgórę, rwały się do dnia, do jasności. Cała senna

przyroda czekała cudu wyzwolenia dnia z nocy. Hanna patrzyła uparcie w noc ciemną. Wiedziała, że światło niebawem zwalczy i zwycięży nieprzyjemne moce ciemności. Urągając nieprzyjaciółce, patrzyła ufnie w stronę wschodu w przyszłość.

Nad parowem bardzo wolno wylaniały się majające kształty drzew. Wdali panowała jeszcze czarna noc. Jeszcze chwila — myślała Hanna — a dzień wszędzie; serce w niej biło, dzwoniło na cześć życia hymn radosny. Na ziemi i niebie wszystko z wolna ulegało przeistoczeniu. Źródła zaśpiewały głośnie, przestrzenie z szarych stały się błękitnymi, mgła opadała, park rósł, rozszerzał się, łączył się z polami i łąkami. Z oddali wyłonił się las ciemny i wreszcie z nieba zastona mroku jęła się usuwać, ustępując miejsca słabemu jeszcze brzaskowi. Orzeźwiający wiatr obudził pola, owiał gałęzie drzew, które się pod nim ugięły, wstrząsnął kobietą, stojącą na tarasie.

Promienie wschodzącego słońca padły na Hannę, złocąc jej ciemne włosy. Pieściły, błogosławiły jej jasne oblicze, zapamiętałe w ekstazie.

Od jakiegoś czasu Hanna nie była sama. Niepostrzeżenie stanął na tarasie malarz i patrzył na nią z zachwytem. Czarna szata zsunęła się z jej ramion, a włosy rozplecione, sięgające kolan, otoczyły ją, jak płaszczem ozłoconym, wschodzącym słońcem. Blaski zorzy grały dookoła jej głowy, lśniły na włosach, ześlizgiwały się z białej tkaniny pasmami rudych płomyków. Oczy miała zwrócone ku widzialnym dla niej tylko rajom. Była to zupełnie przeistoczona, inna, nie-

znana mu Hanna. Wyglądała młodo, jak istoty, które zaczynają życie z radosną odwagą, z niecierpliwością i pragnieniem poznania. Stanisław rozumiał, że miłość tylko mogła dokonać takiego cudu. Hanna kochała... Zrozumiał, że jego pani, jego natchnienie, powiernica twórczych cierpień nigdy do niego należeć nie będzie. Wielka miłość bezbrzeżna, przedmiot wielkiego kultu niewyznanego był na zawsze dla niego stracony. Z goryczą myślał, że ta znawczyni dusz nie zgadła, iż płonął ku niej miłością od 15 lat. Kobieta ta jest kobietą jak inne. Nie warta wielkiej miłości. Nie zdolna spojrzeć w jej głębie.

Hanna odwróciła się. Weszła w cień. Nie zauważywszy malarza, musnęła go lekko i zginęła w głębi mrocznego salonu. Malarz został sam ze swoją męką. Budziła się w nim pokusa ucieczki, odejścia z rajów dawnego, w którym przez tyle lat nawiedzało go natchnienie, w którym oczekiwał na gońców przyszłej sławy, w którym karmił potajemnie głód zwodnej, niedoskiej miłości. Czuł jednak, że nie będzie miał siły tego uczynić. Był więźniem wspomnień szczęśliwej przeszłości, która nieustannie stawała przed nim w obrazach świetlanych. Wspominał pokolei wszystkich szczęśliwych chwil, przeżyte u boku Hanny. Teraz Hanna pójdzie za Romana. Czy będzie z nim szczęśliwa? Stanisław w głębi serca nie był tego pewien. Postanowił jednak, że, jakkolwiek ułożą się jej losy, on zdaleka nad nią czuwać będzie wiernie.

ROZDZIAŁ TRZECI

...Jene Zeiten: O wie war ich Eines,
Nichts was rief und nichts was mich
[verriet,

Meine Stille war wie eines Steines,
Über den der Bach sein Murmeln zieht.
Aber jetzt in diesen Frühlingswochen
Hat mich etwas langsam abgebrochen
Von dem unbewussten dunkeln Jahr.
Etwas hat mein armes warmes Leben
Irgendeinem in die Hand gegeben,
Der nicht weiss, was ich noch gestern war.

Rainer Maria Rilke.

W parę dni później pani Hanna postanowiła pojechać do Wandalinowa, a stamtąd do Słuszkowszczyzny. Pragnęła przed ostatecznym powzięciem wielkich decyzji życiowych skupić się w osamotnieniu, spojrzeć na krajobraz swojej młodości, odbyć swojego rodzaju rekolekcje uczuciowe. Anielka prosiła ciotkę, żeby ją z sobą zabrała:

— Nigdy nie byłam w Wandalinowie. Weź mnie z sobą, mamó. Pokażesz mi miejsce, gdzie się bawi-

łaś z wujkiem w króla i królową, i kasztel drewniany, któryście sobie wybudowali w lesie.

— Skąd ty o tem wiesz, maleństwo?

— Wujek mi o tem opowiadał — odrzekła dziewczynka z dumą. — Czy weźmiesz mnie, mamó?

— Nie napieraj się, Anielko. Tam, gdzie jadę, muszę być sama.

Dziewczynce, nieprzyzwyczajonej do odmowy zakręciły się w oczach łezki. Opanowała się jednak i rzekła z miną obrażonej:

— Zostanę z panem Stachem. Będzie nam razem bardzo dobrze.

Wandalinów oddawna był sprzedany. Właściciele jego, Rosjanie, mieszkali stale w Petersburgu. Pani Tęczyńska zajęła do Hrycia, starego stróża, jedynego świadka dawnych czasów, bardzo do niej przywiązanego. Hryć schylił się do nóg „panieneczki” i ugościł córkę starego pana, jak mógł najlepiej. Przegwarzywszy parę godzin z nim i z jego żoną, pani Hanna o zmierzchu wyraziła życzenie pójścia w stronę zamku. Hryć odradzał długo, nie podając powodu, dlaczego to czyni. Wreszcie wyznał, że choć zamek jest pusty i od ludzi nie grozi jej żadna „hrywda”, to jednak chodzić tam niebezpiecznie ze względu na duchy, które się tam błakają i straszą. Nie zważając na przestrogi Hrycia, pani Hanna poszła na górę i usiadła na tarasie oparta o balustradę. Rozpościerał się przed nią krajobraz, na który tylekroć patrzyła oczyma dziecka. Nigdzie tak upojnie nie pachniały centyfolje, których woń łączyła się z gorzkim zapachem żywopłotów

bukszpanowych, bardzo starych, pamiętających kilka pokoleń. W półmroku wieczornym majaczył rysunek ich dawny, dobrze Hannie znany. Gorzkawy zapach bukszpanu budził wspomnienia. Zapach ten morzył. Przymknęła powieki. Ponad żywopłotami bukszpanowemi ujrzała jakby kłęby oparów mglistych, z których powoli zaczęły się wyłaniać niewyraźne kształty ludzkich postaci. Z początku było ich mało, ale w miarę upływu czasu zaczęło ich przybywać coraz więcej i więcej. Stawały się też coraz wyraźniejsze. Długą procesją kroczyły w stronę zamku, jęły go zapępniać. W starych komnatach rozległy się ciche szmery kroków. Słabe światła zapaliły się w oknach. Pani Hanna wyraźnie widziała przez szyby korowód postaci świetlnych, snujących się wolno w dużej pałacowej sieni. Wszystkie trzymały się za ręce. Przykuta lękiem do ławki, nie mogła wstać. Dwie zjawy odłączyły się od innych i podeszły do okna. Pani Hanna poznała rysy ukochanych dziadków. Podniósłszy w górę dłonie, dały jej znak, żeby do nich podeszła...

— Panienczko mileńka. Co ci jest? Czy panienka zemdlą? Mówiłem, że duchy urzekną. Oni tam mieszkają — posłyszala nad sobą głos starego Hrycia.

Otwarła oczy.

— Nic mi nie jest, Hryciu. Zasnęłam tylko. Miałam piękny sen.

Hryć uspokojony odszedł. Pani Hanna do późna siedziała jeszcze na tarasie. Nie miała już żadnych wizyj, pomimo to jednak obcowała ciągle z duchami przodków. Jak dziecko, spowiadała im się szczerze ze

swoich wielkich pragnień, które ją wołają do nieznanego życia. Skarżyła im się na swoje osamotnienie i sieroctwo. Mówiła im, że dotychczas walczyła dzielnie, lecz że teraz brakuje jej sił do dalszej samotnej walki. Wyznała, że ukochana długoletnia praca wydate jej się jałowa, że przyszłość owocną widzi tylko w łączności z ukochanym człowiekiem.

— Dusza moja jest smutna — mówiła duchom. — Wyznałam przed wami całą moją słabość. Dajcie mi radę. Wskazówkę. Usłucham.

W pamięci Hanny odżyło wspomnienie starej „kniagini“ i jej małżeństwo. Przypomniła sobie całe ich życie, spędzone w trudzie oraz radości. Przypomniła sobie żarliwy pocałunek, złożony przez babkę na ustach zmarłego dziadka w dniu jego pogrzebu.

Umarli dali Hannie odpowiedź.

Hanna z dnia na dzień odkładała wizytę u małej ciotki, czując potrzebę samotności. Któregoś ranka wybrała się z Hryciem do lasu, gdzie zamierzała spędzić cały dzień. Pojechała chłopskim wózkiem. Innego wehikułu Hryć nie mógł dostarczyć i był z tego powodu niepokieszony. Wjechałszy głęboko w las, kazała stanąć.

— Zaczekaj tu na mnie, Hryciu. Przelecę się sama po lesie. Znam tu każdą ścieżkę, każde drzewo.

— Nie wierz w to, panienko. Las jest zdradny. Zmienił się, urósł od 20 lat! I w moczary można wpaść, i jezioro jest głębokie. Usłuchaj rady starego Hrycia. Pozwól, bym za tobą zwolna jechał. — Ale Hanna nie chciała mieć świadka pielgrzymki. Pomimo nalegań

Hrycia zapuściła się w las sama. Z radością w sercu, coraz prędzej, szukała znanych widoków. Poznała sędziwe drzewo, w którego dziupli niegdyś mieszkała znajoma rodzina wiewiórek. Dziś dziupla była opustoszała. Z radością poznawała Hanna las ukochany i zapytywała siebie, jak mogła przez tyle czasu żyć zdale od tych stron. Idąc coraz szybciej, schylała się raz po raz ku ziemi i, odgarniając igliwie, zbierała kwiaty. Niebawem trzymała w ręku duży bukiet ziół, który dla niej pachniał... przeszłością. Myślała o małej ciotce, dobrej wróćce lasu, której postać stawała w jej pamięci z rękoma pełnymi darów. Ilekroć mała Haneczka ją odwiedzała, zawsze otrzymywała od niej jakiś dar leśny. Dawała Hannie kwiaty, owoce, zwierzątka, które się stawały ulubieńcami dziewczynki. W lesie spotykały Hannę oswojone sarenki, ptaszki, wychowane przez małą ciotkę, siadały jej na ramionach. Stara wydra była jej nieodstępną towarzyszką. Myślała także o Romanie. Przypomniła sobie dziecinne ich wyprawy do lasu. Roman, jako mały chłopiec, wesoły był i pogodny. Umiał się cieszyć każdym kwiatkiem, który odkrywał. Czasami bywał jednak surowy. Hanna przypomniła sobie wybuch jego gniewu na widok spotkanych chłopców, niszczących ptasie gniazda. Już wówczas objawiał skłonność do rządzenia i umiał narzucać swoją wolę. Kiedyś oświadczył Haneczce, że będzie królem lasu. Postanowił wybudować sobie kasztel leśny. Przez trzy dni poszukiwali odpowiedniego miejsca na pałac, wreszcie znaleźli je na wzgórzu wysokim, zarosłym gęsto krzewami. Od-

tąd całe dnie spędzali na budowie. Roman zmobilizował działwę wiejską, kuce dziecinne woziły materiał, i nim wakacje dobiegły końca, drewniany kasztel stanął. — Dziś wprowadzam do mojego domu panią i królową — oświadczył Roman. Włożył na główkę Haneczki koronę z kwiatów i kazał działwie wiejskiej jej hołd składać. Na drugi rok młody król zrzekł się swego królestwa. Nie chciał już bawić się w leśnym kasztelu. Twierdził, że jest na to za duży. Rozczytywał się w niemieckich poetach wolnościowych, nosił w kieszeni „Konrada Wallenroda“ i najchętniej podczas spaceru skierowywał swe kroki w stronę starej unickiej cerkiewki. Z pewnym lękiem dążyła mała Hanusia do tego tajemniczego ustronia. Pewnego razu posłyszwały dzieci przez szczelnie zamknięte okna i ciężkie dębowe drzwi cichy, smutny śpiew. Roman objaśnił Haneczkę, że to modlą się za męczennika, którego będą chować w nocy.

— Dlaczego w nocy? — zapytała dziewczynka.

— Jesteś za mała, żeby to zrozumieć.

Tego wieczora Roman wymknął się z domu przed kolacją. Małej cioci także nie było u stołu.

Innego dnia przeprawili się ku cerkiewce łódką. Haneczka biegła po łące, okalającej kościółek. Skakała po małych pagórkach, które łączka była usiana. Roman skarcił ją.

— Przeżegnaj się — powiedział — tu leżą nieboszczycy.

— Jakto, więc to groby? To niemożliwe. Nie ma tu przecież ani krzyży, ani kwiatów.

— Widzisz, Hanusiu. Jesteśmy w takim kraju, w którym nie wolno kwiatom rósć na grobach.

Haneczka długo łamała sobie główkę nad znaczeniem tych słów.

Roman poważniał coraz bardziej. Długimi godzinami opowiadał Haneczce treść książek, które pochłaniał namiętnie. Mówił jej o pracach Heraklesa i bohaterach Iljady. Opowiadał o mężnych czynach Czarnieckich i Żółkiewskich. Lepszego profesora historii nie miała Hanna nigdy.

Długo, długo zatapiała się Hanna w cudnych rojeniach o tych szczęśliwych czasach, które skończyły się ze sprzedażą Wandalinowa. Pogrążona w myślach, nie spostrzegła nawet, jak doszła do cerkiewki. Ujrzała ją nagle ze szczytu wzgórza. Białe jej ściany przeświecały przez gęstwinę drzew, zbiegających aż ku jezioru; poskręcane korzenie spuszczały się z brzegu ku wodzie, robiąc w blaskach zachodu wrażenie skłębionego węzowiska. Hanna poczuła chłód wieczorny. Przyśpieszyła kroku. Niebotyczne sosny, ozłoczone łuną zachodu, zdawały się płonąć, jak gromnice na ołtarzu.

„Czas wracać do domu“ — pomyślała Hanna i skrzyła w pierwszą dróżkę na prawo. Pamięć miejsc jednak zawiodła ją. Zabłądziła. W zarośniętych ścieżkach nie mogła znaleźć dawnych śladów. Stopy jej grzęzły w bagnie. Czas mijał. Zmrok uniemożliwiał poszukiwania. Lęk, coraz większy lęk opanowywał jej serce. Brnęła coraz dalej w niebezpieczne mokradła, coraz bardziej plątała się w nieprzebytych gąszczach,

które zdawały się zamykać za nią świat. Noc zapadała. Hanna znużona, namyślała się, czyby nie przenocować pod jakimś drzewem i odszukać drogi, gdy się rozwidni. Nie mogła się jednak na to zdecydować. Podniosła oczy wgórę, ponad drzewa, szukając gwiazd, by dodać trwożnemu sercu odwagi.

Wtem poprzez gąszcze, daleko, bardzo daleko, ujrzała światełko. To nie gwiazdy — pomyślała. — Gwiazdy tak nisko nie świecą. To albo Wandalinów, albo Słuszkowszczyzna. Zaczęła biec w stronę światła. Pędziła co tchu. Siły jej wzrastały w miarę, jak się zbliżała do celu. Wkońcu poznała woddali zakręt alei Słuszkowszczyzny. Z mroku wyłoniły się kontury starego zamku, oświetlonego rzęsiście. Okna budowli zdawały się wpatrywać w las, jak rozżarzone oczy. Dom promieniował blaskiem i ciepłem. Serce Hanny zabiło radośnie. Oddawna nie kosztowała słodyczy tego ciepłego gniazda, gniazda rodzinnego, zamieszkanego przez istoty kochane i kochające. Park od lasu oddzielał głęboki strumień. Jakże niebezpieczny wydawał się on niegdyś dla małej Hanusi. Roman zwykle przenosił dziewczynkę przez rów, ażeby nóżek nie zamoczyła, i stawiał ją bezpiecznie na suchej ziemi. Hanna doszła do tej zapory. Strumień był wezbrany. Szum wód wiosennych rozlegał się głośno w ciszy nocnej. Hannę ogarnęła rozpacz. Po tamtej stronie czekał na nią raj, wypoczynek i objęcia kochającej ciotki, a oto poczuła, że sama bez pomocy i teraz strumienia nie przejdzie. Nagle ujrzała przy sobie wysoką postać. Zanim po-

znała, że to był Roman, potężne ramiona chwyciły ją wpół i przeniosły na drugą stronę wody. Postawiwszy ją lekko na suchym gruncie, Roman przybrał korną postawę i rzekł:

— Tu, pani moja, zaczyna się królestwo twoje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A kiedy będziesz moją żoną,
 Umiłowaną, poślubioną,
 Wówczas się ogród nam otworzy,
 Ogród świetlisty pełen zorzy,
 Rozwonią nam się kwietne sady,
 Pachnąć nam będą winograpy
 I róże śliczne, i powoje
 Całować będą włosy twoje.

— — — — —
 Pójdziemy cisi, zamyśleni
 Wśród złotych przymglań i promieni,
 Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
 Kędy drzewi miłość nam otworzy.
K. Tetmajer.

W dużej sieni starego zamku Słuszków w ogromnym kominie pali się ogień. Na przyjęcie Hanny zaroilo się tam od ludzi. Mała ciotka podbiegła do niej. Ruchy miała młodzieńcze. Szeroko rozwarła ramiona i zawołała: „Hanus! Nareszcie, nareszcie przybywasz, czekałam na ciebie lata całe, Hanus mały“.

Mała ciotka „dobra wróżka lasu“ w czepeczku o powiewnych wstążkach barwy bladego bzu, w aureoli loczków dawniej złotych, dziś srebrnych z od-

cieniem złotawym, o ruchach żywych, powiewnych, nie zmieniła się w oczach Hanny od lat dzieciennych prawie wcale. Jej oczy barwy niezapominajek, duże, tklive, spoglądały na nią jak dawniej: pogodnie i wesoło. Postać jej była lekka, filigranowa i powiewna, a na jej różowej cerze rysowała się sieć drobnych zmarszczek, podobnych do tych, jakimi bywają zarysowane płatki róż, przechowywane pomiędzy kartkami książki do nabożeństwa. Miała gorące serce i duszę. Chętnie słuchała zwierzeń młodych istot zakochanych. Nie darmo była siostrą „Kniagini“, patronki małżeństwa. Otaczał ją rój młodych dziewcząt, towarzyszek i wychowanek, które gorliwie zajęły się Hanną. Żywo zdjęły z niej wilgotną odzież, rozwichrzone włosy splotły w ciężkie warkocz, które stworzyły ponad czołem wysoką koronę. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wnet znalazła się dla Hanny gorąca kąpiel. Potem ubrano ją w dawną suknię „kniagini“, aksamitną, ponsową z gronostajowem obramowaniem. Wieczere podano w komnacie jadalnej, zdobnej w starożytnie zbroje.

— Jakże podobna jesteś do babki, Hanus — rzekła Mała ciotka. — Masz jej wzrost i barwę włosów, i rysy te same. Oczy jednak odziedziczyłaś po ojcu. — Roman patrzył z podziwem na iście królewską postawę i godność Hanny i doznawał dziwnie mocnego, niezaznanego dotychczas uczucia dumy, że to piękno całe, ta słodycz, ten rozum stanowią jego własnością, i że w jego domu ta cudna istota niebawem będzie panią.

Po kolacji Mała ciotka pozostawiła Hannę i Romana samych. Uczuwaliby dziwny niepokój, którym tchnęły mury starego zamczyska Słuszków, będące świadkiem niejednej miłosnej tragedji. Tu piękna Słuszkówna snuła marzenia potęgi i władzy, zanim małżeństwo stało się dla niej pierwszym szczeblem do zaszczytów i zbrodni. Tu później prababki Romana i Hanny zamieniały dozgonne przysięgi. W tych wielkich komnatkach i głębokich wnękach, i oknach zakratowanych płynęły iskry uczuć małżeńskich, jak w mrocznych katedrach płoną świece przed ołtarzem Zbawiciela. Dla staropolskich kobiet małżeństwo było religją i wiarą.

Serca Romana i Hanny mówiły sobie bez słów: „W tych murach kochali — kochajmy“. Lecz na progu miłości Roman doznał prawie lęku. Hanna także drżała przed zbliżającą się potęgą uczucia. Spuściła oczy. Dziwny niepokój panował w powietrzu. Jak każda kobieta, najbardziej nawet skryta, zapragnęła dać wyraz swemu szczęściu. Podeszła do fortepianu. Zaczęła grać *Des Abends* Schumanna. Wyobrażała sobie, że jest to pieśń o dwojgu młodych kochankach. O pogodnej, wieczornej godzinie, gdy szmery cichną, idą kochankowie, trzymając się za ręce. Milczą. Wiosna poi ich swą melodją nieśmiertelną. Uciekają od ludzi. Księżyc tylko na nich spogląda. Wchodzą do lasu, do lasu ciemnego, który słyszał już tyle szeptów miłosnych. Teraz jest powiernikiem słodkiego ich wyznania. Tajemnicza dobra noc osłania ich. Pod palcami Hanny melodja się zmienia, gra teraz *In der Nacht* Schumana,

pieśń niespokojną, opiewającą rozpętaną burzę namietności. Zawstydzila się Hanna tej pieśni. Zmieniła ją czem prędzej, na wzniosłą *Arię* z ostatniej sonaty Beethovena. Roman słuchał, zgłębiał mowę dźwięków, rozumiał pragnienie ideału, przepajające ten utwór.

Z za okien dochodził szum wód wiosennych, wzbierających potoków leśnych. W Romanie również wzbierała fala wrażeń, uczucie wzmoгло się, napęlniając serce męskie. Niedawno myślał, że miłość jest słabością, dziś marzył całą siłą uczuć o całkowitem posiadaniu dumnego serca Hanny. Nieznający serc kobiecych i dróg do nich, instynkt podpowiadał mu, że w wielkich godzinach życia należy zachować milczenie. Pozostał zatem cichy i spokojny przy boku istoty tak ponętnej, jak Hanna. Nie drgnął, podając jej rękę na dobranoc, w uścisku niemal braterskim, delikatnym i nieśmiałym.

Znużona Hanna zasnęła. Spała jednak niedługo. W grubych murach obcej sypialni było jej nieswojo, duszno. Otworzyła więc okno, lecz świeżość powietrza nie przyniosła jej ukojenia. Na dworze wiosenna, czynna noc nie przerywała swej pracy. Strumyki wzrastały, wody wzbierały szybko, zdążyły do rzeczulek, przecinających głęboką puszcę. „Może jutro — pomyślała Hanna — wody podmyją mosty, odetną nas od świata. Puszcza się zamknie nad nami i zostaną tu długo, w niedostępnym dla nikogo borze. sama z nim“. Serce Hanny radośnie zabiło. Dlaczego nie odzyskało spokoju? Hanna rozmyślała nad słowami: „Na zawsze“. Zmęczenie zmogło ją na nowo. Zbudził ją powtórnie

dopiero zgiełk ptasi. Hannie zdawało się, że nigdy ptaki tak nie szczebiotały, że nigdy ich dawniej tak dobrze nie rozumiała. Opowiadały sobie dużo tajemnic. Głosy były rozmaite. Niektóre wznosiły się mocniej, prosiły, namawiały. Odpowiadały im inne czulsze, cichsze. Długo słuchała Hanna namiętnych rozhovorów, aż po raz drugi znużona zasnęła, myśląc:

— To pora wicia gniazd.

Nazajutrz był dzień gorący, słoneczny. Hanna nigdy dotychczas nie obudziła się z równie potężnym uczuciem szczęścia, lecz uczucie to było połączone z pewnym niepokojem. Miłość to niepokój.

Postanowili pójść na spacer do sadu wiśniowego, posadzonego na jednej z polan pobliskiego boru, do sadu, w którym niejednokrotnie bawili się, będąc dziećmi. Sad ów w krasie białego kwiecia stał w ciemnej oprawie sosen. Śnieżne kwiaty były wszędzie i osypywały gałęzie, jak motyle sfruwały wolno na ziemię. Wiatr z niemi igrał przez chwilę, zanim spoczęły na murawie. Hanna miała na sobie suknię białą, jak te płatki. Za nią szedł Roman. Patrzył na wiotką postać towarzyszkę, a równocześnie spoglądał w przeszłość dawno minioną. Las był ten sam, co przed dwudziestu laty, lecz drzewa w nim spoważniały, a konary potężniejszy rzucały cień niż dawniej. Drzewa wiśniowe kwitły już wielokrotnie od owej pory, a oni?.. Wiosna i lato ich życia przeszły bez kwiatu miłości. Serce Romana zaczęło uderzać niespokojnie, jak serce młodzieńca. Ujął dawnym gestem marzącą kobietę, jak

niegdyś małą dziewczynkę, małą Hanuś. I sad ponownie usłyszał bicie serca tych dwojga, podsłuchał ich marzenia. Przypomnieli sobie, jak chodzili tu dziećmi: słońce pieściło ich głowy — a oni jak, chcąc się uchronić od skwaru, przebiegali szybko łąkę i spoczywali w cieniu i chłodzie kwitnących wiśni. Przypomnieli sobie, jak w tych białych kopułach brzmiało od pszczoł i owadów, jak ptaszki ukryte w gałęziach uciekały spłoszone przez nich. I znów Roman, jak niegdyś, potrząsał gałęzie ciężkie od kwiecia, a Hanna stała pod powiewnym deszczem białym, schylając głowę, i śmiała się śmiechem zapomnianym lat dziecinnych. Zakochani na nowo stali się dziećmi. Wtem zawiął wiatr północny, zimny. Drzewa zadrżały. Potężny wicher zgiął białe konary ku ziemi. Dręczone przez wicher gałęzie osypywały ziemię gęstym śniegiem przedwcześnie zerwanych płatków. „Żadna potęga nie mogłaby rozkazać tym listkom, żeby wróciły do macierzystego szczepu“ — pomyślała Hanna. Odczuła lęk przed ostrzeżeniem znikomości. Wiatr stał się dla niej symbolem siły, burzącej szczęście. Lecz wielki wiew, unoszący się nad światem od jego początku, wiew miłości, która wyłoniła świat z chaosu, porwał, unicestwił obawy Hanny. Spokojna, odważna, spojrzawszy w oczy ukochanemu, szepnęła: „niechaj się spełni czar, chociażby miał być krótki, bylebym tylko czuła, bylebym kochała“. Roman rozwarł ramiona. Hanna spoczęła w jego objęciach.

Poszli dalej w las, ciesząc się widokiem wiosennej przyrody. W cieniu starych sosen kwitły dzwo-

neczki liljowe, bujne rzesze storczyków dzikich unosiły swoje aromaty, i zwarte jasno-zielone liście konwalji rozchyliły się, ukazując w swoich wnętrzach białe wonne skarby — istne bukiety narzeczeńskie. Hanna i Roman mieli wrażenie, że kwiaty te pachniały mocniej, niż kiedykolwiek. Od czasu do czasu spotykali zwierzęta leśne, które nie uciekały na ich widok. Węże szeleściły „śliską pierśią dotykając ziola“, ptaszki przefruwały w słońcu, ćwierkając radośnie. Zdawało się, że każdy kwiat chyli się do kwiatu bliźniego, każdy twór szuka swego dopełnienia w innym pokrewnym tworze. A oni szczęśliwi szli ręką w rękę po ślubnych, kwietnych kobiercach, owiani wonią, bijącą z ziół jak z trybularzy. Długo wodził Roman królową swoją po przyszłym ich państwie. Nie wrócili do domu na śniadanie. Znaleźli w jednej z leśniczówek ucztę, z rozkazu Romana zawczasu przygotowaną. Służba, stosownie do otrzymanych poleceń, usunęła się, i Hanna miała wrażenie, że uczta ta jest dziełem czarów. Pokrzepieni poszli dalej. Pragnęli odwiedzić dziecinny swój kasztel. Droga do niego była zarośnięta, wspinali się po niej z trudem. Roman, jak dawniej, zachęcał Hannę słowami: „Jeszcze trochę wysiłku, a dojdziemy“. Wreszcie doszli do celu. Hannę spotkał zawód. Kasztel był zburzony. Leżał na jego miejscu stos przegniłego budulca. Z królewskiego tronu Hanny nie pozostało ani śladu. Mieli jeszcze zamiar odwiedzić cerkiewkę, lecz było już za późno. Hanna wyraziła życzenie, żeby ślub ich odbył się w tej świątyni, z którą wiązało ich tyle wspomnień.

Wrócili do domu końmi, które unosiły ich przez polanki, pachnące świeżo zoraną ziemią. Mijali ciemne bory w oparach zawieszonych nad łąkami mgieł. Pędzili, wchłaniając żywiczne tchnienia. Noc coraz ciemniejsza opadała na ziemię i na nich.

Tak skończył się dzień pierwszy szczęścia Hanny.

Na drugi dzień znowu wybrali się do lasu i zostali tam aż do wieczora. Czuli się zanadto szczęśliwi. Ogarniał ich zabobonny lęk przed zawiścią bogów i przemyślali, ażeby haracz im złożyć. Snuli projekty przyszłej wspólnej pracy, mówili o swoich pracach przeszłych. Hanna opowiadała o nich ze skromnością ludzi, którym przyświeca ideał nigdy nie dościgniony, a muzykalne brzmienie jej głosu miało w sobie coś z kryształu lekko trąconego, brzmiącego w ciszy. Roman ulegał temu czarowi, siedząc u jej stóp na zacisznej polance leśnej. Patrzył w jej oczy i upajał się nie tylko samem znaczeniem słów, ale i melodją jej słodkiego głosu. Sam również zwierzał się jej ze swych zamierzeń, nadziei. Mówił o tem, jak budził senne dusze, jak bronił rzesz uciemnionych, jak walczył o własność siedzib. W r. 1908 zwalczał w Dumie demagogiczne zakusy deklamatorów, miotających paradoksy, obalał je mocą i logiką swego lotnego umysłu. Mówił o wzrastającym rozkładzie Rosji, o zawiąskaniach europejskich i o zbliżającej się chwili wyzwolenia. Słuchając go, Hanna nie dziwiła się jego oratorskim triumfom na terenie Dumy. Przypominała sobie pamiętne posiedzenie, którego była

świadkiem. Roman, stojąc na trybunie, wydawał się być sternikiem idealnego okrętu „Polska“. Spoglądał zgóry na wrogie rzesze głów słuchaczy. Sam był przeciw wszystkim. Smukła jego postać, jak ze stali hartownej, prężyla się, stalowe oczy sypały iskry. Był w tej chwili spadkobiercą Rejtanów i Korsaków, wszystkich, którzy się nie zgodzili na zbrodnie rozbiorów.

„Jakże go wtedy już kochałam — myślała Hanna — jakże go kochałam“. Unieśli się nad ziemię na skrzydłach ideału, jak niegdyś kiedy byli młodzi. Z podwójnego pasma marzeń związanych snuli tworzywo przyszłego życia. Chcieli wyzbyć się zrośniętej z naturą ludzką szaty samolubstwa, własnego „ja“, tak znienawidzonego przez Pascala, a wdziać świetlaną szatę altruizmu — godną istot wyzwolonych. Miłość barwami nadziei malowała wszystko, czego dotyczyli w locie, i duszę Hanny nurtowało pragnienie niewyrażone słowami: „Zasłużyć, zasłużyć na szczęście“. Wieczór spędzili z Małą ciotką. Uprosil ją, żeby po kolacji została z nimi. Ich dusze, przesycone silnymi wrażeniami, bezwiednie chronić się pragnęły od dalszych potęgujących się wzruszeń. I przedziwnie przeszedł wieczór. Mała ciotka siadła na niskim krześku przy kominku, w półmroku. Robiła wrażenie małej wróżki leśnej z bajki Andersena. Istne też bajki opowiadała o młodości swojej i o starszej swojej siostrze.

Tak minął drugi dzień szczęścia Hanny.

„I am I“

Trzeciego dnia pobytu Hanny w Słuszkowszczyźnie na pogodnym niebie marzeń zjawily się chmury. Prawda życia ściągnęła zakochanych z wyżyny marzeń na padół rzeczywistości. Zdawało im się wczoraj, że ujarzmili własne „ja“, leżące na dnie ich duszy, a dziś to „ja“ podnosiło głos, dopominało się prawa bytu. Hanna obawiała się, że po ślubie nie będzie mogła oddawać się swoim umiłowanym pracom, tak gorliwie, jak dotychczas, obawiała się, że klimat Petersburga nie będzie służył Anielce. Smuciła się też, że będzie musiała osierocić kółko swoich przyjaciół.

— Przyjaźń — rzekł jej na to Roman — to piękne uczucie, ale jednocześnie zbytek, na który sobie pozwolić nigdy nie mogłem!

Bezwzględny Roman, nawykłego odrzucać sprawy osobiste na drugi plan, niecierpliwiły obawy wysuwane przez Hannę. Chciał wpleść jej wolę do swojej woli i prowadzić nowe życie wspólne, tak samo despotycznie, jak poprzednie. Bożyszcze Hanny zaczęło się odgraniczać od niej, nieco twardszym, chmurniejszym wyrazem twarzy. Chcąc ratować skarb, który posiadała zaledwie onegdaj, jąta zwalczać wypowiadane i niedopowiedziane wątpliwości Romana. I znów miłość nadała wymowie jej siłę i barwę. Wracła do górniejszych celów, w których wczoraj złączeni byli w radosnym pędzie. Ale na przebyte drogi nie wraca się nigdy. — Jakże słabi byliśmy dawniej,

tylko słowo „Ja“ było sternikiem naszego życia. Ale teraz słowo „My“ zamieszka na zawsze w sercach naszych i na ustach. Cóż za przedziwną słodycz, co za niezłomną moc mieści w sobie małe słówko „My“. A Roman myślał: „Czy dwie wole są silniejsze od jednej woli“? Na dnie jego duszy — bezwiednie odzywał się dawno mu znany — głód samotności. Choć miał przy boku piękną, rozmiłowaną w nim Hannę, tęsknił za wolnością samotnika. Wieczorem powiedział tonem stanowczym, że obowiązek ma pierwszeństwo bezwzględnie przed szczęściem i że nazajutrz musi wyjechać do Petersburga. Tak minął trzeci dzień szczęścia Hanny, szczęścia, nad którym zawisła chmura.

Po wyjeździe Romana Mała ciotka zatrzymała Hannę u siebie jeszcze parę dni. Chciała jej pokazać wszystkie skarby i pamiątki, nagromadzone przez szereg pokoleń w zamku Słuszkowskim. Zamek ten był istnem muzeum ze skarbcem podziemnym, ze srebrem starodawnem, z szafami gdańskimi, napelnionemi korecką i saską porcelaną. Mała ciotka z radością roztaczała pieczę nad dobrem kochanego „dziecka“. Lekko i szybko wyprzedzała Hannę, oprowadzając ją po komnatach. „Wszystko to ozdobi weselną ucztę waszą“ — mówiła. „Wszystko będzie tak, jak w dzień zaślubin twej babki“. Cieszyła się ciotka, że Hanuś weźmie te piękne zbiory rodzinne, tem bardziej, że Roman był dla nich dosyć obojętny, jak dla wszystkiego, co nie było polityką. Hannę jednak bardziej od wszystkich tych skarbów cieszyły wielkie obszary leśne, przypominające jej utracony Wandali-

nów. Miała we krwi przywiązanie do tej ziemi. Po obiedzie towarzyszyła ciotce w przejażdżce powozem. Gromady dzieci i wiejskiej młodzieży zatrzymywały często panie. Śmiało, natarczywie jak wróble, nawykłe jeść z ręki, dzieciaki obsiadały powóz, wskakiwały na jego stopnie, ścisnęły ciotkę, która pozwalała, aby świeże usteczka dziecinne sięgały do jej bladoróżowych lic. Dziewczęta również, acz nieco zawstydzone, zbliżały się do powozu i szeptały do ucha dobrej pani jakieś sekrety. Pewnego razu, wracając z takiej przejażdżki o zmroku, Hanna otworzyła przed ciotką serce. Wyznała jej swoje obawy, pytała ciotki, czy zauważyła zamyślenie Romana w wieczór przed wyjazdem i twardy jego wyraz.

— Tak, dziecinko, widziałam. Cóż chcesz? Nie ma słońca bez cienia.

— Boję się, ciociu, chwilami, że Roman mnie nie kocha, że lęka się niewoli małżeńskiej. Przez trzy dni tu spędzone czułam się szczęśliwa, teraz jednak drzę o moje szczęście...

— Roman jest nierówny i musisz się z tem liczyć. Ale jestem pewna, że ciebie kocha. Kiedy wrócimy do domu, pokażę ci rzecz, która cię na pewno uspokoi.

Zaprowadziła ją do małego gabinetu przy pracowni Romana. Przed kanapą wisiał tam obrazek, przedstawiający „Wniebowzięcie Hanusi“. Z zadziwieniem i radością przypomniała sobie Hanna dziecinną przygodę, na obrazku tym przedstawioną. Miała wtedy lat osiem. Lubiła bardzo stary wandalinowski wiatrak i marzyła o przejażdżce na jego skrzydle. Pew-

nego razu podeszła z Romanem do wiatraka i uczepiła się śmigi w chwili, gdy właśnie zaczynała się kręcić. Ku wielkiemu swemu przerażeniu pojechała w górę. Na szczęście wiatr był słaby i skrzydło nie zrobiło pełnego obrotu. Roman przystawił drabinę i zniósł Haneczkę na dół. Tych wakacyj bawił u rodziców Haneczki pewien malarz z Warszawy, który uwiecznił tę scenę. W jaki sposób obrazek znalazł się w posiadaniu Romana — było to dla Hanny niewytłumaczoną zagadką.

— Widzisz, kochanie — rzekła ciotka — że Roman kocha swoją Hanus wiernie od lat wielu. Już się nie boisz, dziecko, prawda?

— — — — —

Hanna ociągała się z powrotem do domu. Żeby ograniczyć plotki, postanowiła zawiadomić o swoich zaręczynach przyjaciół listownie. Najtrudniej przyszło jej zawiadomić o tem Stanisława, a także Anielkę, ponieważ czuła, że ci najbardziej jej małżeństwem będą pokrzywdzeni. Najobszerniej wywnętrzyła się przed Cecylją, do Niemirowskiego zaś napisała:

„Przyjacielu miły i Frate predicante. Kazania pańskie nie poszły w las. Jestem zaręczona. Zgaduje pan z kim. Chcę panu opisać, jak to się stało, ponieważ uważam, że ponosi pan za to poczęści odpowiedzialność, dzięki moralom matrymonjalnym, których mi pan nie szczędził przez tyle lat. Stało się to zupełnie niespodziewanie dla mnie samej. Pojechałam na parę dni do Wan-

dalinowa, pragnąc odwiedzić rodzinne strony. Zabłądziłam w lesie. Zapadła noc. Byłam zziębnięta, przemokła, znużona. Znalazłam się nad jakimś rowem nie do przebycia. Wpadłam w rozpacz. Przyszły mi do głowy pańskie słowa, że kobiecie trudno się jest obejść w życiu bez męskiej pomocy. I nagle, jak z pod ziemi, zjawił się przede mną Roman i, uniósłszy mnie na rękach, przeniósł na drugą stronę — na teren Słuszkowszczyzny. Spędziłam szereg dni w jego domu z przedziwnie młodą Małą ciotką, która, mówiąc nawiasem, przechowuje najmiłsze wspomnienia o „młodym“ Niemirowskim. Pod jej auspicjami w rozkwitłym sadzie wiśniowym zamieniliśmy obietnice narzeczeńskie. Cudne były te dni, spędzone w lesie, gdzie byliśmy sami, sami. Tylko zwierzęta leśne ufnie się nam przyglądały i tylko kwiaty się nam wdzięczyły. Nie będę panu opisywać obszerniej mojego szczęścia, bo pono szczęście można urzec. Ślub nasz odbędzie się we wrześniu w wandalinowskiej kapliczce leśnej. Liczę na obecność kochanego pana“.

Hanna.

W odpowiedzi Niemirowski nadesłał telegram:

„Radośnie pójdę w orszaku szczęścia ślicznej mojej pani“.

— — — — —

Guarda e passa

Dante.

Zaledwie Hanna wróciła do domu, zaczęli się zjeżdżać goście. Najprzód najbliżsi: Niemirowski, Mia i Ginter. Nazajutrz przyjechał książę i grono dalszych znajomych „życzliwych-ciekawych“... Bez tych ostatnich Hanna byłaby się chętnie obeszła, ale gościnność zmuszała ją do uprzejmego wyrazu twarzy.

Niemirowski miał minę rozpromienioną. Siedząc w grabowej altance z Mią, księciem i Ginterem, dawał wyraz swojej radości ze szczęśliwego zdarzenia. Mówił im o liście, który otrzymał od Hanny.

— Nie macie pojęcia, jak się Hanna zmieniła. Zupełnie inny styl, niż dawniej. Chętniebym wam go przeczytał, ale mi nie wolno.

Z właściwem sobie roztrzepaniem zaczął relację, barwną, nieco nawet ukoloryzowaną, historii zaręczyn Hanny. Nie zwracał uwagi, że ze ścieżki za altanką słuchały go uszy niepowołane. Leśna bajka poszła w świat.

— Przyznacie — rzekła Mia — że Hanna zrobiła dobry wybór. Roman jest szlachetny i mądry. Nieprawdaż?

— Miejscami — odparł książę. — Jak każdy specjalista. Mądry polityk, ale w sprawach serca nie ma wprawy. Kto wie — ciągnął dalej, nawpół żartobliwie, nawpół melancholijnie — czy taki człowiek, jak ja, który depczę własną pychę *au retour de chaque*

saison — nie byłby odpowiedniejszym towarzyszem życia dla Hanny. Ale niestety — rozstrzygnęła już o swoim losie — i o moim.

— A co myśli o wielkim człowieku p. Ginter?

— To samo, co książę, że to specjalista. Nie lubię ludzi, którzy lekceważą muzykę i własne zdolności. Nie mogę darować Stoltzburgowi, że zaprzepaścił swój wspaniały tenor, godny Carusa.

Rzekłszy to, Ginter z księciem odeszli, ku schodzącej właśnie z tarasu pani Hannie.

— Jaka piękna i młoda nasza Hanna — rzekł Niemirowski do Mii. Taką ją pragnąłem widzieć przez lata całe. Mio, Mio, radzę ci krzewić w sobie uczucia odmładzające, radzę ci się zakochać, a staniesz się taka jak Hanna. Pomyśl, co to za radość mieć własne gniazdo. Pomyśl, jak słodko słyszeć szczebiot własnych dzieci.

— Ja już dawno mam dzieci, odrzekła Mia. Mam ich dużo, dużo. Czy pan może zrozumieć moje szczęście, gdy z różowych buziaków wyzierają ku mnie brunatne orzeszki i błękitne niezapominajki ocząt, ufnie, ciekawie? Czy może pan zrozumieć moje szczęście, gdy uczę ich miłości do Boga, do ludzi, do pięknego świata. Skąd pan wie? Może jestem szczęśliwsza od Hanny?

Tymczasem w koralowym saloniku siedziały dwie leciwe damy, komentując okruchy rozmowy, usłyszaną niedawno w ogrodzie.

— Słyszała pani co mówił Niemirowski o zaręczynach Hanny?

— Piąte przez dziesiąte. Nie zwracałam uwagi.

— Z relacji jego wynika, że Hanna urządziła istne łowy na Stoltzburga. Upolowała go w lesie, w Słuszkowszczyźnie, gdzie mu się kazała obnosić na rękach. Ktoby się tego po niej spodziewał.

— Dla mnie obojętność i nieprzystępność Hanny zawsze wydawała się podejrzana. Wiedziałam, że prędzej czy później ulegnie zwykłemu losowi. Ha, no cóż! Nawet królowe na pewnym zakręcie drogi życia chcą być kobietami tylko.

— Tak, ale Hanna namysliła się trochę późno.

— I robotnicy ostatniej godziny dopuszczeni są do winnicy, jak wiadomo.

— Czyż to właściwa żona dla Stoltzburga? Dla takiego ascety? Przecież Hanna nie może się obejść bez zwracania głowy mężczyznom. Roman na pewno będzie z nią nieszczęśliwy.

Przypadkiem rozmowę tę usłyszała Hanna, przechodząca właśnie przez sąsiedni pokój. Mniej ją ubodła treść słów niepochlebnych, jak sam fakt, że piękna jej miłość jest wzięta na języki.

— Miał rację Roman — pomyślała. — Nadmiar stosunków, to zbytek, na który nie można sobie pozwolić. Jakże ci ludzie mnie męczą, jakże mnie męczą. Jakżebym chciała być z nim, tylko z nim.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„Tak pszenne ziarno niesie plon
ku słońcu przez swój własny zgon”.
„Psałterz protestantów cieszyńskich”.

Minęła wiosna i lato zbiegło tak prędko, że Hanna pochłonięta swem szczęściem, ani spostrzegła jak dojrzały zboża. Nie przyjmowała nikogo. Była wyłącznie z Anielką i malarzem, udzielając się zresztą nawet im niewiele, bo często uciekała na długie spacery po lesie. Spędzała też całe godziny w swoim grabowym Belwederze, patrząc w stronę Litwy. W dniu rozpoczęcia żniw, który zgodnie z obyczajem przodków wypadł w sobotę, stała Hanna na wzgórzu, obejmując wzrokiem swoje złote dziedzictwo. Główna część pól ornych znajdowała się nad rzeką, po stronie litewskiej. Zboża stały tam jeszcze jak mur, złoty mur, rozgrzany upałem. Starodawne, a zawsze nowe uczucie przynosiła Hannie ta chwila roku. Święto żniw, na które co roku przyjeżdżali z Wandalinowa do Żywych Wód jej rodzice. Nie mogła patrzeć bez wzruszenia na łąny zbóż karmicieli, na przyszły chleb,

dający życie, a więc uczestniczący w pierwiastkach wiecznych.

Na łąny ruszyły żniwiarki. Podobne były zdala do wielkich owadów czerwonych, wymachujących dziwnymi kończynami. I oto leżał pierwszy łąn i rozsypały się po nim w barwnych spódnicach młode i zwinne kobiety, jak jaskrawe kwiaty. Dzieci małe, pączki tych dużych kwiatów, czepiały się spódnic matczynych. Za nimi z tyłu wlokły się powoli stare baby, zbierające pokłosie. Powtarzały odwieczne ruchy przypowieści biblijnej, które przyniosły Ruth miłość Booza. Władczyni Żywych Wód zstąpiła ze wzgórza i, przeszedłszy przez rzekę, poszła miedzami ku pracującym. Zbliżyła się do grusz polnych, pod których cieniem przywiązane były do drągów białe płótna. Tu matki chroniły od skwaru swoje niemowlęta. Teraz zbliżyły się do Hanny i podawały jej dzieci gestem, pełnym ufności. Niewinne stworzonka spozierały na nią pogodnie, próbując gaworzyć: mama, ma-ma. Usteczka składały się w pierwszą próbę uśmiechu. Hannie zakręciły się w oczach łzy. Na dnie jej jestestwa poruszyły się śpiące, nieużyte, zasoby czułości, obudził się instynkt opieki. Usłyszała w głębi duszy nakaz: „poznaj pełnię życia przez macierzyństwo“. Ziemia rodzinna nakazywała, aby za jej przykładem i ona, Hanna, wydała plon. Zadrgały w niej głębokie korzenie rodu. Babki jej nakazywały, by ujęła w dłoń ogniwo wiecznego łańcucha pokoleń. Ogniwa, przekazanego jej przez przeszłość, nie złączyła dotychczas z przyszłością. Myśli tłumne przyspieszy-

ły tętno serca Hanny. „Chcę stać się czemś więcej, niż jestem; chcę trwać w swoim pokoleniu“. I ktoby spojrzał na nią w tej chwili, wyczytałby na jej twarzy coś z boskich pierwiastków życia. Nagle ukazał się wdali Roman. Jego mała głowa, jego wysmukłe, doskonałe kształty, jego chód lotny, przypominały greckiego atletę. Ujrawszy go, Hanna zarumieniła się i opuściła głowę.

O zachodzie słońca Roman i Hanna wracali z pola ku dworowi. Szli starą, pachnącą aleją lipową. Trzymali się za ręce, jak dwoje dzieci, napawając się ciszą wieczorną. Noc nadchodziła. Nagle zbudził ich z zadumy daleki śpiew, najprzód niewyraźny, potem coraz wyraźniejszy. Zawodził rytm monotony, powtarzający się, archaiczny, prosty. Nić melodii macierzystej dźwięczała w każdej strofie, powracając ciągle i wyróżniając się od warjantów. Hanna, słuchając tej pieśni, przypominała sobie szereg minionych lat, szereg podobnych obrzędów, których była świadkiem jeszcze za życia swoich rodziców. Hanna miłowała tradycję, odziedziczoną po przodkach, pierwszy dzień żniw był w Żywych Wodach obchodzony zawsze bardzo solennie. Od piętnastu lat gospodarzyła samodzielnie na tej ziemi, od piętnastu lat w dniu rozpoczęcia żniw, po zżęciu pierwszego łąnu, przynoszono jej wieńiec, wieniec zbożowy. Usłyszawszy śpiew, narzeczeni przyspieszyli kroku. Ujrzeni procesję żniwiarzy przed gankiem pałacu. Na czele pochodu postępowały przodownice, niosąc złociste wieńce.

PIEŚŃ.

Każ otworzyć, Pani nasza, modrzewiowe wrota.
 Niosą tobie żenicy wieniec ze szczerzego złota.
 Słońce pali, słońce pali, dojrzewa pszenica.
 Jasna Pani, dobra Pani, krasna młodyca!
 Oj! czas tobie, pełne żytko, czas wam, pszenne ziarna
 Dać się sypać pod kamienie, na żarna, na żarna.
 Oj! czas tobie, serce żrzałe, żarem swym płomienne,
 Być jak one, sypiące się z kłosów, ziarna pszenne.
 Śpiesz się, śpiesz się! woła serce, nie bądź głucha, głucha!
 Na te głosy, krasna Pani, nakłoń wreszcie ucha.
 Wstydać - że się spać spokojnie, krasna nasza Pani,
 Gdy w noc ciemną głos zdaleka tak cię mami... mami...
 Nasza Pani nie chce słuchać tej dalekiej wieści.
 Bo na co jej własne działki, kiedy nasze pieści.
 Bo na co jej swoje działki i rodzina własna,
 Gdy jak swoich nas hołubi nasza Pani jasna!
 Lecz, Panienko nasza — nasza — z nami zostać rada,
 Nie uciekniesz ty od doli, co się skrada — skrada! —
 Idzie, idzie wróg - zaborca, niesie złote sieci,
 Płonie serce, płonie — płonie i w sieć leci — leci...

Pieśń miała mnóstwo innych warjantów, zawierających rubaszne aluzje do bliskiego małżeństwa dziewczyczki. Aluzje te raziły Romana i przyprawiły go o zły humor. Puścił dłoń Hanny i twarz jego przybrała zwykły wyraz oziębłości. Gromada żeniców rozstała się, tworząc narzeczonym szpaler do stopni ganku. W gromadzie tej, oprócz służby dworskiej, byli także oficjaliści, a nawet gospodarze wiejscy, którzy chcieli przy tej okazji zawrzeć bliższą znajomość z przyszłym dziedzicem. Bardzo różne uczucia mało-

wały się na ich twarzach. Na jednych szacunek i szczerza życzliwość, na innych ciekawość, rubaszność, pocziwość i chytrłość. Byli tacy, którzy przyglądali się zgola niechętnie przybyszowi z dalekich stron.

Hanna odebrała wieniec z rąk przodownic. Złote ziarno sypnęło się na nią rzęsiście. Wszczęła uprzejmą rozmowę z gospodarzami. Patryarchowie ze wsi okolicznych przypuszczali szturm do duszy Hanny, wiedząc, że można ją ująć tradycją, wspomnieniami lat dziecinnych, wspominaniem jej rodziców.

— Pani nasza i dobrodziejko. Nie zapominaj ty o nas. Zaglądaj do naszych stron, w których siałaś nam światło. W Tobie nadzieję przyszłą pokładaliśmy. Wracaj nam. Uraduj nam serca obietnicą, że wrócisz. Daj nam tę obietnicę. Weselsi wrócimy do domów.

Hanna odpowiedziała z nieśmiałością dziewczynki, zależnej od starszych, że to nie od niej będzie zależało. Spojrzała na Romana, pytająco, prosząco, prawie pokornie.

Roman odrzekł chłodno.

— Zobaczmy, nie możemy przyrzekać tego, czego nie jesteśmy pewni, czy dotrzemy.

Sucha ta odpowiedź sprawiła Hannie przykrość.

— — — — —

Minęła połowa sierpnia. Już tylko miesiąc od dzielał Hannę od ślubu. Ponieważ Roman przyjeżdżał bardzo rzadko i zawsze tylko na parę godzin, Hanna twierdziła, że dzieli ją od szczęścia trzydzieści długich, dwudziestoczworgodzinnych nocy. Tęsknota jej i niepokój wzbierały coraz bardziej. Nie mogąc sobie

dać rady z rozstrojonemi nerwami, sprowadziła Cecylię, prosząc ją, aby pozostała w Żywych Wodach, aż do ślubu. W miarę jak szczęśliwa data się zbliżała, ukochany wydawał się jej coraz bardziej daleki. Jakież były tego przyczyny? Czy pragnął zapłacić za szczęście zdwojoną pracą? Jakże odległe były te dnie, kiedy Roman, przyjeżdżając do niej niespodziewanie, okazywał jej czułość. Teraz podczas każdej ze swoich krótkich wizyt był zamyślony i chmurny. Jaka była tego przyczyna?

Rozmyślając nad tem pewnego wieczoru, skierowała się Hanna na kraniec ogrodu do ulubionej swojej grabowej alei. Spoglądała teraz na biały pałac, na park zaludniony posągami, na lustra stawów, na całe swe dziedzictwo, w które tyle włożyła starań, trudów, miłości. W stawach odbijał się bezkres nieba, na którym chmury kłębiły się szybko, jak stado baranków, pędzonych wedle woli pasterza - wiatru. Były one dla niej symbolicznym obrazem czasu, nie ustającego w swej ucieczce. Strumienie i kanały również zdawały się szeptać: „Idźmy dalej. Życie płynie, ucieka“. Dziś, patrząc na całe to piękno ozdobione zorzą zachodu, Hanna doznawała uczucia oziębłości. Oczy jej obróciły się dobrowolnie ku innym widnokręgom. Oparła się o balustradę tarasu i spojrzała ku Litwie. Letuwał Tam od pokoleń gorzały wielkie uczucia, postacie niemal legendarne. Tam żyły wielkie serca, nie ugaszone przez wiek. Tam żyła „Kniagini“. Tam żyje dotychczas ciotka. Tam twardzi się rodzą rycerze o czyстых sercach, asceci zbrojni w wolę niezłomną, tam

zrodził się i żyje jej bohater. Tam byli jej święci. Tam była jej ojczyzna.

Cienie wieczoru legły na ziemię. Zmrok zaczął otulać pola. Nad balustradą Belwederu biała się postać Hanny, a lud, powracający z pracy do chat, witał ją jasnie panią pokłonami. Dziś nie odpowiadała Hanna na te pozdrowienia. Pograżona w myślach, nie spostrzegała przechodniów. Świat zapadał w coraz to głębszą ciszę. Wtem zabrzmiał dzwon kościelny. Hanna słuchała. Ileż razy w ciągu długich lat wtórowało jej serce na tem samem miejscu sercom dzwonów. W tej solennej godzinie Hanna odczuwała zawsze ścisłą swą łączność z wsią rodzinną. Dusza jej wznosiła się, serce rozszerzało w rytm bicia dzwonów i obejmowało troski i nadzieje Litwy i Polski całej. Dzwon zamilkł na chwilę, a później spadł z niebios dźwięk oderwany i rozplynął się w ciszy. Po chwili znowu zabrzmiał i znowu zamilkł. Z dalekiej przeszłości dźwięk ten niósł lament matki, oplakującej śmierć synów, budził w duszach pamięć Warny. Dźwięk ten zawsze wzruszał Hannę, przemawiał do jej duszy, należał do dnia pracy. Kończył go, jak modlitwa wieczorna. Dziś śpiew dzwonów niepokoił rozmyślanie Hanny. Pierwszy raz w życiu pragnęła, by dźwięki umilkły.

— To wszystko przebrzmiała przeszłość — pomyślała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tum vero infelix falis
ex territa Dido mortem orat Eneida IV.
Vergili.

Rozpoczął się wrzesień. Był wyjątkowo upalny. Dla Hanny był to miesiąc błogosławiony: miał ziścić tyloletnie marzenia o szczęściu. A jednak niepokój i smutne przeczucia nie opuszczały Hanny. Roman trzy razy już odkładał zapowiedziane przybycie. Na codzienne niemal depesze Hanny nadeszła wreszcie radosna odpowiedź: „Jutro będę w Żywych Wodach”. Hanna po bezsennej nocy błędziła po parku w chorośliwym prawie stanie oczekiwania. Wewnętrznemu jej niepokojowi odpowiadał niepokój w całej przyrodzie. Posucha, panująca od dwu tygodni, dała się we znaki całej okolicy. Liście na drzewach, trawy i zioła przedwcześnie więdły. Na niebie nie było ani jednej chmury. Park w Żywych Wodach pragnął deszczu, jak pustynne przestworze. Każda trawka, każdy kwiat, każdy liść cierpiał z pragnienia.

Kilkakrotnie już Hanna zachodziła do swego obserwatorium, wpatrując się stamtąd we wstęgę

drogi, wiodącą ku stacji kolejowej. Kilkakrotnie zawiedziona, wracała do domu. Wreszcie zjawiał się Roman. Miał wyraz twarzy wyjątkowo twardy, nieugięty. Na samym wstępie jął robić Hannie wymówki z powodu licznych jej telegramów. Zwróciła ku niemu smutne oczy, błagając o przebaczenie. Oczy te pełne były łez. Roman nieprześlągany wyrzucał jej szorstko brak panowania nad sobą.

— Zdawało mi się Hanno, żeśmy w Słuszkow-szczyźnie doszli do porozumienia. Szczęście osobiste musimy podporządkować naszym obowiązkom. Bardzo mi przykro, że o tem zapominasz. Widzę, że miłość nasza nie jest mocą, lecz słabością, a mnie miłość nie może w życiu przeszkadzać.

Stał przed Hanną, patrząc na nią zgóry, wzrokiem władczym.

Po jej twarzy spływały ciężkie łzy. Płakała po raz pierwszy może od lat dzieciennych. Lecz nie wytrwała długo w pokornym milczeniu. Zrodził się w niej bunt. Wstała z ławki. Spojrzała na niego z dumą królowej:

— Jeszcze jest czas Romanie, namyśl się. Nie mam zamiaru obciążać twoich wzlotów. Wierzyłam, że razem będziemy mocniejsi. Lecz jeśli co do tego żywisz wątpliwości — radzę Ci się dobrze zastanowić.

Odeszła, nie obdarzywszy go spojrzeniem. Schroniła się do swego Belwederu. I znów wlepiła oczy w drogę u stóp tarasu. Nasłuchiwała turkotu. Od południa wiał gorący wiatr. Cała przyroda zdawała się cierpieć męki od żaru, spływającego z nieba. Ucho

Hanny usłyszało wreszcie tętent koni. Gościńcem ry-saki szybkie unosiły Romana ku Litwie. Raptem spadł z góry ku odjeżdżającemu krzyk Hanny. Dzi-ki krzyk, podobny do ostatniej skargi rannego zwierza. Krzyk sroższy niż lament matki, której przemocą od-bierają jedyne dziecko. Ludziom pracującym podów-czas na polu, długo pozostał w pamięci ten krzyk rozdzierający. Roman przejechał — czy go słyszał? Nieszczęśliwa branka miłości, widząc oddalające się szczęście, gestem rozpacz-y wyciągnęła ku odjeżdżają-cemu ręce. Na zakręcie drogi Roman skierował oczy w jej stronę, lecz pojechał dalej.

Hanna błędnym wzrokiem rozejrzała się naokół. Przed nią leżały spalone słońcem trawy i stały drze-wa spragnione. Wiatr rozpoczął srogie swoje dzieło. Cały krajobraz, leżący u jej stóp, przeżywał straszną mękę. Wicher spadł z nieba jak szalony, podniósł tu-man kurzu, zasypujący oczy, wstrząsał konarami drzew, które w niemocy chyliły się ku ziemi. Słabsze gałęzie łamał niemiłosiernie. Liście, oderwane od macierzy-stego pnia, kłębiły się w powietrzu, powiększając wzrastające ciemności. Gniew i konwulsje nieba w du-szach najodważniejszych budziły lęk. Ludzie z pól i bydło z pastwisk uciekało w popłochu.

— Czy słyszał? Czy widział? — powtarzała Hanna, nie czując, że niebo otworzyło swoje upusty, że cięż-kie krople deszczu i grad poczęły padać, że grzmoty coraz częstsze wstrząsały ziemią.

— Czy widział? Czy słyszał? — powtarzało serce Hanny.

Bliska oblędu zbiegła ścieżką, prowadzącą wdół, otworzyła furtkę i jęła biec drogą, wiodącą na dwo-rzec kolejowy.

Niebieskie grzmoty potrzasały coraz potężniej ziemią. Pioruny gęsto padały w koło niej. A Hanna biegła coraz szybciej, nie czując nic, krom cierpienia. Na zakręcie drogi runęła jak długa na ziemię.

CZĘŚĆ TRZECIA

CECYLJA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bóg się rodzi,
Moc truchleje...

Przez długie dni Hanna leżała w łóżku nieprzytomna. Cecylja nie odstępowała jej ani na krok. Sprowadziła d-ra Wielńskiego, który przybył niezwłocznie. Chwilami chora przypominała sobie epizody krótkiego narzeczeństwa: przejażdżkę po lesie, poskromienie rozhukanych koni przez Romana, jego okrzyk namiętny: „uciekłaś ode mnie, Hanno“. Powtarzała słowa jego listu, w którym się jej oświadczył. Przeżywała na nowo w wyobraźni sceny pobytu w Stuszkowszczyźnie, a także scenę zerwania.

— On mnie kochał, kochał — powtarzała z wariackim uporem.

Wydawała żalosne jęki, skarżyła się, krzyczała. Wymawiała sobie, że zarem własnym nie rozgrzała zimnego Romana. A po przerwie wybuchała spazmatycznym płaczem, wołając: „Czy mnie widział na zakręcie drogi? Czy mnie słyszał?“ Krzyk jej, mimo zamkniętych szczelnie drzwi, rozlegał się po całym domu.

Wielński, lękając się o zdrowie Cecylji, wyczerpanej bezsennem czuwaniem, prosił Stanisława, aby ją zastąpił przy łożu Hanny. Okrutną męką było dla malarza słuchanie okrzyków chorej, wyznających namiętną miłość dla innego. Chwilami chora przypominała malarzowi słynną rzeźbę z muzeum Termów „Furia dormiente“. Ten ciężki stan trwał przeszło tydzień. Wreszcie dziiesiątego dnia choroby Hanna odzyskała przytomność. Posłuszna, jak dziecko, pozwoliła się ubrać. Wyniesiono ją na taras. Odpowiadała na pytania głosem monotonym, złamanym. Odtąd codziennie przechadzała się po parku, oparta na ramieniu lekarza lub Stanisława. Nie zwracała uwagi na ulubione kwiaty, ani na przepych jesiennych kolorów. Podczas tych przechadzek omijała zdaleka grabowy Belweder. Nie bywała również na mszy w niedzielę w kościele. Ludność, przyzwyczajona od lat wielu do wspólnej z grafinią modlitwy, ze zdziwieniem spoglądała na pustą łożę pałacową.

— „Musi dziedziczka jest ciężko chora, skoro nie przychodzi do kościoła“.

Dnie robiły się coraz chłodniejsze. Liście zaczęły opadać. Do Żywych Wód od czasu do czasu wpadał ktoś z najbliższych przyjaciół. Ale rozmowy przy kominku nie kleiły się. Hanna, siedząc w swoim fotelu, odzywała się rzadko i lakonicznie odpowiadała na pytania. Często zostawała w swoim pokoju, a na prośby Cecylji, żeby poszła do salonu, odpowiadała: „Wolę być sama“. Oprócz najbliższych nie przyjmowała nikogo. O powodach tego odosobnienia krążyły w towarzystwie fantastyczne pogłoski. Wieść o chorobie

Hanny dotarła do Niemirowskiego. Zjawił się natychmiast. Mimo jednak najszczerzej woli, nie mógł wytrwać w smutnym domu. Czuł się w nim zupełnie zbyteczny.

Bardzo cierpiała nad stanem Hanny Anielka. Zbladła, zmizerniała. Zwykle obowiązkowa, bywała teraz stale przy nauce roztargniona. Lecz nikt nie miał serca za to się na nią gniewać. Parę razy, jak nikły cień, wsunęła się do pokoju ciotki, siedzącej w ciemności na fotelu. Próbowwała, jak dawniej, przytulić się do niej. Hanna przez długą chwilę nie spostrzegała nawet dziewczynki. Spostrzegłszy zaś wreszcie, mówiła: „Idź stąd, Anielko“. Dziecko cierpiące skarżyło się Cecylji, płacząc gorzko w jej ramionach i powtarzając: „Mama już mnie nie kocha! Nie pocałowała mnie ani razu od wyjazdu wujka“. Niewidoma pocieszała ją: „Nie bój się, Anielko. Mama cię kochać będzie, ale mamę teraz bardzo boli dusza. Chce być sama. Nie trzeba jej przeszkadzać“. Uspokojone temi słowy dziecko nie odstępowało niewidomej. Cierpiały razem, czekały, aż staną się znów potrzebne Hannie, aż ich do siebie zawezwie. Wielński przyjeżdżał często. Najmniej ze wszystkich drażnił Hannę ten człowiek, tak często pochylający się nad bólem cudzym.

— Czekajmy cierpliwie — mówił — zbyt długo nie potrwa ten obłąd. Czas go uleczy.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Białe święta. Śnieg zasał ziemię grubą warstwą puchu. Świat wyglądał radośnie i radość odświętna była w sercach mieszkańców wsi. Nie było jej jednak w pałacu. Ce-

cylja bez wiedzy pani Hanny urządziła zgodnie z obyczajem wigilię i drzewko dla dziatwy dworskiej, oraz dla hafciarek. Ale pani Hanna nie zasiadła przy wigilijnym stole. Dla niej ten biały dzień świąteczny był równie szary i powszedni, jak wszystkie inne. To też nie było przy tym stole radości, a twarze wszystkich wyglądały zgaszone. Stróż, który co roku przygrywał za oknami na ligawce, dostał rozkaz, aby nie przeszkadzał dziedzicze. Pani Hanna, zjadłszy wcześniej zwyczajną wieczerzę, zamknęła się w swoim pokoju. Marlarz, Cecylja i Anielka siedzieli we trójkę smutni w koralowym saloniku, czekając wyjazdu na pasterkę. Przed 12-tą zajechały po nich sanie. Kościół parafjalny, stojący na wzgórzu, gorzał światłem. Cieszył oczy podążających do świątyni. Łuna świetlna, bijąca z niego daleko, budziła uczucia świąteczne również i w duszach tych, którzy zmuszeni byli pozostać we wsi. Dzwony wesoło nawoływały wiernych. Niebawem świątynia napełniła się po brzegi. Wnętrze kościoła przestaniał opar ludzkich oddechów, w którym migały chybotałowe płomyki świec. Na jednym z ołtarzy stała stajenka z Boskiem Dzieciątkiem, z osłem, wołem, aniołami i pasterzami. Dzieci patrzyły na nią z zachwytem, który zaokrąglał ich oczęta. Wesoły ich szczebiot napełniał świątynię. Starsi z trudem starali się go uciszyć. Organy grały wesołe kolędy. Z głosem ludu łączyły się silny, dźwięczny głos Cecylji i czysty, kryształowy głosik Anielki. Mężczyźni basami i barytonami dopełniali harmonji. Potęga rytmu i tradycji porywała swojskich śpiewaków. Wesołe,

naiwne kolędy przebijały mury kościoła, podążały ku nieznanym strefom, zwiastując dobrą nowinę. Młode i stare głosy powtarzały żarliwie strofy starodawne:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu.

Naraz zapadła cisza. Lud długimi szeregami ruszył wolno ku ołtarzowi. Przystępujący do Stołu Pańskiego w kornych postawach, ze złożonemi na pierśiach rękoma, mieli twarze skupione, pełne namaszczenia. Twarze niektórych starców wydawały się przestoczone, oderwane od ziemi, zachwycone. Wracający ze schylonemi głowami zdawali się kryć w sobie zażdrośnie swój skarb.

Gdy Cecylja i Stanisław podążyli ku ołtarzowi, smutno było Anielce, że dotąd nie przygotowano jej do pierwszej Komunji i że nie może razem z niemi przystąpić do Stołu Pańskiego. Żarliwa jej duszyczka pragnęła gorąco połączenia z Jezusikiem. Wpatrywała się w maleńkie białe Hostje, które proboszcz rozdawał, powtarzając w duchu: Nie jestem godna przyjąć Ciebie, Jezusiku, ale Cię bardzo, bardzo kocham.

Po chwili ciszy zaczęto śpiewać kolędy na nowo. Przy dźwiękach „Bóg się rodzi, moc truchleje“, skończyła się pasterka, i ludzie zaczęli opuszczać kościół. Na nowo zabrzmiały dzwony. Po aksamitnych drogach zaczęły się snuć saneczki. W ciemnej nocy rozsypywały się po ścieżkach polnych i leśnych, bliższych i dalszych. Dzwoneczki upręży wesoło świer-

gotały. Pieśń triumfalna na ustach wszystkich obwieszczała wsiom Dobrą Nowinę: „Bóg się rodzi“. Echa pieśni oddalały się, brzmiały coraz słabiej. Wreszcie wszystko umilkło.

I znów minęło kilka tygodni. Nie przyniosły one Hannie polepszenia. Cecylja i Stanisław byli w rozpacz. Stan Hanny dziwił Wielińskiego. W długiej swojej praktyce nie spotkał się jeszcze z podobną apatią. Hanna spała, jadła, przechadzała się po parku, gdy ją do tego namówiła Cecylja, ale nie objawiała żadnego zainteresowania do życia. Uważano, że oczy jej ożywiają się tylko w chwili przybycia poczty, po czem gasną. Na wszystkie pytania Wielińskiego odpowiadała monotonnym głosem: „Nic mnie nie boli, nie cierpię“. Zwiększająca się wątpliwość organizmu Hanny skłoniła doktora do postanowienia energicznego. Oświadczył Cecylji, że należy chorą wywieźć na południe. Tylko zmiana otoczenia, przypominającego na każdym kroku przeszłość, mogła wpłynąć na polepszenie. Cecylja miała Hannie towarzyszyć. Anielkę postanowiono pozostawić w domu pod opieką Stanisława i zaufanej nauczycielki.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Rien ne m'est plus
Plus ne m'est rien“.

Valentine de Milan.

Cecylja jedzie z przyjaciółką znaną im drogą do Włoch. Zaostrzona pamięć niewidomych, która jest ich wzrokiem wewnętrznym, pomaga jej żywo odtwarzać w wyobraźni utracone raje. Kraina alpejska rozciąga przed pędzącym pociągiem panoramę czarów górskich. Przez most z arkad granitowych podziwiać można doliny, osypane jeszcze śniegiem, i lasy świerkowe. Na jednej ze stacyj, tuż zaraz przy torze, stoi kościółek wtulony w wąwóz, z grobami wieśniaków okolicznych, jak trzódka wiernych owiec tulących się do swego pasterza. Celowo, by obudzić Hannę z apatii, prosi Cecylja, by jej opisała widok z okna. Lecz otruta egoizmem cierpienia Hanna zbywa ją kilku ogólnikami. Dalej na placyku miłośnicy górskiej dzieci bawią się i szczebiocą jak ptaszyny, Hanna patrzy na to obojętnie, myśląc: „Mnie razi radość dzieci. Urodziły się, by cierpieć“.

Miękkość powietrza zaczyna zwiastować skłony południowe. Każda stacja zbliża ich do Włoch, „il fior del monde“. W skupieniu wita Cecylja ojczyznę Carla. Ze wzruszeniem wskrzesza w myśli wdziek wspomnień słodkich i gorzkich zarazem. Otwiera okno, wchłania zapachy i poddaje się łagodnym promieniom słońca, słońca, które świeci nad jego głową ukochaną. Tu była niegdyś młodość, miłość, skarby tak drogie, utracone, pozostałe daleko za nią. Młodość, miłość, wzrok, który maluje dla szczęśliwych piękno nieba. Dziś została tylko dojrzałość, noc, samotność, bo nawet drogą przyjaźń jej odebrano. Z trwogą spostrzega Cecylja, że skarbiec jej jest pusty.

Pociąg, biegnący z Genui na Rivierę Ponente, dąży wśród licznych skalnych korytarzy. Co chwila wpada na krótko w królestwo ciemności, to znów olśniewa oczy podróżnych nagłą wizją bajki słonecznej. Cicha stacyjka Pieve di Sori śni w południowym spoczynku. Pociąg wyrzuca tutaj lud roboczy, tak odmienny od proletariatu krajów północnych, bez troski, jak ptaki niebieskie, i jak one rozśpiewany. Wśród szarej fali tego ludu wzbudza żywsze zainteresowanie autochtonów grupka podróżnych, składająca się z dwu pań i ze służby. Vetturino zaręczył, że za małą godzinkę zawiezie Excellence do zamówionej dla nich telegraficznie Villi „Speranza“. Biała wstęga drogi, olśniewająca od słońca, czołga się wgórę spiralnie. Przed dziesięciu laty było to pustkowienie. Teraz dzięki nowej dróce wyrosło tu kilka osad ogrodni

czych i parę trattoryj. Drzwiami i oknami ulatniają się zapachy czosnku i kwaśnego wina, łączą się z wonią kwiatów, tworząc swoiste włoskie połączenie, nie spotykane w innych krajach. W ogrodach widnieją szklane tafle inspektów, w których odbija się blask słoneczny. W każdej niemal plantacji znajduje się sadzawka, będąca mieszkaniem żab. W miarę wznoszenia się drogi, siedziby ludzkie rzedną coraz bardziej, i podróżny wjeżdża w dziki krajobraz, mietknięty ręką ludzką, pośród którego tu i owdzie mija smutne gaje oliwne. Powietrze jest tu czystsze, niż w dolinie. Podróżnego gonia rzeźwe zapachy mięty, kory drzew, żywiczne wyziewy. Coraz to gęstszy się staje szary las oliwny i coraz wyżej wspina się droga, aż na sam szczyt. Dom wisi nad przepaścią, bodąc przestrzeń tarasem, jak ostrogą. Vetturino idzie pieszo, żeby ulżyć koniowi. Zwrócony ku podróżnym, obserwuje bacznie te dwie milczące damy. Nie znosi milczenia i radby je przełamać. Ma nadzieję, że frazesy życziwe i pochlebne przysporzą mu napiwka, ale nie jest tego pewien. Damy robią wrażenie istot wypuszczonych z zakładu dla głuchoniemych po nieudanej kuracji. Droga staje się coraz bardziej stroma. Ogród, należący do willi, otoczony jest z trzech stron murem kamiennym i żywopłotem ciernistym, który go oddziela od lasu i pastwisk, deptanych przez kozy. Poprzez gałęzie żywopłotu widać w dole morze błękitne, w jedną z niebem połączone całość. I coraz bardziej staje się oderwany od ziemi cel podróży: ten dom różany, mieszkanie powietrzne, strojne w ganki, z balustradą,

okalającą taras. Wietrzniej jest tu, niż w dole. Ciepły wiew południowy muska czoła pań i pochyła gałęzie drzew w stronę gór. Nie słychać wcale ptaków. Cisza panuje wszechwładnie. Woźnica, otrzymawszy hojną nagrodę, zawrócił ku dolinie, panie zaś udały się do swoich pokojów.

Wieczorem Cecylja wyszła sama na taras. Ze skupieniem, które oblekło jej twarz zadumą, wchłania zapachy włoskiej ziemi. Pozwoliła powrócić do siebie wspomnieniom. Słyszała na nowo w duszy słowa miłosne, które jej niegdyś szeptał Carlo. Oto powróciła do tego samego kraju, który pachniał tak samo, jak przed 20 laty. Nasłuchiwała szeptów życia. W głębokiej ciszy rozległy się nagle na kamienistej drodze, którą przybyły ze stacji, czyjeś kroki. Z początku lekkie, ledwie dosłyszalne, potem coraz głośniejsze. Wrażliwy słuch niewidomej rozeznał odrazu kroki młodzieńca. Były niedbałe, beztroskliwe, niemal dziecięce. Po chwili usłyszała pieśń. Najpierw lekką jak westchnienie, potem na każdym zakręcie drogi coraz głośniejszą. Śpiew to ciągnął się w nić melodji, to brzmiał, jak krótką, rzucaną ku niebu, inwokacją. Stawał się coraz gorętszy, coraz namiętniejszy. Rozlatywał się na wszystkie strony, zdawał obijać o niebo, napełniał milczące przestworze.

— *Amore re della vita, sole re del mondo!*

Śpiewak zaczął się oddalać, schodząc na drugą stronę wzgórza. Pieśń cichła. *Amore re della vita* — powtórzyła Cecylja. Uczyniło jej się smutno.

Dni w Pieve di Sori wlokły się smutno i leniwie. Willa, strojna w pnące róże, owiana zapachami heljotropów i mimozy, zdawała się uśmiechać do słońca. Lecz oczy obu jej mieszkanek nie widziały piękna otaczającego. Cecylja, nie widząc, odczuwała przynajmniej urok zapachów, wywołujący w niej wspomnienia melancholijne i tkliwe. Hanna nie widziała nic, zapatrzona tylko w swoją duszę, we własne cierpienie. Chociaż obie kobiety mieszkały razem, były zupełnie samotne. Zaledwie parę słów niezbędnych wymieniały w chwili posiłku. Później Hanna oddalała się do siebie. Dwie nierozłączne przyjaciółki, dwie siostry, stały się sobie zupełnie obce. „To przez Romana straciłam serce Hanny” — myślała Cecylja z gorzkością: „Straciłam je w owym pamiętnym dniu w Żywych Wodach, gdy z sobą zerwali. Od tej chwili Hanna jest obojętna na wszystko. Darować jej to muszę. Mam przecież miłość Carla, która jest dla mnie wszystkim. Gdybym miłość tę utraciła, kto wie, czybym się nie stała taka jak ona. Czyż bogatemu wolno jest sądzić nędzarzy?” Jedyną pociechą Cecylji było sąsiedztwo margrabiego Dario, który, dowiedziawszy się o jej przyjeździe, pośpieszył natychmiast z wizytą. Był to człowiek niemłody, który wiele przeszedł, wiele przecierpiał, dzisiaj zaś znalazł ukojenie w religji i muzyce. Chodzili razem na spacer i grali na organach w kościółku. *Santa Cecilia* — nazywał ją miejscowy lud, któremu świadczyła wiele dobrodziejstw.

Na stoku południowym góry, na której szczycie stała willa „Speranza“, rozsypane były rzadka domki i ogrody rybackie. Na stoku północnym mieszkała ludność uboższa, gnieźdząca się od niepamiętnych czasów we wszystkich dolinach, na dnie których szemrały wiosną strumyki, sycące się topniejącymi śniegami. W cieniu i niedostatku żyły te rodziny z pokolenia na pokolenie, trudniąc się połowem ryb. Mężczyźni całe noce spędzali na morzu. Kobiety rzadko kiedy opuszczały domki. Wcześniej traciły wdzięk młodości i wesołość, a około trzydziestki stawały się podobne do zwierząt użytecznych, wprzężonych w jarzmo. „Santa Cecylja“ odwiedzała je często i udzielała im pomocy. Wywiadywała się o niewidome lub kaleki i śpieszyła ku nim z pociechą i zasiłkiem. Uratowała w ten sposób niejedną ofiarę, zagrożoną utratą wzroku. Bardzo chętnie również otaczała się dziećmi. Każdego popołudnia gromadziła na placu przed kościołem rzesze hałaśliwych bambinów i godzinami opowiadała im dzieje Polski i Litwy. Mówiła im o bohaterskiej Wandzie, co nie chciała Niemca, o Jadwidze, która zaparła się własnego serca, by, poślubiwszy dzikiego księcia litewskiego, nawrócić Litwę na chrześcijaństwo, o walecznym królu Sobieskim, który pogromił Turków i ocalił Europę przed zalewem pogaństwa. Któregoś dnia mówiła o rozbiorach Polski. Mówiła z przejęciem. Dzieci skamieniały w skupieniu. Oczy ich poczęły lśnić, jak agaty i szafiry, po których płynie woda. Gromadka skupiła się przy nauczycielce, starsze dzieci całowały jej ręce, młod-

sze zaś tuliły się do jej kolan, zraszając łzami suknię. Dzieci głośno oburzały się na krzywdę narodu. Wołano, „*Povera Polonia, eroica, cara Polonia*“. Właśnie słońce schylało się ku zachodowi i z wieży kościelnej rozległy się dzwony na *Ave Maria*. Cecylja ukłękła. Dzieci poszły za jej przykładem. Młode niewinne głosy złączyły się z górnymi głosami dzwonów. Włoskie dzieci modliły się za daleką Polskę.

Pożegnawszy się z dziećmi, Cecylja ruszyła ku domowi. Gromadka rozproszyła się na wszystkie strony, podążając do zagród rodzicielskich. Długo słyszała za sobą niewidoma dziecinne głosy, powtarzające „*Povera Polonia*“.

Nie upłynął miesiąc od przyjazdu pań do Pieve, a już o pobycie ich tam dowiedział się Carlo. Natychmiast napisał list do swej „*eterna fidanzata*“.

„Kazałaś mi, o moja święta, trzymać się zdaleka od ciebie. Pragniesz, ażeby zwiędły uczucia, nieodnawiane widokiem twojej osoby. Łudziłaś się, że nieobecność rozwieje siłę marzeń. Zawiodłaś się. Kocham cię równie gorąco, jak dawniej. Pragnę, aby nareszcie miłość moja zwyciężyła twoje skrupuły i wątpliwości. Dziś żądam zapłaty za moje przywiązanie. W Casa Nadivari jest mi smutno, zimno. Matka od śmierci brata mojego zapomniiała się uśmiechać. Ona, taka pełna życia wesołości i dowcipu. Ta piękna, młoda jeszcze temu rok matka, starsza ode mnie zaledwie o lat szesnaście. Nie uwierzysz, Cecyljo, jak ciężko jest

znosić ból za siebie i za nią. Cierpimy w milczeniu, bo żadne z nas nie chce słowem nieopatrznem zwiększać cierpienia drugiego. Wczoraj, gdy wieczorem zostaliśmy sami, siadłem u kolan matki, jak dawniej, gdy byłem jeszcze małym Carlinem, i złożyłem głowę na jej kolanach. Długo w ciemności jej droga ręka pieściła moje włosy. Czułem, jak łzy spadały na moje czoło gorące. Cecyljo, czy jest dla syna ból sroższy, niż płacz matki? — Matko najlepsza — spytałem — co mógłbym uczynić, żeby cię pocieszyć, żeby uśmieszyć sprowadzić na twe wargi? I cicho, ledwie dosłyszalne padły słowa z ust dotychczas milczących: „Przywieź córkę do smutnego naszego ogniska“. To była pierwsza chwila szczęścia, jakiej zaznałem od śmierci biednego naszego Rogera. A więc, Cecyljo, bądź światłem i płomieniem tego ogniska. Bądź weselem naszego domu. Uwieńcz marzenia i cierpliwość twojego Carla. Kiedy mogę cię ujrzeć? Nie skazuj mnie na dłuższe cierpienie. Wiedz, że choćbyś mi zabroniła Cię widzieć — nie posłucham!“

Carlo.

Cecylja ociągała się z odpowiedzią. Nareszcie, zagnalona przez Carla, odpisała mu, że na przyjazd jego do Pieve di Sori zgodzić się nie może, ze względu na ciężki stan Hanny, którą musi się opiekować. List ten drogo ją kosztował. Musiała stoczyć ze sobą ciężką walkę, żeby wytrwać w powziętem postanowieniu. Wzruszała ją myśl, że matka Carla woli mieć

za synową ją, kalekę, mogąc pragnąć dla Carla żony z ich kraju, młodej i zdrowej. Nalegania Carla stawały się coraz gorętsze. Hrabina Nativari poparła prośbę syna. „Cecyljo, jedyna kobieto kochana i czczona przez Carla. Ty jedna możesz sprowadzić szczęście do naszego domu żałoby. Nie daj synowi memu cierpieć. Wezwij go do siebie, lub pozwól, bym ja cię odwiedziła, jeśli nie możesz opuścić chorej przyjaciółki“. Cecylja nie miała siły odpisać matce Carla. Przeżywała jednak godziny pokus. Serce jej toczyło walkę o swe prawa. Cierpienie Hanny zdawało się potwierdzać teorię, że trudno kobiecie obyć się bez miłości. Patrz — mówiło serce — brak miłości przeobraził Hannę. Cierpienie wyssało z niej wszystkie soki żywotne. Nie pozostało z niej nic, prócz samolubnego żalu. Czy nie lękasz się, że ty staniesz się taka sama? — Długo trwała ta męka, wystawiając cierpliwość Carla i jego matki na ciężkie próby. Nareszcie hrabina Nativari, nie doczekawszy się zaproszenia, przyjechała sama. Parę dni pozostała w Pieve. Rozmawiały z Cecylją jak dwie dusze bardzo sobie bliskie. Niewidoma otwierała przed nią, jak przed matką rodzoną, głąb swego serca. Opowiadała jej o swoim powołaniu i o pracy w Olchach.

— Czy jednak szczęśliwą jesteś naprawdę, córko moja? — pytała hrabina. — Czy kobieta może być szczęśliwa bez mocnej i słodkiej podpory obok siebie? Czy przez całe życie może kobieta wytrwać bez pomocy męskiej? Czy nie kłamiesz bezwiednie sama przed sobą? Znam serca kobiece. Przemawiasz mową piękną

i górną — to jest głos obowiązku. Lecz, czy w głębi duszy nie słyszysz innego głosu, potężniejszego, głosu serca? Ten głos woła, kochaj, nie bądź głucha, Cecyljo, nie żądaj od siebie nadludzkiej cnoty. Uwieńcz tę miłość, tak wielką, te lata całe tęsknot, niepewności. Czy w życiu swoim spotkałeś kogoś godniejszego ciebie, niż mój Carlo? I objawszy Cecylję, jęła w 'najczulszych wyrazach przedstawiać jej osamotnienie ich domu po śmierci młodszego syna.

— Pokładaliśmy w nim — mówiła — całą nadzieję rodu, od kiedy Carlo, nie mogąc uzyskać twej ręki, postanowił się nie ożenić. Ale dziś rodowi Nadivarich grozi wygaśnięcie. Carlo ożenić się musi. Ród umrzeć nie może. Zlituj się nad Carlem, Cecyljo, córko oczekiwana, upragniona. I gestem czułym dumna Włoszka podniosła do ust rękę panny Olszańskiej.

Cecylja objęła matkę Carla i utuliła ją w swoich ramionach.

— Przrzekam Pani — rzekła — że zrobię, co będzie w mojej mocy, by nakłonić Carla do małżeństwa.

— Ale z tobą córko, tylko z tobą.

Cecylja milczała.

Przed pożegnaniem poprosiła o pozostawienie jej 10 dni do namysłu, po upływie których obiecała wезwać do siebie Carla.

Nazajutrz po południu Hanna, przechodząc spacerem obok kościoła, posłyszwała cichy akompanjament organów i czysty śpiew Cecylji. Po paru godzinach, wracając z włóczęgi, zauważyła, że organy jeszcze nie

zamilkły. Była znużona, zwolniła kroku. Piękny, niski, podobny do dźwięku wiolonczeli głos górował nad akompanjamentem i, przenikając mury kościoła, rozchodził się daleko po okolicy, zapadającej w wieczorne ukojenie. Pomimo jarzma miłosnej melancholji, trzymającego duszę Hanny w poddańskim posłuszeństwie — uległa dzisiaj czarowi tego głosu, który niegdyś kochała. Piękny wieczór włoski skłaniał się ku schyłkowi, szmery pracy i życia milkły. Hanna stała na pustym placu, mając u swoich stóp spadzistość górskiego zbocza, pokrytą kwieciami zdobiącym groby, nad którymi strzelały wgórę żałobne cyprisy. Potężny głos śpiewaczki wstrząsnął Hanną, obudził ją jakby ze snu. Oczy jej zdawały się przenikać ciemność świątyni, gdzie w głębi, przed tabernaculum płonęła wieczna lampa. I nagle nieszcśliwa przypomniła sobie wszystkie kościoły, które знаła i kochała. Piękne gotyckie świątynie o nawach głębokich i ciemnych, przepych wnętrz barokowych ze złotymi rzeźbami w blasku świateł, glorie witraży, to śniących w przytłumionym cieniu, to ożywionych słońcem i śpiewających barwami. Przypomniła sobie harmonje wielkich mistrzów pieśni kościelnej, całe piękno i poezję religji katolickiej. Przypomniła sobie kościołki białoruskie, gdzie tyle razy wspólnie z ludem śpiewała „Święty Boże“. Wszystkie te przeżycia ukochane, zapomniane, odżyły naraz w jej duszy. Zbliżyła się bezwoliwie do progu kościoła. Przysiadła na schodach. Chora jej duszę nękało pytanie, czy istotnie w tej małej izdebce na ołtarzu mieszka żywy Bóg. Ciemne

wnętrze gmachu ciągnęło ją ku sobie, lecz wejść nie śmiała. Nagle z początku słabo, potem coraz wyraźniej dał się słyszeć zdaleka głos męski. Głos ten zbliżał się, potężniał. Śpiewając „*Veni, la vita e bella*“, młodzieniec jakiś przebiegł przez plac i szybko opuścił się drogą wdół, jakby pędził na jakieś wezwanie. Hanna odwróciła się plecami do kościoła i ujrzała na drodze szybko znikającą postać młodzieńca. Spojrzała na rozsiane wdali sioła, na dymy unoszące się z kominów — sygnały życia. Podążyła w ich stronę.

Pozostawszy sama po wyjeździe hrabiny, Cecylja poczuła dziwny lęk przed postanowieniem, które przyrzekła powziąć. Nastąpiła noc, długa, uroczna, południowa noc, pełna zapachów i czarów, których Cecylja nie widziała wprawdzie, ale których potęgę i słodycz odczuwała ze zdwojoną siłą, dzięki swemu przeczuleniu. Mocniej, niż kiedykolwiek, odczuła pokusę życia, i bardziej niż zwykle dolegała jej samotność. Nie mogąc usnąć, wyszła na taras. Podeszła do balustrady, ukwieconej różami, i nachyliła się nad przepaścią. Szukająca oparcia ręka jej natrafiła na rozwichrzone, jedwabiste włosy Hanny. Hanna również nie mogła spać i wyszła na taras, sądząc, że pod gwiazdzistym baldachimem odzyska spokój. Dotknięcie żywej istoty sprawiło Cecylji pociechę: poczuła się mniej osamotnioną.

— Hannol

Lecz Hanna usunęła swoją głowę i chciała odejść.
— Zostań — rzekła Cecylja przytrzymując mocno jej ramię.

Ton głosu niewidomej i nawyk poddawania się jej autorytetowi skruszyły opór Hanny. Pozostała. Długo trwały w milczeniu, nad słuchując głosów nocy. Z uspionej kampanji dochodziły do ich uszu głośnie ćwierkanie niezliczonych pasikoników i tęskne, namiętne rechotanie żab. Była to noc bezksiężycowa, ale bogata w gwiazdy migocące na ciemnym sklepieniu. Cała mleczna droga iskrzyła się wyraźnie, jak zarzucony na niebo welon srebrzysty. Na ziemi również lśnił się gwiazdzisty pas konstelacji — światła dalekiej Genui. Zdawało się, że z fal morza wyłania się odwieczna Anadiomene i obejmuje królowanie nad światem. Podmiejskie siedziby i pracowite miasto ulegają jej władzy. Po dziełach użytecznych dnia rozpoczynają się sprawy miłosne, nocy. Wenus unosi się nad miastem, zachęca do miłości, szepce: „Korzystajcie z chwili, kochajcie!“ I ludzkość hołduje nieśmiertelnej królowej. Cecylji zdaje się, że słyszy przyśpieszone bicie serca przyjaciółki, lecz nie śmie przerywać jej myśli. Milczenie ciąży jej coraz bardziej. Cisza staje się coraz przykrejsza. Nareszcie ucho Cecylji łowi ledwie dosłyszalny szmer statku, opuszczającego port genueński.

— Słuchaj, Hanno — czy widzisz statek wiozący ludzi ku nieznanym przeznaczeniom? Być może wiezie nadzieje szczęścia i radości.

— Wszyscy myślą, że *la gioia é sempre al'altra riva* — odrzekła Hanna.

I znów zaległa cisza. Niebo pobladło. Od morza powiał chłód zaranny. Świt zaczął toczyć walkę z mrokiem. Zapachy kwiatów stały, mdlały i tylko kwiaty

pomarańczowe zdawały się szeptać uśpionym dziewczom: „Wijcie ślubne wianki“.

— Wracajmy — rzekła Cecylja.

Po raz pierwszy od długich miesięcy, wzięwszy się za ręce, wróciły do siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Od owej nocy, spędzonej na tarasie, w stosunku pomiędzy Hanną i Cecylją nastąpiła zmiana. Hanna pewnego razu, spotkawszy Cecylję w blasku promiennego słońca, po raz pierwszy spostrzegła niezwykłą jej błądź. Dlaczego — pomyślała — Cecylja tak źle wygląda? Przecież ja tylko cierpię.

— Co masz zamiar dzisiaj robić — spytała ją Cecylja. Hanna jak zwykle odrzekła tonem niecierpliwym: — Nic.

Istotnie, od przyjazdu do Pieve di Sori nie robiła nic. Całe dnie spędzała na spacerach. Wybierała ścieżki najbardziej odludne i zapędzała się w zakątki, których nikt nigdy nie odwiedzał. Błądziła bez celu krokiem lekkim i szybkim, smutna, błąda jak widmo, zapatrzona sama w siebie. Unikała ludzi i nigdy się nie zdarzyło, żeby popieściła któreś ze spotkanych dzieci. Pośród mieszkańców Pieve rozpowszechniło się mniemanie, że *la signora bella polaccha è un poco ammalata della mente*. Podczas tych swoich wycieczek Hanna zwiedziła wszystkie okoliczne szczyty i północne stoki gór. Zdarzało się często, że nie wracała do domu

w porze posiłków. To też i dzisiaj Cecylja siadła sama do stołu. Była jednak mniej smutna niż zwykle, mając świadomość, że lody pomiędzy nią a Hanną poczęły tajać. Więcej jednak niż o przyjaciółce myślała dziś o obietnicy danej Carlowi. Tak samo jak wczoraj, czuła gorące pragnienie schronić się w jego objęcia, żeby zapomnieć przy jego sercu o latach samotności. Pokusa ta stawiała się coraz potężniejsza. Z drugiej strony jednak myślała o Olchach. Cóżby się stało z siostrami, gdyby je opuściła? A musiałyby opuścić ukochane swe dzieło, gdyby wyszła zamąż, za Carla... Walka serca z poczuciem obowiązku dręczyła ją srogo. Żeby ją ukoić, skierowała się w stronę kościółka. Kościółek ten, właściwie górską kaplicą, stał na stromym wzgórzu naprzeciw willi Speranza. Należał on do najstarszych zabytków włoskiej romanizacji. Niegdyś do kościoła przylegał klasztor, oddawna skasowany. Starzy ludzie pamiętali jeszcze, jak dziewice zakonne śpiewały anielsko na górze, jak skupiały koło siebie działość wiejską, ucząc ją malować jedwabiami na atłasie. Teraz wszystko to należało do przeszłości. Świątynkę otaczał cmentarzyk. Oddawna już nie grzebano na nim zmarłych. Starzy ludzie narzekali na to. — Gdyby nam wolno było — mawiały starszuszki — składać tu na wieczny spoczynek naszych kochanych zmarłych, zamiast nosić ich na cmentarz nowy — wszystko byłoby dobrze. „Mnie — mówiła, pewna dziewięćdziesięcioletnia starszuszka — lepiejby się tu spoczywało, gdzie moja mama i *padre* i *nonna* leżą“.

Gdy Cecylja weszła do kościoła, czcigodny zabytek był pogrążony w ciszy. W jednej z ławek siedział margrabia Dario, który lubił się chronić samotnie w tem zaciszu, sprzyjającym rozmyślaniom. Usłyszał kroki Cecylji i jej rozmowę z organistą, ale nie zdradził swojej obecności. Wkrótce doszły jego uszu pierwsze akordy organów, i oboje zostali uniesieni w dziedzinę dźwięków, w krainę, w której pewne dusze zupełnie zapominają o ziemi.

O, kraino muzyki! Szczęśliwy ten, który się przenosi do twoich posiadłości, nieznających granic. O muzyko! Różnorodne są twe hojne dary, potrafisz osuwać łzy tych, którzy płaczą, wzbogacić odwagę mdlejących, wzniecać bohaterstwo ducha, pogłębiać źródła szczęścia. A największym twoim darem jest możność oderwania się od ziemi, zapomnienie, pokój. Muzyko, pocieszycielko wzniosła, bądź błogosławiona!

W starym przybytku, rozświetlonym jedynie blaskiem wiecznej lampy, płonącej niby gwiazda przed tabernaculum, dusza Cecylji przeżywała swą mękę, krzyczała z bólu, zwierzała się samej sobie. Cecylja improwizowała. W improwizację swoją wplatała napół bezwiednie fragmenty melodji różnych mistrzów organowych. Wrażliwe ucho Daria rozpoznało między niemi ustępy z bachowskiej *Trauerode*. Cecylja zdawała się doszukiwać w pamięci melodji tych niepewnie, wielu ustępów nie mogła sobie przypomnieć. Pomimo to w grze jej odzwierciedlało się tragiczne piękno natchnionego dzieła. Margrabia przypominał sobie wzruszającą historję owej żalobnej ody, napisanej

na śmierć Krystyny Eberhardtyny, małżonki Augusta Mocnego. Kiedy na jej pogrzebie wykonano ów utwór w lipskim kościele uniwersyteckim — rozległ się płacz ogólny, a zebrany tłum, opuszczając świątynię, śpiewał chóralnie: *Heilige, Heilige, bette für uns*. Czas mijał, Dario wsłuchiwał się w poemat bólu, odbijający się o sklepienia kościoła. Długo trwał bez ruchu zmęczony wzruszeniem. Pozostał w ławce nawet wtedy, gdy Cecylja w dysonansie, wyrażającym najwyższe napięcie bólu, przerwała grę i wyszła szybko z kościoła. Margrabia rozmyślał o swojej przyjaciółce i o sobie. Szlachetny starzec również cierpiał niegdyś, również kochał. Było to dawno temu, gdy był 30-letnim mężczyzną. Jak to się często zdarza naturom głębszym — miłość jego nie przyniosła mu szczęścia. Pomylił się w wyborze. Młoda żona skrzywdziła go, zwróciwszy lekkomyślnie serce ku innemu. Od tej pory zrażony, żył samotnie.

— Cecylja jest chora — myślał — w muzyce szuka pociechy, jak ja jej niegdyś szukałem. Muszę jej w tem pomóc.

W głowie jego zrodził się śmiały projekt urządzania w Pieve festivalu muzycznego. Zaczął rozmyślać, jakby to trudne zadanie zamienić w czyn.

Wróciwszy do domu, Cecylja wysłała do Carla depeszę, zawierającą jedno słowo: *Przyjedź*. W dwa dni później wczesnym rankiem hr. Nadivari wysiadł z pociągu na stacyjce gwarnej, rozbrzmiewającej zgłębieniem pracowitych mieszkańców nadmorskiego siola.

Z gorączkowym pośpiechem począł się wspinać pod górę ku willi Speranza. Szedł ku swojej ukochanej z nadzieją w sercu, ale i z wielką obawą. Naokoło cała natura śpiewała o radosnem święcie wiosny. Rozkwit róż, heljotropów, goździków, całego barwnego ludku kwiatów doszedł do zenitu. „Tam na górze kwitnie kwiat mojego życia“ — szepnął Carlo sam do siebie. Słońce promienne pieściło piękno morza, gór, jakby błogosławiąc całemu krajowi. Carlo wspinał się na górę z lekkim sercem. Lecz w połowie drogi krajobraz nagle się zmienił. Słońce przestało grzać. Zaszło za chmurę. Zimny pot zwilżył skronie zakochanego. Na zakręcie drogi poznał przepaść, do której przed 20 laty wpadła jego umiłowana. Dziś już kamienna balustrada chroniła przechodniów od wypadku, lecz na dnie przepaści szczyrzyły się jak dawniej ostrza agaw, okrutnych agaw, które pozbawiły Cecylję wzroku. Tu przeżył Carlo najcięższe chwile w życiu. Teraz powtórnie przeżywał w wyobraźni całą katastrofę. Przypomnił sobie wyraźnie wszystkie chwile szczęścia, które go niegdyś darzyła Cecylja. A później przypomniał sobie okrutną rozmowę, którą miał z nią po jej wyzdrowieniu. „Nigdy nie będę twoją“ — powiedziała mu wówczas. — „Nie siadę u twego domowego ogniska, nie ozdobię twego życia wieńcem dziatek, nie przywieszysz do domu Nadivarich towarzyszeki niewidomej, do zdrowego rodu waszego nie wprowadzisz kaleki, dla której żywot zdrowych jest wzbroniony, która winna żyć wśród równych jej nieszczęściem“.

Chyże nogi Carla poczęły mu ciężać jak ołowiane. Oparł się o balustradę i długo wpatrywał się w przepaść. I silny Carlo Nadivari zapłakał nad zaginionym pięknem oczu Cecylji, nad nocą, która pozbawiła te drogie oczy światła. Teraz nie śpieszył się już po odpowiedź ukochanej. Lękał się tej odpowiedzi. Przypomniawszy sobie moc niezłomną tej kobiety, moc, którą równać można było tylko z jej słodyczą. Czy cofnie swą decyzję? czy zmieni postanowienie? czy wzruszona żalobą rodziny usłucha prośb jego matki? Czy da się wreszcie wzruszyć wiernej jego miłości? Im bliżej był Carlo celu, tem cięższą mu się wydawała droga, coraz bardziej stroma.

Gdy zadzwonił do willi i spytał o Cecylję, wprowadzono go natychmiast do jej pokoju. Cekał za ledwie chwilę, minutę może, minuta ta jednak wydała mu się wiekiem. Pokój był biały. Kąpał się w pełnym słońcu. Na ścianach nie było żadnych ozdób. Meble były sztywne, surowe. Na biurku leżał stos listów, zapas włóczek i jedwabów, wreszcie maszyna do pisania, którą się Cecylja posługiwała, żeby długie rozporządzenia posyłać do Olch. Surowy, iście klasztorny wygląd pokoju łagodziło mnóstwo kwiatów, których wiązanki stały wszędzie. Carlo zauważył, że pojedyncze ich rodzaje nie były z sobą mieszanym, lecz każdy gatunek tworzył grupę samodzielną. Spozstrzegł też, że były między niemi tylko kwiaty pachnące.

Cecylja weszła do pokoju cichym krokiem, podobnym do kroku zakonnic. Carlo spozstrzegł ją dopiero wtedy, gdy stanęła obok niego. Biała, miękka

szata wełniana uwydatniała jej piękne, młodzieńcze jeszcze kształty.

Przywitali się bez słowa. Bez słowa usiedli naprzeciwko siebie. Wreszcie głosem drżącym ze wzruszenia Cecylja zaczęła mówić.

— Wezwałam cię, żeby cię pożegnać na zawsze, Carlo. Myślałam o przyszłości. Szukałam rady w modlitwie. Znalazłam ją. Nie mogę związać swego smutnego istnienia z życiem człowieka będącego w pełni rozwoju.

— Lecz *o cara mia*. Zmiłuj się nade mną i nad sobą. Jak możesz wyrzekać się miłości na całe życie?

— Carlo, nie wierz, że celem życia jest miłość. Dawniej myślałam tak jak ty, lecz doszłam do przekonania, że świat miłości jest małym ograniczonym światem dwóch kochanków. Słuchaj, Carlo, idąc za tobą, musiałabym zdradzić moje ociemniałe siostry, których jestem jedyną podporą. Coby się stało z Olchami, gdybym wyszła za mąż? Ognisko zmarnowałoby się niewątpliwie. Pozatem nie mogę opuścić nieszczęśliwej Hanny. Carlo, drogi Carlo, nie myśl więcej o mnie, nie mów nic, odejdz w milczeniu. Czy nie czujesz, że Twoje cierpienie jest i dla mnie męką? Skróć tę mękę. Odejdz! Dasz mi tem największy dowód miłości.

Cecylja wstała. Wyszła na taras. Zatrzymała się przy schodach, po których miał zejść Carlo. Położyła mu rękę na ramieniu.

— Mam do ciebie ostatnią prośbę. Czy ją spełnisz?

— Jaka?

— Dario mówił mi o twojej kuzynce Alicji. Wiem, że dziewczyna ta od trzech lat cię kocha i marzy o tem, żebyś się z nią ożenił. Nie odrzucaj tego niewinnego serca. Poślub ją jak najprędzej. Zrobisz to? Prawda? Przecież prośbom umarłych nikt nie odmawia, a ja dla ciebie jestem umarłą.

Nadivari nic nie odrzekł. Wolno zeszedł ze schodów i, doszedłszy do drogi, wiodącej na kolej, stanął w cieniu wielkiego oliwnego drzewa, które mu zakryło widok na willę. Przez chwilę stał tam, walcząc ze sobą. Nie mogąc oprzeć się pokusie zobaczenia raz jeszcze istoty umiłowanej, zawrócił, wbiegł zpowrotem na taras i runął do stóp Cecylji. Jej oblicze przed chwilą spokojne, teraz zdradzało wzburzenie i ból głęboki. Nie mogła ukryć lęku, który ją opanował, i poczęła drżeć jak w febrze.

— Carlo, dlaczego wróciłeś. Mówiłam ci, że umarłam. Carlo, zostaw mnie.

I zimnemi rękoma usiłowała go odepchnąć od siebie. Lecz gdy Carlo uczuł dotknięcie drogich dłoni, uniesiony żarem niepohamowanej miłości, począł pokrywać ręce i nogi Cecylji namiętnymi pocałunkami.

— Mówisz, Cecyljo, że jesteś umarła — szeptał gorąco Carlo — lecz przecież wolno narzeczonemu pożegnać narzeczoną nawet po śmierci. Pozwól, że raz ostatni jedyny raz przycisnę cię do serca, że raz jeden jedyny ucałuję twe usta. Pozwól, abym zabrał chociaż wspomnienie bodaj jednego twego pocałunku. — Porwał Cecylję w ramiona i przycisnął ją do serca. Lecz jej bladość wzrastająca wstrzymała go od pocałunku.

Przerażony cofnął się, myśląc, że będzie musiał wzywać pomocy. Jednakże silna wola Cecylji zwyciężyła siebie i Carla. Odeszła.

Carlo usłyszał jak echo dalekie słowa rzucone na pożegnanie: „*Fra un anno darò un bacio alla tua figliuola Cecilia*“.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Inquietum est cor nostrum donec
requiescat in Tel

Confesiones I.

S. Augustyn.

Margrabia spełnił swój projekt. Korzystając z faktu, że właśnie w Genui odbywały się wielkie koncerty bachowskie, zaprosił do Pieve zespół znakomitych wirtuozów. W górskim kościele miano wykonać całą *Trauerode*. Cecylja, na której cześć miała się odbyć ta audycja, wyczekiwała niecierpliwie godziny 4-tej i uderzenia dzwonu, które miało oznajmić o jej rozpoczęciu. Wreszcie doczekała się go. Wolno zeszła ze stopni tarasu i podążyła w stronę kościoła. Hanna cicho szła za nią. W kościele podniosłe pienia odbiły się o mury, które wchłonęły od tych wieków tyle inwokacyj, tylu strzegły zwierzeń. Melodja, trzymana z początku jakby na uwięzi, jakby przytłumiona czią, opanowującą widza na widok zwłok umarłej, wyrażała głęboką żalność dźwiękami szemrzącemi. Potem wzniósł się płacz instrumentów ku Stwórcy Nieba, suplikacje żarliwe, namiętne żale, rozgoryczenie nad losem nieszczęśliwej królowej. Wszystko to od-

dał genialnie natchniony mistrz. Wielki poemat miłości i śmierci mieścił w sobie modły dzwonów, które o jednej godzinie uleciały, jak jedno westchnienie kraju całego, głębokie tony z wysokich wieżyc niemieckich, okrzyki żałosne tłumów. Z płataniny dźwięków uniosły się wreszcie motywy inne, które zapanały wkońcu nad głosami żalu i rozpacz. Słuchacze mieli wrażenie, że odślania się jakby rąbek tajemniczego welonu, zasłaniającego niewidzialne rajske krajiny. Ponad wszystkim górował głos z zaświatów, opiewający szczęśliwość duszy wybranej, która doszła do celu, głos zbawionej królowej, obwieszczającej o spokoju wybranych. Hanna doszła do kościoła niewidziana przez nikogo. Miał podejść za Cecylją ku presbiterjum, ukłękła na progu. I niebawem zapomniała o świecie, otaczającym ją, o własnem jestestwie. Wielki prąd muzyki przeniknął ją nawskroś, porwał ją na wyżyny mową bez słów, stokroć mocniejszą, niż mowa ziemi. Zrozumiała rozdzierające okrzyki tłumu, zebranego w kościele w Lipsku. Rozróżniała głosy bólu, którym wtórowały głosy dzwonów, ból ten kojące. Szczytny poemat koił się stopniowo. Wszystkie troski tonęły w spokoju coraz bardziej błogim. Znużeni wzruszeniem słuchacze i wykonawcy poematu rozeszli się w skupieniu. W tłumie opuszczającym świątynię Hanna zauważyła przeistoczoną, promienną twarz Cecylji. Pozostała sama u progu kościoła. W ciemni paliła się wieczna gwiazda, na ołtarzu dobrowolny Więzień Miłości wszechludzkiej sam czuwał. Czy tedy droga do spokoju? — myślała Hanna. Czy

rzeczywiście tam w tabernaculum przebywa Bóg? Czy zechce wysłuchać naszych żalów, trosk, próśb? Czy istotnie czeka na nieszczęsne rzesze? Czy czeka na mnie? — powtarzała dusza Hanny. I jej biedne ludzkie serce poczęło bić gwałtownie i cierpieć tak, że myślała: „Wybiła dla mnie ostatnia godzina“. Dźwignęła się z klęczek ostatkiem sił i weszła do kościoła.

W godzinę później błąkała się Hanna po opuszczonym cmentarzu. Bożej roli strzegły wysokie cyprisy, bluszcze tuliły się do płyt kamiennych. Większość pomników uległa zagładzie. Najskromniejsze groby ostały się gdzieś niegdzie w całości. Zdobiły je proste kamienie, na których były wyrzeźbione daty śmierci. Napisy prawie wszędzie stały czas, nieprzyspiewały wiernych wspomnień. Hanna odczytywała je z trudem, odgarniając zasłony bluszczowe. — „Ubóstwianej narzeczonej“ — odczytywała na jednej z płyt, a pod spodem: „Mój płomień nie zgaśnie nigdy“. Gdzie indziej wyczytała: „Byłaś córką, słońcem i śpiewem naszego domu. Wezwij nas rychło do siebie“. Obok tego grobu stał grubo wyciosany kamień z niezręcznie rzeźbioną piłką, opatrzone wierszem: „Goniąc za piłką, wpadł Granito do morza, a ono zazdrosne i okrutne nie oddało nam naszego dziecka żywego“. Hanna nie mogła się oderwać od widoku grobów. Chciała im wyrwać ich tajemnicę. Tu były złożone kwitnące ciała młodzieńców i dziewcząt, złączonych za życia ogniem płomiennym, tu spoczęły te chyże nogi, te śpieszące do spotkań stopy, tu spoczęły płonące wargi, szepczące słowa miłosne. Cóż po nich zostało? Garstka koste-

czek na posłaniu z popiołów. Zdawało się, że nad grobami unosi się żal za życiem. Hanna doszła do szczytów w murze, odgradzającym cmentarz wiejski od cmentarza zakonnego. Groby były tu mniej ściśnięte, większe od chłopskich, zupełnie jednakowe. Pokrywały je wielkie płyty kamienne, a nad każdą z nich czuwały krzyże. Kilka tylko napisów dotrwało. Na jednym Hanna odczytała: „Resurgam. Porzucam kraj pragnień dla kraju nasycenia“. „Leć, duchu mój, do swego Stwórcy“. Na niektórych płytach widniało jedno tylko słowo „PAX“.

Pax .. cisza... Hanna zatęskniła za wiecznym spokojem — ostatecznym przeznaczeniem dusz. Na ziemię legł cichy wieczór. Z wież oddalonych kościołów odezwały się ledwie dosłyszalne dźwięki. Bliższe odpowiedziały im na to wezwanie. Z nieba spadł ton starego dzwonu klasztorowego. Drgające fale owiały Hannę. Przykuły ją do miejsca, zasłuchaną w zachwycie. Przypomniała sobie, jak kiedyś kochała dzwony, jak kojąco wpływały na nią, gdy, łącząc się z duszami okolicznego ludu, wchłaniała w duszę ich głosy na Belwederze w Żywych Wodach. Tony doszły do szczytu natężenia, poczem stopniowo cichły. Hanna czekała. Czekala na polskie dzwony... Zatęskniła za warneńskim dzwonem, niosącym z przeszłości wieść o bohaterskim, młodocianym królu... Zupełna noc zakryła niebo. Gwiazdy nie zabłysły. Hanna z trudem wracała do domu. Wiedzioną instynktem, kierowała kroki po wąskich ścieżynach. „Jakim sposobem Cecylja może tedy chodzić — zastanawiała się. Cecylja —

niewidoma! Od szeregu miesięcy nie pomyślała o niedoli Cecylji. Od szeregu miesięcy nie wyciągnęła do niej ani razu pomocnej ręki. I dusza Hanny naraz zadrgała żywym współczuciem. Przyspieszyła kroku. Cecylja posłyszała już zdala, że Hanna się zbliża. Oczekiwała na nią na tarasie z wielkim niepokojem. Zdenerwowana wzruszeniami dni poprzednich, poddawała się smutnym przeczuciom. Znała przecież niebezpieczeństwo zawrotnych górskich zakrętów. Gdy usłyszała, że Hanna się zbliża, podbiegła do niej i głosem, nad którym nie mogła zapanować, krzyknęła: „Hanno, nareszcie! Myślałam, że ci się coś stało! Wracasz tak późno!” W tej chwili poczuła na rękę gorący pocałunek, a równocześnie posłyszała pokorny, prawie dziecienny szepot:

— Przepraszam, Cecyljo.

Połączyły się w gorącym uścisku. Resztę wieczoru spędziły na tarasie. Nie unikały już obcowania z sobą. Noc była cudna, niezbyt gorąca... świeże powiewy chłodziły im skronie. Myśli Cecylji i Hanny wędrowały ku północy. Szereg miesięcy przebytych w samotności przekreśliła jedna chwila. I znów uczuły dwie siostry szczęście, rzadkie szczęście. Rozumiały się nawzajem zupełnie w błogim milczeniu. Przytuliły się do siebie i splótły ręce. O! słodczy splecionych rąk, które się znowu odnalazły. Przed światem wiatr uciął zupełnie. Księżyc się ukazał. Góry i morze lśniły w srebrnej poświacie. Nad ziemią i w sercach obu kobiet legła cisza. Pax...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Italiam, Italiam...

Kwiecień w Żywych Wodach był wyjątkowo gorący. Stanisław wcześniej wynosił się na całe dnie z domu, żeby podpatrywać piękno w naturze. Od dłuższego czasu nie był zadowolony z siebie. Po wyjeździe pani Hanny zapadł na ciężką niemoc duszy. Utracił wiarę w sztukę. Lecz z powrotem wiosny zaczęła mu wracać energia do pracy razem ze słabemi przeblaskami nadziei, że Hanna wyzdrowieje. Chwile posiłków i całe wieczory spędzał z Anielką. Dziecko było blade i smutniejsze niż kiedykolwiek. Zdawało się, że w wychudłej jej twarzyczce żyły tylko ogromne, szare oczy, z których wyzierało cierpienie nie dziecka, lecz dojrzałej kobiety. Pewnego razu służący przyniósł z poczty list polecony, adresowany do p. Hanny z Petersburga. Pytał, czy go trzeba zatrzymać, czy też odesłać do Włoch? Anielka spojrzała na list. Poznała na adresie pismo Romana. Oczy jej stały się twarde, zawistne. Z ust padł rozkaz: „Nie przyjać! Odesłać zpowrotem”. Wkrótce po tym epizodzie spędzała Anielka szarą godzinę ze Stanisławem.

Była wyjątkowo smutną. Malarz wszelkimi siłami starał się rozerwać swą ulubienicę. Lecz chociaż nie widział jej twarzyczki ginącej w zmroku, spostrzegał po spokoju apatycznym dziewczynki, że dzisiaj nic nie zdoła wyrwać jej z zadumy. Postanowił uczynić jeszcze jeden wysiłek, kierując rozmowę na jedyny temat, który maleńką ożywia, i mówić o pani Hannie. Nie poruszając ostatnich wydarzeń, które niewątpliwie naraziłyby dziewczynkę na wybuch płaczu, opowiadał o czasach dawnych, gdy jako młodzieniec ujrzał po raz pierwszy jej ciocię we Włoszech, nad brzegiem morza. Mówił do dziewczynki tak, jakby mówił sam do siebie. W słowach jego przebijało całe uwielbienie, jakie żywił dla Hanny, cała potęga tęsknoty i smutków, jakie mu sprawiła nieszczęśliwa miłość. Nagle poczuł na swoim ramieniu gorącą główkę Anielki i posłyszał cichutki jej szept: „Biedny Stach“. Siedzieli obok siebie w milczeniu i, mimo trosk wspólnych, byli w tej chwili ukojeni, szczęśliwi. Raptem — o ironjo losu psotnego — usłyszeli turkot. Anielka odskoczyła od Stanisława i rzekła — „Nikogo nie chcę widzieć, kładę się do łóżka“. Poczem szybko wybiegła z pokoju.

Poprzedzany przez służącego, który przyniósł światło, wszedł Roman. Mężczyźni przywitali się chłodno. Nie uszło uwagi Stanisława, że Roman schudł bardzo, pochylił się, nie był tak pewien siebie, jak zwykle.

Głosem nieco zmieszany, któremu napróżno starał się nadać akcent stanowczości, zapytał o Anielkę. Stanisław odrzekł, że poszła się położyć.

— Muszę pójść do niej, lecz chciałbym najpierw dowiedzieć się od pana, czy to, co mówią o jej zdrowiu, jest prawdziwe. Czy rzeczywiście jest chora?

— Chora dotychczas nie, ale wątpliwość jej organizmu może budzić obawy. Stale ubywa jej na wadze.

— Trzeba ją z tego stanu wyrwać, trzeba ją wyratować — rzekł Roman i poszedł do pokoju dziewczynki.

Maleńka, pomimo długich pertraktacyj i nalegań ze strony nauczycielki, nie zgodziła się przyjąć wuja. Skoro mimo to wszedł do pokoju dziewczynki i zbliżył się do jej łóżeczka — spotkał go despekt. Anielka na chwilę podniosła powieki i spojrzała na niego, następnie zamknęła oczy i pomimo czułych próśb Romana nie odezwała się ani słowem.

W godzinę później spotkali się obaj mężczyźni przy wieczerzy. Roman miał twarz obojętną. Niczem nie zdradzał wzruszeń, które przeszedł niedawno. Mówił o rzeczach ogólnych. Dzielił się z malarzem ciekawymi nowinami, przywiezionymi z Petersburga. Sytuacja polityczna była zdaniem jego bardzo poważna. Widział nie na powierzchni życia publicznego, ale w jego głębiach groźne symptomy rozkładu Rosji.

— Niech mi pan wierzy — mówił — że katastrofa się zbliża, katastrofa jakiej dotychczas nie znaliśmy. Razem z nią zbliża się nasz świt. Ale Polska śpi. Polska śpi — powtórzył parokrotnie. Stanisław po raz pierwszy spojrzał na Romana z sympatją.

Nazajutrz rano przed wyjazdem Roman poprosił malarza znowu o chwilę rozmowy. Bardzo miękko,

z nietajonem wzruszeniem wyjawiał troskę o swą siostrzenicę.

— Nie chciała mnie widzieć — mówił. — Nie chciała ze mną rozmawiać. Jestem bardzo o nią niepokojny. Znam pańskie przywiązanie do tego dziecka, skoro więc ja nie mogę nic dla niej zrobić, niech pan czuwa nad nią. Niech mi pan da słowo, że zrobi pan wszystko, co można, żeby ją wyratować.

Stanisław z powagą złożył obietnicę, co uspokoiło nieco Romana. Ale Stoltzburg nie mógł porzucić tego tematu, który był mu drogi.

— Co zdaniem pańskiem możnaby dla tego dziecka zrobić. Czego jej brak?

— Mojem zdaniem, Anielkę trawi tęsknota za ciotką. To jest główne źródło jej cierpienia.

Wkrótce potem Roman jechał ku stacji kolejowej. Wjechawszy na wzgórze pod lasem, kazał stanąć stangretowi i obejrzał się na Żywe Wody. Patrzył na dzieło szeregu lat pracy, któremu obecnie groziła śmierć. Było to dzieło Hanny, ale i on przykładał do niego rękę. To jego rada, jego natchnienie budziło piękno i dobro. Hanna nie rozpoczynała przecież niczego bez naradzenia się z nim. A dziś to dzieło było opuszczone.

— Spóźnimy się na pociąg — wyszeptał stangret nieśmiało, lecz Roman trwał w zadumie. Przypominał sobie dzień, w którym Hanna wygnała go stąd wzrokiem pełnym pogardy i dumy i rozwiązała wiążące ich węzły. Teraz znowu Anielka kazała mu stąd odejść

z tym samym wyrazem twarzy, który wówczas miała Hanna.

— To już koniec, koniec! — powtarzał do siebie. — Hanna tu nie wróci, umrze. Może już umarła. Nie mam już najmniejszej nadziei. Szaleńcze — mówił do siebie dalej. Przecież gdy wyjeżdżałem, wyciągnęła do mnie ręce. Krzyczała za mną! Teraz jestem pewien, że słyszałem jej krzyk. Szaleńcze! Szaleńcze! Dlaczego wtedy nie wróciłeś. Wszystko mogłeś naprawić.

Kazał jechać dalej. Powóz wtoczył się w cień lasu. I tutaj towarzyszyły mu mury przeszłości. Przypominał sobie wyraz jej oczu, te zapamiętałe, rozmazane oczy, które, gdy zapytał ją, czy się boisz, odpowiedziały mu: „Bać się z tobą?” Czy kto inny był kiedy tak szczęśliwy? Czy kto inny wyczytał podobną odpowiedź z podobnych oczu? A więc kochała mnie, kochała mnie wówczas — krzyczało w nim serce — a ja szalony miłość tę straciłem.

— Przyjechaliśmy, proszę jaśnie pana — odezwał się stangret. — Pociąg już stoi na stacji.

Spełniając obietnicę, daną Romanowi, Stanisław zawezwał do Anielki Wielińskiego. Lekarz zmartwił się wzmogoną wątpliwością maleńkiej i stanowczo zdecydował, że trzeba ją zawieźć do pani Hanny. Może jedna wyleczy drugą, rzekł do Monkuda. „Tylko dusza jest w stanie wyleczyć duszę”. Malarz zapytał nieśmiało doktora, czy sam może jechać.

— Niech pan jedzie. — Wszystko, co jej przypomni szczęśliwą przeszłość, może ją uzdrowić.

Chciałbym, żeby można było zawieźć kawał Żywych Wód, by uwolnić ją od zmy, która ją nęka. Nie dawajcie jej znać o waszym przyjeździe. Zjawcie się przed nią niespodziewanie, by wywołać wstrząs.

— A jeżeli jej to zaszkodzi?

— Nie boję się tego. Hanna wbrew pozorom ma duży zasób sił.

Spojrzeni sobie głęboko w oczy i przyjaźnie uściśnęli dłonie. Stanisław zawiadomił telegraficznie Romana o wyjeździe do Włoch. Na depeszę nie odebrał odpowiedzi. Lecz instynkt mu mówił, że Roman zdąży pożegnać się z chorą. Istotnie Stoltzburg zjawił się w chwili wyjazdu na dworcu w Warszawie i wszedł do sypialnego wagonu. Był obarczony podarunkami dla Anielki. Słodczy, kwiaty i prześliczne książki położył obok niej, ale mała królowa przyjęła to niezbyt łaskawie. Ledwie raczyła wyrazić mu podziękowanie. Biernie pozwoliła, żeby wuj złożył na jej policzku pocałunek, nie oddała go i obojętnie ją patrzeć w okno. Roman poprosił Stanisława, żeby zszedł z nim na peron. Z niepokojem wypytywał go o nowiny z Pieve di Sori. Czy stan pani Hanny się polepszył? Czy zamierza wrócić? Krótkie i niepokojące były odpowiedzi malarza. O powrocie nie mogło być mowy. Roman zasępił się i przywdział na twarz swój zwykły wyraz lodowaty. Ostatni podróżni pędzili do pociągu.

— Muszę pana pożegnać — rzekł Stanisław uprzejmie i podał rękę Romanowi.

— Pan, pan jedzie — pytało spojrzenie Stoltzburga. — Dlaczego, jakie prawo ma pan do Hanny? —

Na twarzy jego pod powłoką obojętności przebiegała wściekłość.

— Prawo, które daje długoletnia przyjaźń — odpowiedziały mu oczy malarza. — Ty ją kochasz, kochasz! — czytał Stoltzburg w źrenicach Monkuda. — Kocham — odpowiedział spokojnem, dumnem spojrzeniem. Stał na platformie wagonu, jak sędzia, wymierzający sprawiedliwość. Roman spuścił głowę, jak oskarżony. Po chwili podniósł twarz przeistoczoną. — Pan ma słuszość — mówiły teraz jego oczy. — Przepraszam. — Gdy pociąg już ruszył, rzekł głośno: — Dziękuję.

Stanisław, siedząc przy oknie, patrzył z zajęciem na mało urozmaicony krajobraz mazowiecki, przesuwały się przed jego oczyma. Widząc monotoność kształtów i barw, podziwiał wielkich malarzy, którzy potrafili z ubogich tematów tworzyć dzieła potężne. Myślał przedewszystkiem o Chełmońskim i jego „Bocianach“, których tło pejzażowe miał wprawione w ramy okienne. Myślał o wszystkich innych obrazach wielkiego mistrza, który umiał dostrzegać i pokazywać, jak nikt inny, całe piękno utajone w pozornie nieciekawej szarzyźnie rodzinnej ziemi. Przypominał sobie jego „Babie lato“, zwiewną przedzę, zawieszoną na niebie, świadczącą, że lato jeszcze nie uciekło. Jakże pysznie przedstawiona jest na tym obrazie radość krzepkiej wiejskiej dziewczuchy, usiłującej swawolnie przyciągnąć do siebie fruującą wiotką nić. Myślał o muzykantach z rodziny sienkiewiczowskiego Janka, wygrywających zawrotne zwrotki mazurków

wesoło-tęsknych, których Chełmoński podpatrzył równie po mistrzowsku, jak ich podsłuchał Szopen.

— Czy będę kiedy tak wielki, jak Chełmoński? — pytał się Monkud w duchu. — Czy potrafię tak zespolić w jedną całość duszę człowieka z duszą krajobrazu? Nie. Nigdy do tego nie będę zdolny — myślał ze smutkiem.

Za Wiedniem wjechał Stanisław w świat inny. „Na skał czołe, na wód dole“ królowało inne piękno. Skalne ostrza szczytów alpejskich, obcujące tylko z wiatrami i słońcem, niepokalane, czarodziejskie, dumnie pięły się ku niebu. Surowe alpejskie zbocza, odmłodzone świeżą zielenią lasów, uświęcone kościołami o śpiczastych wieżyczkach i zielonawe senne kryształły jeziora olśniewały oczy malarza. Tu pod opieką stróżów gór w zacisznych dolinach płynie spokojne życie tyrolskich pasterzy. Skąpa gleba zmusza ich do szukania pracy w stronach dalekich. Z tęsknotą wracają do swoich dolin żywi lub umarli. Stanisławowi stanął w oczach „Powrót do kraju rodzinnego“ Segantini’ego: wóz, uginający się pod ciężarem trumny górala i opłakującej go rodziny. Za wozem dąży pies ze spuszczoną głową i także płacze. „Ten pies chyba rzeczywiście płakał“ — pomyślał malarz.

Jadąc dalej, odkrywał coraz to nowe kształty piękna. Piękno przemawiało do jego duszy rozkazująco: zachwycaj się mną i kochaj mnie. I malarz był powolny temu rozkazowi. Natomiast Anielka głucha była na wezwanie piękna. Napróżno nauczycielka zwracała jej kilkakrotnie uwagę na kościółki górskie, zdające

się tonąć w wiosennym kwieciu. Małeńka była na nie obojętna, co sprawiało przykreść zarówno nauczycielce, jak i Stanisławowi. W okolicach Gotharda pociąg spotkała burza. Stanisław napawał wzrok srogim widokiem rwących przed siebie chmur. Podziwiał rozpętaną szybkość pociągu-potwora, prowadzonego przez lokomotywę z pióropuszem dymu i pary. Pociąg pędził, jakby chciał uciekać od ponurych widoków. Pędził bez pamięci ku jaśniejszym niebom, ku niezamąconym, niezasmuconym srożącą się na górze nawałnicą dolinom.

Konwulsje natury mimowoli przypomniały mu Romana, jego namiętną twarz, pełną utajonej wściekłości, piękną twarz anioła-buntownika, straconego z raj. Ale jak szybko Roman się opanował i oblicze jego zajaśniało pokorną słodyczą i łagodnością, tak niebawem i w naturze stał się spokój.

Zjeżdżali w coraz żyźniejsze doliny. Italiami! Italiami! — powtarzał Stanisław w duszy za przykładem Goethego. Ujrzał przez okno strumyk cichy, ocieniony szeregiem strzelistych topoli włoskich. — Ten piękny zakątek — pomyślał — pozował chyba Boecklinowi do obrazu „das Gefilde der Seeligen“. I jechał dalej królestwem marzeń Boecklina. Słoneczna łąka śpiewała i śmiała się swem różnobarwnym kwieciami do niego, jak w obrazie: „*Sieh — da lacht die Aû*“. Stanisław wziął Anielkę za rękę i rzekł: — „Patrz malutka — Twoje kwiatki kochane wdzięczą się do ciebie, jak w Polsce, tylko są barwniejsze niż u nas, pod gorącym niebem Włoch. To siostry tamtych, bogatsze

jednak od nich, mocniej pachnące. Uśmiechnijże się do nich? No, maleńka!

Lecz i tym razem dziewczynka milczała.

Reszta podróży była jakby przelotem przez krainę czarów.

Włochy! Tu spotkał artysta po raz pierwszy swoje natchnienia!..

Teraz patrzył w głąb siebie, w przeszłość, w ogród wspomnień.

W ogród, ubarwiony kwiatami marzeń młodości.

W ogród, którego nie zniszczyły dotychczas nawałnice życia.

Długo trwał Stanisław w tym swoim ogrodzie...

Dojeżdżając do stacyjki — krańca podróży, Stanisław i Anielka wykazali duże zdolności aktorskie. Grali przed sobą wzajemnie komedję obojętności. Malarz spostrzegł jednak, że firanki powiek dziewczynki o długiej frendzli rzęs zwieszały się częściej niż zwykle, i że szczupła jej twarzyczka była coraz bledsza, a dziewczynka podpatrzyła również tamowane wzruszenie na obliczu Stanisława.

Oh, que la pâleur
est d'un bel usage,
jamais le visage
n'est trop loin du coeur!

Al. de Musset.

Choć vetturino zapewniał, że niebawem staną na miejscu, willa Speranza wydawała się malarzowi i Anielce bardzo oddalona. Vetturino poczuwał się oczywiście

do obowiązku bawienia podróżnych rozmową. Rozpowiadał o mieszkankach willi.

Tymczasem malarz obserwował dziewczynkę. Podziwiał siłę, mieszczącą się w tem małym serduszk. Jakże skrytą potrafi być taka mała kobietka! Anielka siedziała sztywno, nie objawiając najmniejszego wzruszenia. Nie zwracała uwagi na poetyczny kraj obraz.

— To dziecko — myślał Stanisław — daje mi przykład, jak należy opanowywać swoje uczucia.

— Widzą państwo, o tam na prawo ten kościół? — ciągnął dalej woźnica. — Polska Excellenza często tam śpiewa. Śpiewa, jak aniołowie z nieba.

Gadulstwo chłopca przeszkadzało Stanisławowi. Rozpraszało jego skupienie. Powoli zbliżali się do celu. „Prędeż!” — krzyknęli Anielka i malarz równocześnie. Konik górski przyśpieszył klusa. Na zakręcie drogi ukazała się różowa willa. Dziecko wychyliło się z powozu. Stanisław wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Spostrzegłszy, że malarz ją obserwuje, dziewczynka zamknęła oczy, niby je chroniąc od olśnienia słonecznego. Jakże mało ważyło to wątłe ciało dziewczynki, biedne ptaszę, strojne w elegancką sukienkę. Pod temi piórkami trzepotało się mocno serce ptaszka wzruszonego.

— *Saremo in 5 minuti alla casa!* — wykrzyknął z triumfem woźnica.

Sercem malarza miotwały dwa sprzeczne uczucia: głód szczęścia i lęk przed niem.

Przypomniła mu się rada doktora Wielińskiego: trzeba się starać wywołać nagłem zjawieniem się przed Hanną zbawienny wstrząs.

Malarz nie łudził się, aby jego osoba mogła sprawić ten wstrząs, ale spodziewał się, że Anielka może być tem narzędziem uzdrowienia. Skoro więc ujrział taras, niewidzialny jeszcze dla Anielki, bo zakryty krzewami — zatrzymał konie. Dziewczynka pobiegła, poleciała, pofrunęła ku Hannie, która wydała się malarzowi zdaleka bardzo wątła i blada. Rozległy się dwa okrzyki, raczej przerażone niż radosne, i Anielka przypadła do nóg ciotki.

Więcej Stanisław nie widział. Zostawił za sobą woźnicę i zbiegł z góry szybko, bez pamięci. Uciekł.

Wypoczywał długo na brzegu morza, siedząc bez świadków. Samotny patrzył na stare morze, żyjące od początku istnienia. Myślał o nieustannem tętnie tych fal wiecznych, pulsujących jak olbrzymie serce. I właśnie morze, przed chwilą spokojne, zaczęło się miotać i burzyć, jakby pod wpływem wzruszeń wewnętrznych. Długo, długo siedział Stanisław na piasku, rozmyślając o wiecznej walce dusz ludzkich.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz po południu Stanisław ruszył powtórnie ku willi Speranza. Szedł szybko, czyniąc w duchu mocne postanowienie nieokazywania wzruszenia, gdy stanie przed panią Hanną. Postanowił udawać, iż do przyjazdu skłoniła go tylko tęsknota do Włoch i konieczność zaopiekowania się Anielką. Dzień wczorajszy cały i pół dzisiejszego spędził na oczekiwaniu wezwania od Hanny. Otrzymał je dopiero przed chwilą. Pierwszą osobą, którą spotkał w willi, była Cecylja. Dowiedział się od niej, że nagłe spotkanie z ciotką wstrząsnęło Anielką. Dziecko zemdłało u stóp ciotki. Zemdlenie to trwało długo i było niepokojące. Przyzwany lekarz zalecił maleńkiej kilka dni spokoju.

Rozmawiając ze Stanisławem, Cecylja odczuła, że malarz, acz hamuje swoje wzruszenie, jest bardzo niepokojny o Hannę. Choć nie zadał jej żadnego pytania, oświadczyła mu, że Hanna wraca powoli do zdrowia.

— Czy mogę ją zaraz zobaczyć? — spytał malarz.

— Uprzedzę ją natychmiast o pańskim przybyciu — odpowiedziała Cecylja i odeszła w głąb mieszkania.

Po chwili rozległy się kroki i od strony tarasu weszła do salonu Hanna. Była jeszcze bardzo mizerna, wyglądała jednak bezporównania lepiej, niż przed wyjazdem z Żywych Wód. Ale młodość, zdobiąca przed rokiem to oblicze, zniknęła z niego prawie zupełnie. Powitała malarza serdecznie i spokojnie, jakby się rozstali wczoraj. Stanisław całą siłą woli trzymał na wodzy swoje uczucia. Ale oczy jego, ci zdrajcy duszy, wyjawily Hannie tajemnicę jego serca. Modrozielona toń jej źrenic sperliła się łzami. Przybrały na chwilę, niewidziany od tak dawna, „wyraz wieczysty“. Posłała mu długie spojrzenie, przepełnione wdzięcznością, i rzekła:

— Dziękuję.

— Nareszcie — pomyślał Stanisław. — Nareszcie, nareszcie zrozumiała.

W tej chwili od strony tarasu rozległ się kapryśny głosik Anielki:

— Stachu, Stachu.

Poszli do dziecka. Małeństwo leżało w łódeczku, otoczone książkami i zabawkami, które Hanna zdążyła sprowadzić z Genui. Zasiedli obok niej. Po chwili nadeszła Cecylja. Dziecko uśmiechało się kolejno do wszystkich i wszyscy byli szczęśliwi. Podano herbatę. Pani Hanna nalewała ją temi samemi gestami pięknych rąk, jak zawsze w Żywych Wodach. Na srebrach serwisu lśniło słońce.

W parę dni po swoim przyjeździe, gdy zdrowie Anielki już się polepszyło, Stanisław poszedł z panią Hanną na spacer. Weszli na jeden z okolicznych szczy-

tów górskich, mijając po drodze hale, na której tańczyła gromada obdartych pastuszków, podobnych młodym faunom. Opodal pasło się stado kóz o klasycznych profilach i melancholijnych, myślących oczach. Ten pełen gracji beztroskiej obrazek miał w sobie czar wizji antycznej. Ze szczytu wzgórza spojrzeli na morze, na którem szybko uwijały się barki rybackie, barki łacińskie o żaglach żółtych. Łódki tych mnożyło się coraz więcej. Zbierały się i rozpraszały, uciekały jedna przed drugą, jakby się bawiły w gonitwę. Niebo było barwy ciemno-niebieskiej, takiej samej jak morze. Stanisław i Hanna mieli wrażenie, że znajdują się we wnętrzu olbrzymiej lazuruwej kuli. Od tego błękitu odbijała tylko biało-różowa Genua i budynki rozproszone wzdłuż wybrzeża. Majowe słońce przygrzewało, wydobywając mocne zapachy z ziół porastających górskie zbocze. Stanisław odczuwał piękno promienne tej południowej godziny. Wywoływał wspomnienia podobnych chwil przeżytych w przeszłości. Myślał o tem zaklęciu, które Włochy narzucają duszom ludzkim, zwłaszcza zaś duszom artystów. Był tak szczęśliwy u boku kobiety ukochanej, że w duszy jego rodzi się nieziszczalne życzenie. Trwaj, chwilo!

— Z zalem patrzę na to piękno — rzekł Stanisław. — Okropnie mi się nie chce wracać do kraju, do naszej litewskiej szarzyzny.

Hanna przerwała żywo:

— Jabym pojechała zaraz, choćby dziś, gdybym mogła! Mam tak dużo zaległej roboty. Straciłam dużo czasu. Straciłam rok mego życia.

Zaczęli rozmawiać o Żywych Wodach, Hanna pytała o stan robót, o hafciarki, o ogród.

— Jak przyjęły się moje kochane róże, sadzone zeszłej wiosny?

— Wszystkie doskonale przezimowały. Wogóle w ogrodzie wszystko po dawnemu. Jeden tylko grab usechł w grabowej alei. Ogrodnik musiał go usunąć.

W tej chwili przeistoczyła się nagle ożywiona twarz panni Hanny zbladła i poczęła drżeć.

— Co pani jest? Czy pani się źle czuje? — krzyknął przerażony Stanisław.

Lecz Hanna opanowała się szybko:

— Zmęczona jestem. Wróćmy do domu.

Oparta na ramieniu malarza wolno wróciła do willi Speranza. Milczeli. Stanisław nie widział barw morza i ziemi.

Po powrocie opowiedział zdarzenie to Cecylji. Niewidoma wtajemniczyła go, że właśnie z Belwederu Hanna po raz ostatni widziała odjeżdżającego Romana. Malarz nie mógł się pocieszyć, że bezwiednie poruszył w Hannie bolące jeszcze wspomnienia. Lękał się, czy nie wyniknie z tego pogorszenie w stanie jej zdrowia. Lecz wieczorem Hanna była pogodna i uśmiechnięta, jak rano. Uśmiech jej był jeenak melancholijny. W kącikach ust czaił się ogrom rezygnacji.

Po kolacji Hanna siedziała sama na tarasie. Czekwała na ucieszenie się odgłosów życia dziennego. Światła Genui zwolna gasły. Ludzie cierpiący, ludzie znużeni zasypiali. Inni czuwali i nie mogli zaznać spoczynku przez noc całą. Hanna szła myślą do tych

dusz niewidzialnych, których spotkać nigdy nie miała, i uczuła pokrewieństwo losów własnych z losem bliźnich, oraz miłość dla nieznanых siostr i braci. Jak młody żołnierz, który podwaja w sobie energję, gdy patrzy na szeregi walczące obok siebie, tak ona czerpała siłę ze świadomości, że istnieją bliźnie dusze, zwycięskie, które zdobyły wielkość samozaparcia. Od czasu bachowskiego festiwalu odmawiała codziennie pacierze poranne i wieczorne. Rano modliła się, by Bóg jej dał siłę nieoglądania się w przeszłość. Co wieczór robiła rachunek sumienia, żałując każdego obejrzenia się na drogę przebytą. I w tej chwili razem z ciszą wieczorną spłynęła na nią łaska modlitwy. Brzask pokoju, którego świt ujrzała na cmentarzu siostr zakonnych, coraz jaśniej opromieniał jej duszę.

Anielka wracała do zdrowia. Delikatną cerę polskiego kwiatu barwiło słońce włoskie. Upodobiła się do opalonych dzieci miejscowych. Nie wolno jej było jeszcze odbywać zbyt dalekich spacerów. Na pobliskiej górze bawiła się z kozami. Łapała koźlęta, brała je na ręce, przynosiła do ciotki, każąc je podziwiać, całowała je w łebki pomiędzy oczami, niańczyła jak młoda matka niemowlęta. Coraz częściej w willi Speranza padało zapytanie: „Kiedy wrócimy?“ Wreszcie oznaczono termin wyjazdu.

Wszyscy pojechali w jednym przedziale. Margrabia, który miał towarzyszyć paniom aż do Zurychu, gdzie postanowiono zatrzymać się dla wysłuchania beethovenowskiej IX-tej symfonji, ożywił rozmowę swemi głębszemi, filozoficznemi uwagami, lśniącem

paradoksami, finezją i wdziękiem swego łacińskiego umysłu. Anielka była rozbawiona dziecinnie; na jakiejś stacji, położonej nad strumykiem i nad łączką, zajrzeli do okna chłopcy, nawpół nadzy, o lśniących, ciemnych oczach, niosąc duże kosze z kwiatami. Stanisław zakupił ich cały zapas. Anielka urządziła w wagonie *bataille des fleurs*. Wszyscy musieli poddać się jej fantazji. Kiedy się zmęczyła, usiadła spokojnie i poczęła z powagą wiać wianki. Dobierała kolory z wielkim smakiem, tworząc różnobarwne korony. Wreszcie uwieńczyła niemi skronie całego towarzystwa. Śmiała się przytem, oglądając swoje dzieło, i oddawała hołd ukoronowanym osobom, jak wierna poddanka. Radość dziecka udzieliła się starszym. Wszyscy stali się potrochu dziećmi. Najweselsza po Anielce była pani Hanna. Była dla dziewczynki czuła i troskliwa, a dziecko czuło się szczęśliwe, bezbrzeżnie szczęśliwe.

Droga odbyła się wybornie. Zostawiali za sobą co chwila cząstkę pięknych Włoch. W Zurychu stanęli w hotelu nad jeziorem, w pobliżu *Tonhalle*. Po południu udali się na koncert wszyscy pięcioro, bo Hanna zdecydowała, że Anielka lepiej odczuwa muzykę, niż niejeden dorosły.

Margrabia słuchał koncertu z zamkniętymi oczyma. Dla niego początek symfonji był to las ciemny z „Boskiej Komedji” dantejskiej „*foreste oscura*”. Słuchając początku, myślał: „Każdy z nas w życiu bywa Jobem. W tej ciemnej godzinie wszystko w nas cierpi. Wtenczas jak Edyp niewidomy blakamy się w noc ciemną po lesie, wyciągając tylko instynktownie ręce

przed siebie, starając się chwycić nadzieję. Kto godzin tych nie zna, biada temu, artyście zwłaszcza, bo godzinami temi żywi się geniusz. Beethoven niewątpliwie znał je doskonale. Znali je również Dante, Mickiewicz i Schiller”. W następującem Scherzo wyczuwał całe zamięłowanie Beethovena do natury. Słyszał w niem szmery leśne, szczebiot ptasząt, tęsknotę ogłuchłego Beethovena za głosami zgasłemi: wody, wiatru, ptaków. Zabrzmiąla III część symfonji — hymn na cześć miłości ogólnoludzkiej. Wreszcie część IV, w której mistrz zdawał się nakazywać: Gińcie namiętności, śpiwajmy wielki hymn braterstwa. Bóg panuje nad wszystkim i wodzi do radości wybranych!

— Czyż nie tworzą trójcy Beethoven, Schiller i Mickiewicz: — Nasz wieszcz cierpiał za miliony; Schiller powiada „*seid umschlungen Millionen der Kuss der ganzen Welt*”, a Beethoven oddaje to muzyką — myślała Hanna.

Margrabia ukradkiem spojrzął na swoje towarzyszek. Hanna i Cecylja były oderwane, rozpromienione. Jakaś jasność i radość święta biła z ich lic, podniosłe słowa hymnu padły do ich serc jak złote ziarno, rzucone na żyzną glebę. Patrzył z rozczuleniem na swoje *filiae electae*, do których wyzdrowienia nie mało się przyczynił. Tymczasem malarz śledził wzruszenia na wrażliwej twarzyczce Anielki. W pierwszej części jakiś strach ciążył nad dzieckiem. Powlekał twarzyczkę jej żałością i smutkiem. Spostrzegł, że w *Andante* cisnęły się jej łzy do oczu. Nie były to jednak gorzkie łzy. W finale zakwitła egzaltacja. Stanisław

myślał, że wszystkie te wzruszenia były odbłaskiem duszy Hanny.

W Zurychu zatrzymano się tylko jeden dzień. Po wysłuchaniu „IX symfonji“ całe towarzystwo spędziło kilka godzin w lesie, w okolicach miasta. Anielka śmiała się i biegała, lecz ciągle wracała do Hanny i tuliła się do niej jak młode źrebie do boku matki. Chwyciła Stanisława za rękę i, pociągawszy go za sobą w zarośla, bardzo cicho powiedziała: — Chcę cię o coś zapytać, Stachu — czy nie myślisz, że ciocia jest coraz zdrowsza, że wyzdrowiała. Gdy dawniej opierałam głowę o jej piersi, serce jej biło prędko, prędko, jak dzwon kościelny w Żywych Wodach, ale wtedy, gdy organista nierówno ciągnął za linę. Dziś serce bije wolno, mocno, równo, jak dawniej, dawniej.

Wieczorem na dworcu pożegnano się z margrabią, który obiecał, że jesienią przyjedzie do Olch i do Żywych Wód.

— — — — —
Gdy samochód pani Tęczyńskiej wiozł ją od stacji ku pałacowi, dziatwa wiejska wylegała z za płotów na jej spotkanie, a gdy weszła do pracowni, stały tam już hafciarki, uszykowane niby zwarty las kolumn białych. Zaśpiewały pieśń powitalną. Ładne ich usta rozwarte tworzyły różowe łuki, łuki Wenery, napięte na białe świecące zęby. Przywitawszy się z dziewczętami, Hanna obesła całe gospodarstwo, powitała każdy kwiat w ogrodzie. Poszła wreszcie do swego pokoju. Znalazła wszystko na zwykłych miejscach, w zupełnym porządku, bez żadnych zmian.

Ktoś pomyślał o ozdobieniu jej komnaty do pracy ulubionymi kwiatami. Miała wrażenie, że opuściła te ściany wczoraj. Na biurku jednak leżała duża koperta, zaadresowana znajomem pismem.

Gorączkowo rozpieczętowała ją i zaczęła czytać:

— Hannol

Straciłem ciebie z własnej winy. Poczucie to gnębi mnie nie mniej, niż sam fakt utraty twego serca. Winę tę ze skrucą wyznaję i słów znaleźć nie mogę na potępienie swojego postępku. Przyczyną wszystkiego była moja pycha, która tak mnie zaślepiła, że uważałem ją za dowód siły. Zdawało mi się, że kocham Polskę, że służę jej wiernie i bezinteresownie. Lata całe żyłem w tem złudzeniu. Dziś widzę, że, na dnie wszystkich moich poczynań tała się miłość własna, kult własnego ja, który wystudzał mi duszę. Teorja, z którą się żyłem, że, służąc innym, trzeba o sobie zapomnieć, odjęła mi możliwość kochania prawdziwego, wzięcia się w inną duszę, podporządkowania się innej istocie. Straciłem możliwość poświęcenia się praktycznego, wpatrzony w mrzonkę samozaparcia teoretycznego. Z tego powodu byłem zimny przy tobie — wielkiej, płonącej istocie, poddającej się z zupełną bezpodzielnością miłości. Bałem się miłości, bo uważałem ją za słabość. Parę razy nie odpowiadałem ci, gdy wspominałaś o mocy dwu duszłączonych. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy

rzekłaś mi w Śluszkowszczyźnie: „To jest dziś większe, szersze dla mnie, bo nasze“. O przedziwna mocy, przedziwna słodczy małego słówka „my“. Ja niegodny zląkłem się wówczas tej mocy. Zamknąłem moje serce. I tę zatwardiałość serca uważałem za cnotę. Za cnotę poczytywałem, że nie obejrzałem się ku tobie, odjeżdżając z Żywych Wód, pomimo iż usłyszałem twój rozdzierający krzyk. Dziś przejrzałem, Hanno. Czy potrafisz mi przebaczyć? Przebacz, daruj, bo bardzo cierpiałem i cierpieć będę, póki nie otrzymam twego rozgrzeszenia. Dziś sam zostać nie potrafię. Nie zdołam podźwignąć się bez twojej pomocy, bez pomocy wielkiego słowa „my“. Dlatego wezwij mnie do siebie. Błagam cię o to.

Roman.

Długo Hanna rozmyślała nad tym listem. Nie spostrzegła, jak zapadł mrok. Nie zeszła na wieczerzę, wymawiając się zmęczeniem. Po nocy bezsennej rano odpisała:

— Romanie!

Nie wstydzę się wielkiej miłości mojej. Tęskniłam do niej, marzyłam o niej lata całe. I wreszcie nadeszła ta wielka władcza miłość! Uczucie takie ogarnia całe jestestwo człowieka, przetwarza je do gruntu. I mnie ono przetrzymało zupełnie. Zapomniałam o całej treści dawnego mego życia, wyrzekałam się dawnych ideałów

moich, stałam się niewolniczą poddanką miłości, nie czującą tej niewoli. Nie żałuję jednak krótkiego pobytu w płomiennej krainie miłości — wdzięcznam ci za te trzy dni, które spędziliśmy razem w Śluszkowszczyźnie. Nie chciałam się wyrzec ani wspomnień szczęśliwych, ani późniejszych cierpień. Lecz miłość owa była tylko moją miłością, a nie naszą miłością. Dlatego długo żyć nie mogła. Miłość, którąś poddawał krytyce rozumu, została teraz i przeze mnie osądzoną. I ja teraz zrozumiałam, że miłość nie jest wolnością ducha, lecz niewolą. Wyleczyłam się z niej. Zrzuciłam ostatecznie to jarzmo w Zurychu, słuchając IX symfonji. Ta podniosła modlitwa uczy mówić „My“, ale „My“ to nie ograniczony świat dwóch kochanków — „My“ to „ludzkości całe ogromy“. Wracam do tych, którym przysięgałam wierność i którym się sprzeniewierzyłam. Ty nie opuszczałeś ich nigdy, Romanie.

Żegnam ciebie i piękne marzenie moje nie bez pewnej melancholji, jak się żegna to, co odchodzi bezpowrotnie, a może to, co przyszło za późno... W sercu mojem pozostanie niezmiennie uczucie dawne dla towarzysza z lat dziecińczych. Przybądź do mnie wówczas, gdy przybyć będziesz w stanie bez cierpienia.

Hanna.

Tego samego dnia nad wieczorem Hanna z Cecylją i Stanisławem skierowali się ku Belwederowi.

Hanna wodziła po krajobrazie spojrzeniem rozmiłowaniem. Jej serce cieszyło się na nowo posiadaniem tych obszarów, w które włożyła tyle pracy. W Belwederze odbywał się właśnie sejmik ptasi. Rozbrzmiewały tam ćwierkania, odbywały się harce. Małe ptaszki jak cienie migały na jasnym niebie, goniąc się stadami całemi i napełniając powietrze nieopisaną wrzawą. Z żywym zainteresowaniem śledzili mieszkańcy pałacu namiętne gonitwy lotników, bitwy między rywalami, harce miłosne par. Wreszcie ptaszęta rozproszyły się, zapadając na wieczorne leże. W górze pozostał jeden tylko duży ptak samotny. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej malejąc w oczach patrzących do rozmiarów wróbla... motyla... komara... Stawał się symbolem tęsknoty do nieosiągalnego, do wyzwolenia, do wolności.

— Ten ptak jest szczęśliwy, bo sam i wolny — rzekła pani Hanna.

Dusza moja czuje się dziś jak ten ptak — zwróciła się do Stanisława i spojrzała mu głęboko w oczy. — Winnam panu wyznanie, że dziś zerwałam wszystkie węzły, które mnie dotychczas krępowały. Dziś mogę odnowić dawne postanowienia i zamiary, którym się sprzeniewierzyłam.

Słońce poczęło się zniżać, jakby łagodnie błogosławiło pola, park, pałac Żywych Wód. Podawszy ręce swoim przyjaciołom, Hanna wróciła wolno, wolno ku domowi. Serce jej przepełniało uczucie szczęśliwego spokoju.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Domku mały,
Gdziem przed laty na świat przyszedł,
Tyś mi wypełniał świat cały
Potem mój świat — twe zacisze
Z młodością moją wzrastało,
A młodość szła w górę chyżo
Aż wreszcie mi się wydało,
Że dom się przede mną zniża,
Że strzechę przede mną skłania
Jako piastun przed paniczem
W dzień pierwszego pożegnania,
Gdy młodzik rwie się do świata
Po wszystko, by wrócić z niczem.
Zawsześ mnie witał jak brata
Dworku, a żegnał, jak syna.
Domie mój, przyszła godzina,
Żeś ty mi wzrósł, a świat zmałał.
Kto się od świata oddala
Rozumie, iż w stronę nieba
Przez dom rodzinny iść trzeba.

Wkrótce po powrocie Hanny zjechali do niej najbliżsi wierni przyjaciele. Wstrzymała zapędy obojętnych, którzy wyrazili ochotę przybycia na jej „uro-

cze majówki“. „Stoneczny“ przyjechał z mniejszym niż zwykle animuszem. Pomimo pozornie wesołych min, wszyscy przybysze byli niespokojni. Hanna witała ich jak zwykle z serdeczną gościnnością. Nie unikała rozmów o przebytej zagranicą zimie. Sławiła piękno Pieve di Sori, opowiadała o margrabim Dario, z zapałem opisywała głębokie wrażenia, jakie na niej i na Cecylji wywarła *Traùerode*.

Niemirowski, znalazłszy się sam na sam z panną Colonna, zwierzył się przed nią ze swych spostrzeżeń:

— Pozornie nic się tu nie zmieniło. Zdawałoby się, że oddycham powietrzem Żywych Wód, jak rok temu. Ale epoka przed Romanem była jednak odmienna. Hanna będzie mi zawsze równie droga, lecz już mniej ciekawa. Ostatni rozdział powieści został przeczytany. Dalszego ciągu nikt nie napisze.

Pannie Colonna brakło dowcipu, bo była nieco smutna. Ale Niemirowski nie dał za wygraną. Pomimo że Ginter, książę i Mia unikali dyskretnie rozmów o Romanie, czuł potrzebę wygadania się na ten zakazany temat. Osiwiałe *enfant terrible* opowiedziało towarzystwu, że w drodze spotkał jadącego do Petersburga posła Stolcburga.

— Roman zmienił się do niepoznanania. Zeszczupłał, osiwił, a zwłaszcza nie ma tego wyrazu dumy, triumfatora. Piękny jest, to prawda, lecz inny, zadumany, melancholijny. Żał mi go serdecznie, musiał ciężko przeboleć wiadome nam zdarzenie. Żał mi go, chociaż nigdy nie lubiłem tej jego nieludzkiej doskonałości, tej dumy zmieszanej z lekceważeniem ogółu.

— Wolałbym, żebyśmy zmienili temat rozmowy — rzekł książę. — Nie obgadujmy Romana, skoro jest nieszczęśliwy. Nie mówi się o zwyciężonych.

Lecz *enfant terrible* nie wyczerpało zapasu swojej wymowy.

— Hanna to też zagadka. Wiem, że Roman się przed nią ukorzył. Niedawno szalała za nim, a teraz nie może się zdobyć na przebaczenie. Mężczyznaby darował.

Wziąwszy serdecznie księcia pod rękę, Niemirowski odszedł z nim na bok.

— Kto wie — rzekł ciepło — czy Hanna dziś nie zrozumie, kto jest jej doprawdy godzien.

Książę usunął swoje ramię. Z akcentem dumy odrzekł:

— Znosiłem bez urazy wielokroć odmowy Hanny, ale okrucichów po nikim zbierać nie zwykłem.

— — — — —

Wróciwszy do towarzystwa, Niemirowski skierował rozmowę na tory ogólne. Po swojemu zaczął filozofować o kobietach.

— Oj kobiety, kobiety. Tyle czasu poświęciłem miłości. Tyle poznałem jej odmian! Nie mniej niż odmian kwiatów moich ukochanych. A widzę niestety na ścynku mojej kariery, że wiem o was bardzo mało. Najpospolitszą u nas odmianą kobiety jest kobieta zacna. Rodzi się z dziedzictwem zasad niezłomnych. Przy chrzcie wieszają jej na szyi medalik, który nosi nawet pod balową suknią, i umiera, trzymając go w ręku. Mieszka w klatce, której przeszła ukute są z tradycji

i przesądów. Czy jest jej tam ciasno — nikt nie wie. Nikt nie wie, czy jest szczęśliwa. Chylę kornie czoło przed białym kwiatem, zdaję sobie sprawę, że na nim się opiera siła ojczyzny, niemniej jednak muszę ze wstydem wyznać, iż ten typ średnio mnie interesował. Wolałem zwykle odmiany mniej białe, bardziej kolorowe, nie gardziłem nawet sztucznie barwionemi. Rzadszym gatunkiem jest w Polsce kobieta ciekawa wrażeń. Jest to kwiat pełen wdzięku i czaru. Kobieta taka niewiele się zastanawia nad miłością. Niedługo się namyśla. Nie traci czasu. Poco myśleć? pyta, lepiej spróbować. Prostu kocha, a może jej się zdaje, że kocha. Długo lub krótko, jak Pan Bóg da. O trzeciej odmianie, o kobietach widzących w miłości aferę, mówić nie warto. To nie kobiety, to książki buchalteryjne o podwójnem koncie, w których debet nie zgadza się nigdy z kredytem.

Zapomnijmy o nich.

Najbardziej ze wszystkich Polek żal mi typu szlachetnej idealistki, szukającej skrzydeł pod frakiem wybranego mężczyzny. Kobiety takie nie umieją ani dawać szczęścia, ani też brać go. Bronią się od miłości. Boją się rozczarowania. Nic nie biorą prosto i zawsze *alles cherchent midi à quatorze heures*.

Siedząc na białym ganku renesansowym, Niemirowski, owinięty w jasny pled, jak w starożytną togę, wyglądał jak mędrzec, filozofujący pod portykiem attyckiej akademji.

— A co pan powie o mężczyznach, mistrzu zlostousty? — zapytał książę.

— Polacy w miłości, mojem zdaniem — są leniwi naogół i niedołężni — odrzekł Słoneczny. — Dzielę zdanie cudzoziemców *que les Polonais ne savent pas aimer*. Lenistwo to kardynalna wada Polski. A miłość, drodzy panowie, to trudna sztuka. Trzeba mieć dużo pilności, żeby ją osiąść. Tak przyjaciele. Patrzę na was z politowaniem. Widzę między wami za dużo leniuchów. — Kobiety chcą, żebyście nosili skrzydła. Cudne to marzenia, godne mitów. Fruwajcie zatem i starajcie się nie spaść na złamanie karku. A do pomocy wezwijcie bogów.

Tu wstał Niemirowski, wyprostował się. Wyglądał w tej chwili zupełnie młodo.

Majowe słońce grzało mocno, dobrotliwie pieszcząc zebranych.

— Słońce miejmy w duszy! — ciągnął Niemirowski. — Więcej płomienia — panowie, więcej żaru. Och, gdybym był młody — westchnął. — Umiałbym wam pokazać, jak się zwycięża.

Odkrywszy głowę, pochylił ją żartobliwie przed tarczą słoneczną.

— Chwała ci, zwycięski Febusie-Apollinie.

Ginter mruknął: — Czy warto krzesać tyle płomienia dla kobiet?

Panna Colonna pocichu szepnęła: „Biedne my“, Mia zaś rzekła do Stanisława, z którym się coraz lepiej zgadzała: — Cieszę się, że o mnie nie było wzmianki w botanicznym wykładzie Słonecznego. O kwiatkach tego rodzaju co ja, na szczęście nie warto mówić.

— Pani obrała cząstkę najlepszą, która odjęta jej nie będzie. — odrzekł malarz.

— Żal mi Hanny — powiedziała po chwili milczenia.

— Niech pani będzie o nią spokojna. Wstąpiła także do „Bractwa Wyrzeczenia“, wyrzekłszy się szczęścia osobistego, z którego często wywłaszcza ludzi życie, będzie tak, jak pani, pielęgnować szczęście bliźnich.

W tej chwili Hanna ukazała się na zakręcie ścieżki.

— Nasza pani jest tak urocza, że mogłaby być bohaterką jeszcze nie jednej powieści. Niestety, jest Litwinką, Litwinka zaś prawdziwa przeżywa w życiu tylko jedną powieść. Szkoda! — westchnął Niemirowski.

Życie płynęło w Żywych Wodach cicho, bez ważnych wydarzeń. Po wyjeździe Cecylji troje mieszkańców wiejskiego ustronia pracowało ze zdwojoną energją. Dewizą mieszkańców Żywych Wód znowu stało się hasło „Tonos“. Anielka, najmniejsza pracownica, nie chciała się dać wyprzedzić w pilności starszym. Mała ogrodniczka dokonywała cudów w swoim królestwie kwiatów. Pokraśniał też pod słońcem biały ongi kwiatek. Zrywała się z łóżka wcześniej, by oblecieć park i ogród. Pilno jej było zobaczyć kwiaty po nocy. „Może urosły — mówiła do Stanisława. — Białe róże znowu od wczoraj się rozwinęły“. Hanna robiła Anielce wyrzuty, że wstaje zbyt wcześnie — dziewczynka odpowiadała z powagą: „Czuję, że jestem potrzebna kwiatom“.

Stanisław wiele malował. Odtwarzał najwierniejsze swoje modele: niebo, las, słońce. Wysłonecznione szkice przenosił na duży obraz. Malował na nim hafciarki pani Hanny, jako skrzydlate Wiktorje, wspinające się na wierzchołek góry, na którym królowała pani Hanna w postaci Minerwy. Pozowała mu pani Tęczyńska chętnie i często. Była cicha i łagodna. Rozumnym wzrokiem obejmowała skłaniający się u jej stóp krajobraz. Pracowite jej ręce spoczywały spokojnie na łonie. Malarz męczył się jeszcze nad wyrazem ust i oczów modelu. Zagadkowa twarz pani Hanny, twarz łagodnego Sfinksa, strzegła zazdrośnie swej tajemnicy. Malując tę twarz, przypominał sobie żarty Niemirowskiego:

— Nie lubię, gdy pani jest zbyt poważna. Wołałbym widzieć w naszym gronie inną boginię, niż Minerwę... Jeśli nie Wenus, która w Żywych Wodach jest źle widziana, to przynajmniej Psyche.

Pomimo trudności, malarz nie tracił nadziei. „Jeszcze więcej wysiłku — myślał sobie — jeszcze więcej, a utrwale wyraz wieczysty“.

Hanna po skończonym dniu często zachowywała sobie chwilę dla muzyki. Grywała samotnie, najchętniej wieczorami, gdy gwary cichły, nie pozwalając nikomu sobie towarzyszyć w koralowym saloniku. Szanowano jej wolę i nie podsłuchiowano jej gry...

Przyjaciele często odwiedzali panią Hannę. Ci, którzy przyjeżdżać nie mogli, pisywali listy. Przysyłali częste wiadomości, nowe książki, wszystko, co mogło panią Tęczyńską cieszyć lub interesować.

Listy mówiły: „Choć jesteśmy zdala, myślimy o Pani. Na każde wezwanie jesteśmy gotowi przyjechać. Czekamy go“.

W tem pięknem lecie godziny były krótkie jak chwile, dni jak godziny, miesiące jak dni... A lato dojrzało.

— — — — —

ROZDZIAŁ ÓSMY

Litwo, ojczyzno moja!

Pamiętne lato 1914 r.! Ziemia wiernie spełniła swój obowiązek. Łany zbóż ugiwały się pod ciężarem ziarna. Obfitość plonu budziła nadzieję, że tej zimy będzie niewielu głodnych. Na polach brzmiały wesołe śpiewy żniwiarzy, zbierających skrzętnie przyszyły chleb. Wokół lip starodawnych, sączących miodne zapachy, rozbrzmiewała muzyka rojów pszczołnych.

Lecz w te gody żniw wkraść się niepokój. Z miast zaczęły dochodzić trwożące wieści. W Serajewie padł strzał zbrodniczy i wrócono powszechnie, że fakt ten stanie się zarzewiem światowego pożaru. Nagle po całej Europie gruchnął krzyk: Wojna! Wojna! Rozprzestrzenił się po wszystkich częściach świata. I ze wszystkich części świata ruszyły do boju zastępy przemocą od roli oderwanych żołnierzy. Ruszył do boju również lud polski, litewski i ruski. Zabrzmiały w kościołach i cerkwiach pienia religijne, głusząc płacz matek i żon. Przez polskie drogi i miedze ciągnęły ku zachodowi zastępy szare, jak ziemia, z której

wyrośli i w której tyle ich miało legnąć. Wszyscy natężali wzrok w przyszłość. Najmocniej natężała go Polska. Z najtajniejszych świątyń dusz wznosiła się nadzieja.

W ciepły wieczór sierpniowy Hanna została sama na ganku. Objęła okiem miłującym swoje piękne złote dziedzictwo. Na szachownicach pól stały mendle zboża, podobne zdaleka do obozowisk.

Z pastwisk wracało bydło, wzniecając na gościńcu tumany kurzu. Od rzeki powstawały wieczorne opary, zasnuwając piękno krajobrazu. Oczy Hanny nie mogły przez mgłę dojrzeć już lasu, dusza jej wyczuwała jednak piękno swojej Letuwji tajemniczej. Gwiazdzisty płaszcz nocy przyodziął niebo, lecz spokój nocny nie spłynął na sioła. Hanna czuwała, jak młody giermek w wigilję pasowania, jak zakonnica w wigilję ślubów dozgonnych. Ślubowała sobie rozpocząć nową służbę. Wzmacniała przed nią ducha. Nasłuchiwała odgłosów nocy, dziwnych odgłosów, których od wieków w tych stronach nie słyszano. Zdaleka dochodziły rubaszne piosenki rekruckie, zgiełki parobków pijących w karczmie, hałasy bitek. Rozlegały się także od strony czworaków lamenty litanij, zawodzonych głosami starcami. Pomiedzy drzewami, nisko nad stawem błądziły pary kochanków, rozlegały się szepty, westchnienia, okrzyki i śpiewki, a noc zdawała się dyszeć żarem miłosnym i szeptać: kochajcie, bo może jutro pomrzecie. Długo w noc trwały czułe rozmowy. Ucichły dopiero nad ranem. Kołysana zwolna ciszą, Hanna marzyła o losach ukochanej ojczyzny.

Hanna marzy.

Może inne kraje mają piękniejszą przyrodę, dla nas jednak te widoki zawierają inną siłę, większą moc, choćby nią był smutek. W czymże tkwi ta potęga twoja, o ziemio rodzona, która zapomnieć o tobie nie pozwala do śmierci? Letuwja! Nieugięta, nieujarzmiona, ziemica prastarego Polemona, Litawora dziedzictwo. Władztwo Mendoga i Gedymina. O mur ich piersi, o puszczy ich warownie kruszyły się najeźdźcze zapędy, w pierw lasze, później krzyżackie. Krzepka dłoń Olgierdowa i Kiejstutowe bohaterskie ramię torowały drogę olbrzymim krokom Witoldowym, aż z wątku przeszłości wysnuła się wielkich Jagiellonów nić dziejowa.

Hanna przymknęła oczy, wpatrzona w mgłę dalekich dziejów. I oto stanęła przed nią, z ukochania przeszłości wyłoniona, poważna postać tkaczki sędziwej, której pracowite ręce snuły nie kończącą się nić.

Wpatrzona w osnowę, którą otrzymała z boskich wyroków, odtwarzała dzieje Lechitów, gościnnych, spokojnych, znojną pracę tego ludu, rozmiłowanego w ziemi ojczystej, czerpiącego w pracowitym brzasku życia siłę do przyszłych świetlanych przeznaczeń. Ręce jej niezmordowane wiły przędzę mocną, równą, szarą, mającą trwałość stali niezłomnej. Ale to szare tło poczęło niebawem mienić się kolorami jaskrawymi, barwami walk srogich i świeżo rozlanej krwi.

Na szarej przędzy zabłysła luna. Stara kobieta haftowała świetne dzieje połączenia dwóch narodów. Jagiełło z krzyżem w dłoni wiedzie za rękę na górę

zamkową wileńską, Jadwigę, królowę strojną w haftowany liljami płaszcz, niosący Litwie dary bezcenne: rzymskie relikwiarze, polskie tarcze herbowe z rycerskimi tradycjami, brzaski świtającego już Odrodzenia, niesie jej skarby polskiej przeszłości i miecz Chrobrego, Kingi sól, berło ziem zjednoczonych Łokietka, statuty Kazimierza Wielkiego i krakowskiej Akademii fundację, Litwa coraz ściślej zespala się z dawcami nowej wiary. Zadziergają się między dwoma narodami węzły coraz ciaśniejsze. Z krakowskich ślubów wynika Unja Horodelska, Sejm lubelski i wspólne się stają nie tylko Wiara, ale i szczęście, potęga, sława. Wspólną ofiarą jest krew Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka traktaty, proporzec pruski u nóg Zygmunta Starego i Batory pod Pskowem, i Żółkiewski na Kremlu, i ostatni przebłysk wiekopomnej chwały Sobieskiego: wiedeńska wiktoria. Wspólne zastępy skrzydlatego rycerstwa — zwyciężają — śpiewając: Bogu Rodzica.

A potem już złota nić w ręku nieśmiertelnej tkaczki czernieć poczyną. Głorja połączonych narodów wygasa. Na Rzeczpospolitą pada cień hańby. Sędziwa tkaczka opuszcza głowę. Pod palącym rumieńcem wstydu nad niezniszczalną tkaniną, leją się wezbranym potokiem łzy nieskażonej części narodu, oczyszczonego skruczą goryczy. Lecz nie wolno wątpić o tworzywie wiecznem, jeszcze wykwiła z ducha przeszłości poczęty wielki dzień Trzeciego Maja, jeszcze rodzi się bohaterski syn litewskiej ziemi, ostatni rycerz rycerskiego narodu, pełniący straż nad żywym, pomimo rozdarcia, sercem Polski. A potem

niewola i szlachetne ofiary krwi. — Tkaczka czeka, nie traci nadziei.

I oto ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej śpieszą hufce młodzieży, pełnej wiary i zapału, pragnącej zapisać imiona swoje na nowej barwnej karcie starej księgi dziejów. Śpieszą z podniesioną głową, z wzniesionym do góry orężem i śpiewają świętą pieśń Bogurodzica.

Hanna otwiera oczy — słyszy pieśń dzwonów kościelnych. Na niebie widzi świt dnia nowego.

I oto, jak Polska długa i szeroka, na równinach, nad górami, nad rzekami, w głębi lasów powstaje świt wolności. Razem z tym światem z mroków zwątpienia i rozpacz wyłania się nadzieja, uderza w dzwon polskiej duszy, niszczy granice rozbiorów, łączy całą Polskę w jednym zgodnym serca biciu.



144084